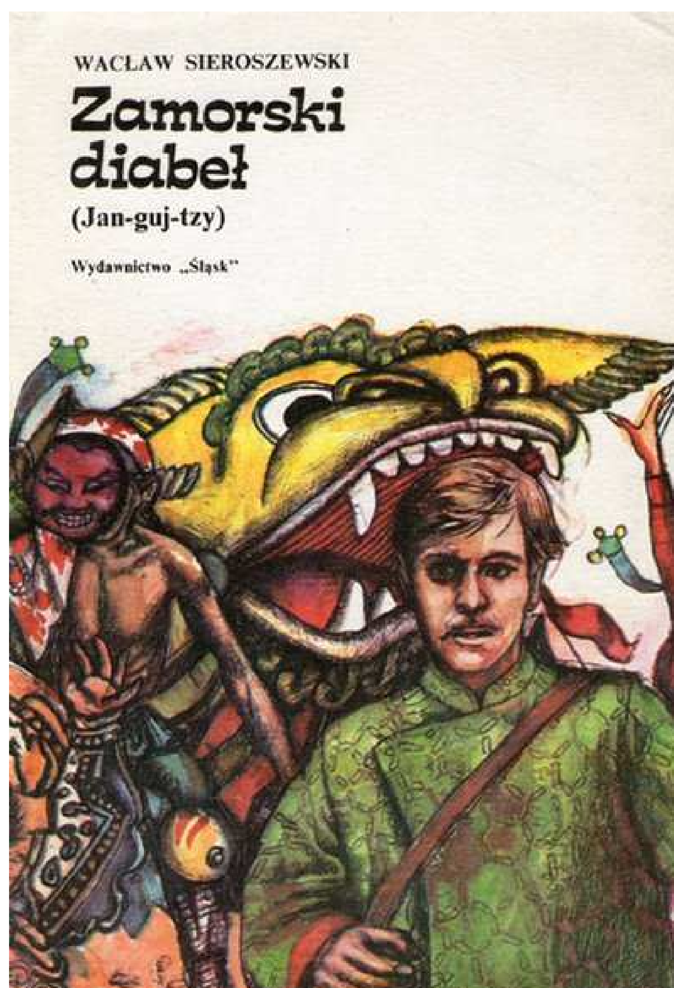
WACŁAW SIEROSZEWSKI

ZAMORSKI DIABEŁ
(JAN-GUJ-TZY)





WYDAWNICTWO „ŚLĄSK" KATOWICE 1988

ROZDROŻE

I

Chłodny syberyjski zmrok jesienny zapadał nad miastem i otulał je od spodu w fioletowe mgły. W parowie rzeki brunatny cień niby pierwszy lekki oddech nocy wybiegł daleko na wodę i przyćmił na niej odbicie białych obłoków i purpurowej zorzy.

Pośrodku miasta wysokie kamienice kupieckie kąpały wprawdzie jeszcze swe malowane dachy i pyszne słoniowate ciała w światłości uciekającego dnia, ale tłum niskich domków podmiejskich, upstrzonych według syberyjskiego zwyczaju licznymi oknami i kolorowymi okiennicami, już zlewał się w jedną mętną plamę, na której coraz gęściej zapalały się szeregi drobnych świateł.

Domek pani Brzeskiej stał na samym skraju miasta, wśród ogrodów i parkanów, niedaleko katolickiego cmentarza o wysokich krzyżach.

Właścicielka weszła zamaszyście do swego mieszkania i tupnęła przeziębłymi nogami.

- Znowu ten szelma Teodor zrobił brewerię. Jak mi Bóg miły, tym razem nie przebaczę i na Święty Michał wymówię komorne! - rzekła głośno. - A ty, Jasiu, jeszcze czytasz?! Porzuć... Ciemno, zepsujesz oczy... albo poczekaj, zapalę lampę...

Brzęknęła kloszem, potarła zapałką i weszła po chwili do pokoju syna niosąc ostrożnie światło.

Jaś, wysoki, blady chłopiec z drobnym blond wąsikiem nad świeżymi ustami, siedział pod oknem z książką na kolanach i patrzał w zamyśleniu w dal na pożółkłe jesienne ogrody i widoczne poza nimi krzyże cmentarne.

Gdy matka weszła, zwrócił na nią chabrowe oczy ze srebrnymi skrami.

- Co się stało, mamusiu?

- A to nie słyszałeś?

- Owszem, słyszałem. Ale myślałem, że się nic szczególnego nie dzieje, że to Teodor z żoną się kłóci...

- Ano nicpoń, powiadam ci! Z daleka spostrzegłam, że idzie pijany, Wyszłam przed sień i czekam; udaję, że go nie widzę, że w inną stronę patrzę. Czapkę zdjął, próbował prześlizgnąć się bokiem... Zastąpiłam mu drogę. „A co to? - pytam - Teodor znowu pijany? A przysięgał Teodor, że już nie będzie. Czy to ładnie pół roku komornego nie płacić, a pieniądze przepijać?... Tak robią tylko ostatni niegodziwcy”. Ukląkł, szyję wyciągnął: „Utnij głowę, matko, utnij, zgrzeszyłem, podły jestem człowiek...” „Co mi przyjdzie z głowy Teodora?... To nie garnek z pieniędzmi, ja proszę o pieniądze...” „Utnij, matko, wybaw mię od grzesznego żywota... Zgubiony jestem człowiek” — powtarza. „Dobrze więc – powiadam - oto poślę do Teodora komornika, niech opisze sprzęty i narzędzia. Czym Teodor zarobi na chleb, gdy mu zabiorę jego szydła i kopyta?” „Niech opiszą... niech zabiorą... i dobytek, i żonę, i dzieci, i wszystkie rzeczy, które jego są...” - powtarza z płaczem. Co miałam robić? Wzruszyłam ramionami... Widzę, sąsiedzi z domów wychodzą... śmieją się... Odeszłam w głąb ogrodu. Wracam, a on wciąż klęczy z wyciągniętą szyją... „Niech Teodor, komedii nie gra, niech Teodor idzie i wyśpi się!” Wstał posłusznie i poszedł, a ja za nim. Słyszę, jak żona też wita go zaraz od progu: „A opoju, a niegodziwcze! to ty zamiast komorne zapłacić...” Tu chyba się wściekł, bo usłyszałam potem takie krzyki i latanie, że musiałam wejść... Patrzę, przygiął ją

za włosy ku ziemi i bije kułakami po twarzy, po plecach, gdzie trafi... „A co, kto twój książę? kto twój pan?!" - powtarza. „Teodorze! Niech Teodor puści wołam – Teodorowa!... Niech Teodorowa nie trzyma męża!" Nie słyszą... Musiałam ich wodą oblewać!...

- Gdzież on jest teraz? - spytał wstając chłopak.

- W sieni. Wypchnęłam go i zamknęłam drzwi na klucz. Nie wpuszczę, całą noc na dworze przetrzymam... Kobietę pokrwawił, dzieci postraszył...

- Moja mamo, trzeba raz z tym skończyć... Oni się jeszcze kiedy zabiją. Trzeba ich niezwłocznie wyrzucić z mieszkania...

Pani Brzeska przysiadła na krześle i ręce na kolanach oparła.

- Rzeczywiście trzeba by wygnać - rzekła - ale...

W tej chwili drzwi od sieni skrzypnęły i do pokoju wsunęła się rozczochrana głowa.

- Szlachetna duszo, Mario Kazimierzówno!...

- Wynoś się, wynoś się!... Nic z tego... swoje odsiedzisz. Widzisz, Jasiu zwróciła się do syna, gdy głowa znikła - w takim razie stracimy komorne za pół roku...

Syn przechadzał się z rękoma w kieszeni.

- Ależ, mamo, my ich i tak nigdy nie odbierzemy... Z tym się trzeba pogodzić.

Pani Brzeska westchnęła.

- Ciężko będzie. Ogród nie dopisał. Warzywa tanie, o kartofle pies bury się nie spyta... A wydatki zwiększą się, gdy wyjedziesz do tej... akademii...

Głos jej zadrżał i twarz odwróciła od lampy.

Znowu ostrożnie skrzypnęły drzwi.

- Szlachetna duszo!...

- Proszę bardzo, niech mi tu Teodor nie dokucza... Proszę iść sobie i zamknąć drzwi!... - zawołał z rozdrażnieniem Jaś.

Drzwi z wolna zamknęły się i długi czas słychać było głuche mamrotanie.

- Mamusiu droga, kochana mamusieńko! Czyż nie lepiej będzie, wciąż to powtarzam, sprzedać wszystko i wyjechać razem?... Korepetycjami zarobię cokolwiek... Jeżeli dodać to, co mamy od wuja, to nam starczy...

Przypadł jej do kolan. Ale pani Brzeska trzęsła przecząco głową.

- Nie, synu, nie... już ja się stąd nie ruszę. Mamy tu mało, to prawda, ale przynajmniej pewne... gimnazjum z bożą pomocą skończyłeś, skończysz i Szkołę Główną *.

- Uniwersytet - poprawił syn.

- E! Wszystko jedno! Uniwersytet, niech będzie uniwersytet. Za moich czasów była Szkoła Główna... To mniejsza... ale na te niewiadome korepetycje wolę już nie liczyć. Za stara jestem, synu, spracowana jestem, sterana... Takie życie jak moje raz tylko człowiek jest w stanie przeżyć...

- Ależ, mateczko, nie o to chodzi... Właśnie dlatego chciałbym...

Wtulił twarz w jej zgrubiałe, pomarszczone dłonie i całował je porywczo.

- Nie — powtarzała staruszka — zostanę. Jeden pokój odnajmę jakiej emerytce albo wezmę chłopców na stancję... Przecież w akademii dużo więcej potrzebować będziesz... Tylko pisz... zawsze pisz... co dzień pisz... Nie zapomnij... Długo... obszernie... o wszystkim... O jakże będę...

Łzy strumieniem popłynęły jej po policzkach i spadły na kędzierzawą głowę syna.

- Przecież nie jadę jeszcze, mamusiu...

- Niezadługo już, niezadługo...

W sieni znowu rozległ się łoskot. Janek podniósł się z klęczek. Tym razem drzwi otwarły się szeroko i w progu stanął Teodor w całej okazałości.

* Szkoła Główna (właśc. Szkoła Główna Warszawska) - wyższa uczelnia zał. 1862, od 1869 przekształcona w uniwersytet rosyjski; od 1915 Uniwersytet Warszawski (to i następne objaśnienia, o ile nie zaznaczono tego inaczej, pochodzą od redakcji niniejszego wydania).

- Szlachetna duszo, Mario Kazimierzówno... pocztylion - szepnął tajemniczo.

Pani Brzeska drgnęła i zerwała się.

- Co?

- Idzie. I list pewnie niesie, bo wyjął coś białego z torby i czyta...

Wprawdzie zmierzch już zapadł i o czytaniu mowy być nie mogło, ale pocztylion wszedł niezadługo i oddał kwit na odbiór listu z pieniędzmi.

- Od wuja! - szepnęła pani Brzeska. - Tylko... jakoś bardzo dużo przysyła ci pieniędzy... Trzysta rubli.

- Poczciwy! - rzekł chłopak. - Nie chce, żebyś została bez grosza.

- Szlachetna duszo, Mario Kazimierzówno! - jęknął głos od progu.

- Dobrze, już dobrze... Niech tylko Teodor pamięta, że to raz ostatni... Niech Teodor zje tę trochę chleba i mięsa, bo Teodor zziąbł i może się rozchorować, a żona nie gotowała dzisiaj obiadu... więc pewnie nic się tam nie znajdzie!

Teodor westchnął potężnie z głębi piersi i jął ogryzać kość, zerkając lubieżnie na stojące w szafce butelki. Ale pani Brzeska udawała, że tego nie widzi, i krzątała się po kuchence, nastawiała samowar, a Jaś tymczasem nakrył stół i rozstawił na nim filiżanki.

Nazajutrz pani Brzeska z niepokojem oczekiwała powrotu syna z poczty. Tymczasem Jasia długo widać nie było. Wreszcie przez sztachety ogródka spostrzegła go na ulicy. Szedł wolno z opuszczoną głową i rękoma schowanymi głęboko w kieszeniach paltota.

Miał tak strapioną minę, że matka nie wytrzymała i wyszła na jego spotkanie na dwór, naciągając pośpiesznie rękawy kaftanika na ręce umączone przy gnieceniu klusek.

- Co się stało? co ci jest?

- Nic, mamo... zaraz...

- Pieniądze oddali ci?

- Oddali...

- Więc o co chodzi?

- Zaraz... przeczytasz, mamo...

Weszli nareszcie do domku. Wtedy wyjął z zanadrza list i podał matce. Obejrzała uważnie kopertę, poznała charakter pisma, dostrzegła pieczęć pocztową z napisem „Kiachta” [1] i uspokoiła się.

Jaś tymczasem zdjął palto.

- Czytaj... czytaj, bo nie wiem, gdzie są okulary... hm... długi bardzo... rzekła zwracając synowi rozwiniętą ćwiartkę.

- „Kochany siostrzeńcze...” zaczął chłopak zmienionym głosem.

- Widzisz, to nawet do ciebie list.

...Tyś już duży i liczysz się za dorosłego... Skończyłeś szkoły z nagrodą, co ci chwalę, i powinieneś być rozsądny. Ja pojmuję twoją chęć p o s t ą p i e n i a do akademii, ale u nas w kraju dużo jest uczonych durniów, n i e g o d n y c h zapracować sobie kawałka chleba. Każdy naród, jak i każdy człowiek, d ł u ż e n przede wszystkim dbać o swoje pożywienie. Prócz tego ty masz starą matkę. Kiedy o k o ń c z y s z Akademię, ona zupełnie zgrzybieje. Przecież nie posadzisz ją do o c h r o n y. Tymczasem ona ci będzie przeszkadzać jeździć po świecie i i s k a ć [2] *miejsca. Tak więc ja p r z e k ł a d a m tobie, żebyś ty lepiej jechał do Chin...*

Do Chin? - szepnęła pani Brzeska, ciężko siadając na krześle. - Do Chin?! Ależ to strasznie daleko!... To bez litości!...

Jaś nic nie odrzekł i czytał dalej ze łzami w głosie:

[1] Kiachta - miasto na granicy rosyjsko-chińskiej (obecnie radziecko-mongolskiej). Od 1727 główny punkt handlowy w wymianie towarowej między Rosją a Chinami.

[2] Iskać (z ros.)szukać.

...Naszej firmie potrzebny jest młody, n a u c z o n y człowiek, który by znał po chińsku. Gotowa ona zapłacić za naukę. N a z n a c z a na to rok czasu i tysiąc rubli złotem. N a u-c z a ć się będziesz w Pekinie, gdzie lżej o nauczyciela. Potem pojedziesz na praktykę do naszych zawodów [1] herbacianych do In-kou. Po wstąpieniu n a s ł u ż b ę będziesz p o ł u-c z a ł [2] po dwa tysiące rubli rocznie. P o ż y w i e n i e w Chinach tanie, jeżeli nie robić zbytków. Takim o b r a z e m [3] nie tylko zabezpieczysz matkę, ale z m o ż e s z cokolwiek odłożyć. A z czasem otrzymasz p r z y d a t e k. Są tacy w naszym interesie, co biorą po sześć, nawet po dziesięć tysięcy rocznie... Kiep ten żołnierz, co nie myśli zostać generałem. Kiedy uzbierasz sumkę, wszyscy wrócimy z a s ł u ż e n i e do kraju. Po t e m u, że kraj biedny i do kraju w n o s i ć trzeba pieniądze, żeby być mu pomocą, a nie w c i ę ż a r. Tak chłopcze, uszy trzymaj do góry! Bądź p r z y l e ż n y [4], pracowity, oszczędny, a głównie spełniaj swój d ł u g [5] wesoło i dokładnie, jak możesz ze wszystkich sił, a o s t a t e k przyjdzie sam. Już ty wierz mi staremu! Przełożeni, gdy będą widzieli twoje staranie, będą cię o z n a c z a l i, a ty sam p r z y w y k n i e s z do pracy i wyrośniesz na d z i e l n a w o człowieka, co sobie w kaszę d ą ć nie pozwoli i wszędzie się znajdzie. Więc przygotuj się w drogę bez żadnych tkliwości. Matce d o k a ż, że dla niej w s z y s t k o j e d n o, co ty od niej o tysiąc mil na Zachód czy na Wschód. Czy tu, czy tam, nie będzie j e d n a k o z tobą. Nawet lepiej na Wschód, dopóki jesteś miody i masz w głowie utopie, p o t e m u, że z Zachodu prędko byś wrócił i jeszcze dalej zajechał...

- I to prawda! - ze drżeniem szepnęła pani Brzeska.

...I tak z b i e r a j się w drogę. Kup sobie za wysłane pieniądze co trzeba z obuwia, ubrania, bielizny. Nie dużo, ale samego najlepszego s o r t u, i jedź do Semipałatyńska [6], gdzie wkrótce przybędzie, albo już jest sasko-koburg-gocka naukowo-handlowa ekspedycja. Naczelnik jej, mój znajomy, towarzysz szkolny, obiecał cię do Pekinu dostawić. To dłużej p ó j d z i e i drożej s t o i ć [7] będzie niż jazda przez Kiachtę, ale skorzystasz z przebywania z uczonymi ludźmi. Wysługuj się naczelnikowi, żeby n i e p o ż a ł o w a ł swego d o b r e g o p o s t ę p k u. Pieniędzy, jeżeli ci nie starczy, weźmiesz u niego, a mnie uwiadomisz. Tylko jednak oszczędzaj pieniędzy. Im bardziej będziesz oszczędzał, tym prędzej wrócimy do kraju. Bywaj zdrów. Mamie rączki ucałuj. Niech się nie troska. Jesteś chłopak, a chłopcy z a w s i e-g d a [8] się po świecie błąkają. Czy to nasza matka p o k o j n i c a [9] myślała, że ja będę siedział w Kiachcie i t a r g o w a ł herbatą!?... Bądźcie dobrego usposobienia. Nic się nie dzieje bez woli Boga.

O b e j m u j e w a s, r o z p o ł o ż o n y [10] ku wam

Tomasz Śnietycki

Czas jakiś stali w milczeniu pośrodku pokoju. Janek patrzał w okno, a stara matka na niego. Wreszcie odeszła, cicho stąpając dużymi trzewikami o płaskiej podeszwie.

Po chwili znów zastukała stolnica w kuchence i zabrzęczały naczynia. Jaś rzucił się na łóżko. Matka zaglądała do niego kilkakroć, ale nie odzywała się, i tylko gdy siedli do obiadu, rzekła ze zwykłą żywością i prostotą:

[1] Zawód (ros.) fabryka.
[2] Połuczał (z ros.) - otrzymywał.
[3] Takim obrazem (z ros.) - w ten sposób
[4] Przyleżny (z ros.) pilny, gorliwy.
[5] Dług (z ros.) - obowiązek.
[6] Semipałatyńsk - miasto nad Irtyszem w Kazachstanie.
[7] Stoić (z ros.) — kosztować.
[8] Zawsiegda (ros.) - zazwyczaj.
[9] Pakojnica (ros.) - nieboszczka.
[10] Rozpołożony (z ros.) - życzliwy.

- Co tam, Jasiu! Wuj ma rację! Popłaczemy, pobiadamy, ale pewnie zgodzimy się...

- Wcale nie ma racji! Nie mam najmniejszej skłonności do handlu!

- I w handlu potrzebni są uczciwi ludzie! Minęły te czasy, co to powiadali: nie oszukasz - nie sprzedasz! Ojciec twój uczciwy był człowiek, miał majątki, wsie i klucze, ja też nigdy nic nie sprzedawałam. A tu nieraz wózek z warzywem razem toczyliśmy po ulicach własnymi rękoma... Po całych dniach wystawaliśmy w kożuchach i butach wśród chłopów na targu... praca nie poniża...

- Wiem przecież! Nie o to chodzi, mamusiu, ale myślałem, że zostanę... literatem; przecież ten mój wierszyk nawet wydrukowali...

- Poczekaj: może i zostaniesz! Może wuj dlatego tak do handlu cię skłania, że chce tobie zapisać wszystkie swoje bogactwa. Wtedy mógłbyś pisać, bo miałbyś za co książki drukować!

- Co tam, o dziedzictwie niedobrze myśleć... Ale znowu pobyt w Chinach też nie byle co!...

- A co? Widzisz!... Będziesz miał o czym pisać.

Z wolna Jaś rozweselił się i rozgadał. Snuł projekty i nie zważał, że za każdym razem, gdy mówił o przygodach i podróżach, usta matki drżały boleśnie. Zresztą pani Brzeska niczym więcej nie okazywała swego wzruszenia; była spokojna i na pozór rada nawet z obrotu rzeczy.

- Mamusiu, a z tego tysiąca, to ja zaraz mamusi przyślę pięćset...

- Nie trzeba, synu. Starczy mnie starej to, co daje ogród... Przecie nie będę wydawała balów!

- A jakże! Już ja wiem... Mamusia tu zagłodzi się... Niech mamusia przysięgnie, że sobie żałować nie będzie!

- Ależ dobrze, dobrze dziecko moje! Nic mi tylko nie przysyłaj. Nie podobna, żebyś został bez grosza w kraju takim dalekim i dzikim...

- Mamo, Chiny nie są krajem dzikim! Cywilizacja ich jest starsza od naszej...

- Słyszałam, ale już ja tam nie mam do nich zadania. Ubierają się Bóg wie jak, mężczyźni noszą warkocze [1] witają się na czworakach [2], jedzą psy, koty, robaki... Prawda, że mają dobrą porcelanę i jedwabie, przyznaję, ale ty, Janku, kiedy się tam wśród nich znajdziesz, błagam cię, strzeż się niechrześcijańskich obyczajów... obiecasz mi...

Pierwsze lody były złamane.

Nazajutrz zaczęły się przygotowania do drogi, odwiedziny znajomych, szycie, pakowanie...

Po dniach dziesięciu wracała pani Brzeska z przystani... bez Janka. Szewc Teodor towarzyszył jej z dala.

Znów zapadał wieczór różowy i otulał miasto fioletową mgłą. Staruszka szła zgarbiona, wolnym, ociężałym krokiem, jak gdyby teraz dopiero poczuła, razem z boleścią rozstania, całe brzemię swego życia, pełnego nieustannych utrat i troski. Koło domu obejrzała się za siebie na Teodora, kiwnęła ręką i rzekła:

- Niech Teodor już idzie... Niech wraca. Bóg zapłać!

Teodor nie ruszał się i patrzał żałośnie na bladą, pomarszczoną twarz staruszki, zaglądał jej w oczy pełne łez.

- Niech już idzie...

- A pani?

[1] Po podbiciu Chin Mandżurowie wprowadzili dla wszystkich mężczyzn obowiązek wygalania głów od czoła do wierzchołka oraz splatania pozostałych włosów w warkocz. Uchylanie się od noszenia tego symbolu poddaństwa karane było śmiercią.

[2] Drobiazgowy chiński ceremoniał przewidywał w obecności cesarza trzy uklęknięcia i dziewięć dotknięć ziemi czołem.

- Zaraz wrócę!

- To, może, m o j a u pani ogień rozpali?

- Niech rozpali.

Szewc ukłonił się i przemknął przez furtkę. Ale nie odszedł, tylko schował się za krzakiem i śledził staruszkę. Ta obejrzała się za siebie na rzekę błyszczącą w głębokim parowie, potem zwróciła oczy w inną stronę, gdzie za ogrodami wysterkał wysoko ku niebu zaróżowiony przez zorzę czarny las omszałych krzyżów. Niektóre z nich stały dumnie wyprostowane w żałobnym majestacie, inne padały w tył w rozpacznej niemocy, jeszcze inne gwałtownie pochylały się naprzód, wyciągając rozkrzyżowane ramiona ku miejscu, gdzie tylko co zaszło słońce...

Staruszka zachwiała się i z jękiem oparła o sztachety.

Teodor machnął przed oczyma ręką:

- Ot! A jeszcze powiadają, by się nie upijać!... Fraje-ry!....

W PUSTYNIACH MONGOLII

II

Brzeski wyskoczył raźno z dorożki i wszedł przez furtkę na nieduże podwórko błotniste i zaśmiecone, odgrodzone od ulicy niebiesko malowanymi sztachetami. Pośrodku na sznurze przeciągniętym w poprzek suszyły się białe, czerwone i pstre koszule oraz inna męska i żeńska bielizna. W głębi stał obszerny dom z ciężkim czubatym dachem, z ogromną liczbą okien i okiennic, również malowanych niebiesko.

Brzeski nachylił się, przesunął szczęśliwie między zwisającymi sztukami pożytecznych płócien i rozejrzał dokoła. Dom przeglądał się melancholijnie w błyszczących u stóp jego kałużach, złotych od słońca, błękitnych od nieba. Do wnętrza domu wiodły po schodkach dwa wejścia, nakryte dwoma jednakowymi ganeczkami. Za sągiem drzewa, koło chlewów rozlegały się miarowe uderzenia siekiery i chłop w wyrudziałej siermiędze to chylił, to prostował swój grzbiet szeroki. Brzeski skierował się ku niemu.

- Gdzie tu mieszka baron Butberg?

Chłop poprawił nogą szczapę i z głośnym sapnięciem opuścił na nią wzniesioną siekierę, po czym spojrzał na pytającego wyblakłymi siwymi oczyma i poskrobał się w głowę.

- Powiedzcie mi, gdzie tu mieszka baron Butberg, naczelnik naukowo-handlowej ekspedycji?

- Naczelnik... to... chyba tutaj... Ale żeby był e k s p e d y t o r, to nie wiem!...

Niepokój, który trawił Brzeskiego od chwili opuszczenia pociągu, znikł nagle; spojrzał wesoło na chłopa, którego czerwony nos i niepewne ruchy przypomniały mu Teodora.

- Jakiż ten naczelnik?... Czy dobry?!

- Zwyczajnie... naczelnik!... odrzekł chłop wymijająco. - Przez tamten ganeczek trzeba iść, przez dalszy...

Wskazał palcem wejście, do którego wiodła przez podwórzowe topiele wąska kładka drewniana. Brzeskiemu znów serce zabiło.

Wszedł do sionki i zastukał nieśmiało.

- *Herein* [1]! - zabrzmiał z wnętrza głos chropawy i niski.

Gdy drzwi uchylił, ujrzał na tle okien przepojonych słońcem wysoką, tęgą figurę w kurtce z błyszczącymi guzami, pochyloną nad stołem zawalonym papierami.

Baron dużej, kanciastej, krótko ostrzyżonej głowy nie podniósł, na przybyłego nie spojrzał i nie przestał wodzić po mapie grubym palcem ze lśniącym sygnetem złotym.

- A kto tam?

- Jan Brzeski.

- Czego?

- Od wuja... Członek ekspedycji... Miałem być zaliczony...

- Aha!... Aha!... Przypominam sobie. Listy, dokumenty są?

- Są.

Brzeski postąpił krok naprzód z listem w ręce; jednocześnie rozległo się pod piecem warczenie i duży żółty buldog dźwignął się ociężale na przednie łapy.

- Leżeć, Dor!... Leżeć! - upomniał go łagodnie baron.

Buldog zwrócił do pana łeb potworny; jego krótka szeroka morda z rozdwojonym nosem, z przyciętymi wargami i zwisającymi mokrymi pyskami wyrażała bezdenną pogardę

[1] Herein! (niem.) - wejść!

dla gościa. Wypukłe, krwią nabiegłe oczy zdawały się spostrzegać tylko pana.

A baron tymczasem czytał list wuja Śnietyckiego i chmurna twarz jego, okolona krótką szpakowatą brodą, rozjaśniła się, a w piwnych oczach strzeliły przyjazne błyski.

- Cha, cha! Pamiętam! Stare dzieje... Tęgi był bursz [1]!...

A cóż porabia wuj pański? - spytał wskazując nareszcie krzesło Brzeskiemu.

- Nie wiem. Nie widziałem go.

- Jak to? Nigdy?!...

- Nigdy.

Baron podniósł brwi z lekka. Buldog podszedł do Brzeskiego i z tajemniczą miną powąchał mu łydkę.

„Średnia przyjemność” pomyślał chłopak, ale nie ruszył się, nawet okiem nie mrugnął, gdyż... miał przecie należeć do ekspedycji, która mogła spotkać się i z tygrysami! Baron jednak zauważył blady obłoczek krwi przesuwający się po czole młodzieńca.

- Niech pan się nie boi... on tak tylko!... On nie ukąsi!... - uspokajał gościa z tłumionym zadowoleniem. - Poszedł precz, Dor!... Na miejsce!... Idź już sobie!...

Pies poczłapał dalej i zaczął wtykać nos z głupim uporem w rozmaite kąty.

- Nie boję się psów! Niczego się nie boję! - gorąco odpowiedział Brzeski.

- A co pan umie?

- Nic nie umiem. Skończyłem gimnazjum.

- Rysować pan umie?

- Trochę... bardzo słabo!

- A fotografować?

- Wcale.

Baron w zamyśleniu popieścił dłonią koniec swej przyciętej brody.

- To nic. Niech się pan przez te kilka dni wprawi. Ekspedycja może składać się tylko z pożytecznych członków. Zostanie pan... pomocnikiem fotografa!

- Pomocnikiem fotografa?! - powtórzył ze zdziwieniem Brzeski. - A czy... będę mógł polować?

Baron pomyślał chwilkę.

- O tyle, o ile to nie będzie wstrzymywało ogólnego pochodu! - odrzekł poważnie, powstał i kiwnął głową.

- Sługa panu wskaże... dodał, gdy chłopak już do drzwi się zwrócił.

W sionce Brzeski zatrzymał się, aby się trochę uspokoić. Miał przykre uczucie, że przedstawił się jak ostatni osieł. O nic się nie rozpytał, nie umówił. Nawet się nie dowiedział, na czyj koszt pojedzie „jako pożyteczny członek ekspedycji!” Nie spytał i nie wiedział, czy baron odebrał pieniądze wysłane dla niego przez wuja!... Z gniewem myślał o sobie, a z rozrzewnieniem o dobroci i rozumie barona.

„Brał mnie na próbę z buldogiem... alem nic nie pokazał...”

Przypomniał sobie, jak się baron namyślał, jak mówił wolno a stanowczo, jak wodził palcem po mapie.

„To musi być bardzo niezwykły człowiek” rozważał.

Ale wszystkie myśli dobre i złe tłumiła uciecha, że jest przyjęty... A więc ujrzy Chiny, zaczarowany kraj, gdzie mężczyźni noszą warkocze i spódnice, kraj kobiet o skośnych oczach i drobnych nóżkach, kraj ceremonii dziwacznych i dziwacznych obyczajów, kraj gdzie kwitnie herbata, gdzie robią słynne filiżanki, gdzie palą opium i w czasie zaćmienia strzelają do słońca [2]... Z radości gotów był wszystkich ściskać, nawet sługę, który mu miał pokazać, gdzie

[1] Bursz - student uniwersytetu niemieckiego, należący do korporacji studenckiej (Burschenschaft).

[2] Zgodnie ze starodawnymi wierzeniami Chińczyków zaćmienie słońca następowało wtedy, gdy połykał je smok. Aby nastraszyć smoka i uwolnić słońce, jeszcze w końcu XIX w. na wsiach strzelano z petard i puszczano race.

mieszkał fotograf.

Postanowił, że słudze da dziesiątkę. Ale nigdzie go nie dostrzegał. Z podwórka znikł nawet chłop w rudej siermiędze. Natomiast zjawiły się stada wróbli i białych gołębi. Wiatr łagodnie kołysał schnącą bieliznę, ptactwo ćwierkało i furkotało skrzydłami, płynące po niebie chmury odbijały się częściowo w kałużach błota, jak w kawałkach rozbitego na sztuki zwierciadła. Za sztachetami na ulicy dorożkarz spał zgarbiony na koźle.

„Jeszcze mi ukradną kuferek!” - pomyślał Janek i pośpiesznie poszedł ku wyjściu.

Gdy nachylił się, aby się przemknąć między dwiema uroczyście zwisającymi koszulami, spotkał się oko w oko z mężczyzną w wojskowym mundurze, który zamierzał uczynić to samo. Brzeski cofnął się i zawahał. Oficer obejrzał go uważnie dobrymi siwymi oczyma.

- Pozwolę sobie utrudzić pana, gdy spytam, gdzie... - bąkał chłopak.

- Owszem! Służę panu...

- Jestem świeżo naznaczonym członkiem sasko-kobursko-gotajskiej ekspedycji i kazano mi odszukać fotografa... - wypalił z mocnym rumieńcem.

- Aha! Pewnie mam do czynienia z panem Janem Brzeskim, na którego czekaliśmy... Jestem też członkiem ekspedycji, doktorem - dodał z przyjaznym uśmiechem. - Więc pan już widział naczelnika?

— Byłem. Mam zostać pomocnikiem fotografa, a wiem o fotografii tyle tylko, ilem się nauczył z fizyki w gimnazjum... Kazano mi wprawić się... Ale czy zdążę? Czy długo tu zabawimy?

Wesoły błysk przemknął po twarzy doktora.

- Ależ zdąży pan, zdąży... Nie jest to znowu tak wielka filozofia...

- Wyznaję, że wolałbym co innego.

- Pan, zdaje się, opłaca swą podróż?

- Nie wiem. Nie spytałem się. Wszystko wuj...

- A może pan wolałby zbierać rośliny i preparować zwierzęta? Właśnie potrzebny mi jest taki młody jak pan pomocnik. Przypuszczam, że pan zwinny?

- O panie, jaki pan dobry! Koledzy mówili, że jestem dość zręczny...

- Jeżeli kolega chce, to poproszę naczelnika! Tylko niech kolega wiele się nie spodziewa. Prośba moja nic, ale to zupełnie nic nie znaczy. Niech kolega idzie do fotografa... Mieszka niedaleko stąd w domku... z zielonymi okiennicami. Będą okiennice żółte, potem liliowe, następnie zielone... Obok mieszkam ja z topografem ekspedycji. Radzi będziemy koledze... Proszę wieczorem na herbatę.

„Jacy oni wszyscy mili!... Ludzie nauki, a wszyscy koledzy” - rozmyślał po drodze chłopiec.

Ale fotograf, zawiędły, wysoki blondyn, zawiódł go, przyjął go chłodno, prawie niegrzecznie.

- Wprawić się w dni kilka?! - wykrzyknął. - Baron myśli, że to tyle, co wypić kieliszek wódki. Pięć lat uczyłem się pilnie... Po kilku dniach będziesz pan umiał co najwyżej nosić aparat i podstawkę...

- Będę spełniał wszystko, co potrzeba, ale myślę, że prosty służący... Chciałbym być pożytecznym...

Fotograf wzruszył ramionami.

- Cóżem ja winien!

- W takim razie powiem naczelnikowi, że nie jestem panu potrzebny.

- Tego nie mówiłem. Pan tylko do Pekinu? - spytał trochę łagodniej.

- Tak!

- Pewnie kazano panu razem ze mną zamieszkać?! Uważają, że mam za obszerny pokój... Stąd pewnie płynie... cała ta fotografia. A pan widzi, jak ciasno! Ale co robić!... Niech pan rzeczy rozkłada... Pan, zdaje się, na własny koszt?... Pan ma środki?!... Trzeba będzie

wnieść łóżko...

- Czy warto? Prześpię się na ziemi. Przecie wkrótce ruszamy...

Fotograf bystro nań spojrzał.

- Skąd pan wie?! Czy baron co mówił?

- Nie, ale tak sądzę...

- Nie radzę... — bąknął i odwrócił się od gościa.

Ten, stropiony, nie wiedział, co począć. Czuł, że trafił w jakąś sieć nowych dla niego stosunków i uczuć. Już trapił się, że jest ograniczony, że nie umie poznawać się na ludziach, że baron pewnie nie jest dobry.

„Trzeba się mieć na ostrożności" - powtarzał sobie. Stanął na uboczu i więcej się nie odzywał.

Fotograf zagłębił się w książkę. Czas jakiś trwało przykre milczenie; wreszcie przerwał je służący, który wniósł rzeczy i kufer Janka.

Dnia tego poznał Brzeski jeszcze dwóch członków ekspedycji, dwóch tłumaczów: Siuja, niemłodego już Chińczyka z twarzą pomarszczoną jak jabłko zimowe, i Syberyjczyka Małycha, który po chińsku wprawdzie umiał niewiele, ale jeden tylko z całego grona rozumiał Siuja, mówiącego po rosyjsku w narzeczu używanym w Kiachcie. - Przy powitaniu Chińczyk zarzucił natychmiast Brzeskiego całym potokiem wyrazów. Chłopakowi wydało się, że dosłyszał nazwisko wuja, a że wiedział, iż Chińczyk mógł go znać osobiście, więc był ciekawy, o co mu chodzi. Mimo jednak wszelkich wysiłków uwagi, chociaż błyskały w mowie tłumacza znajome , dźwięki, nic zgoła nie rozumiał.

- Ty sy-fa-ju-sy-lo-fa ni-sy-na-sza... na-sza sy-lo-fa ni-sy-na-sza!... Ka-ka sy to-poj ka-fa-li mo-sza-na! Sy to-poj ka-fa-li ni-li-sja!...[1] - krzyknął wreszcie rozgniewany Chińczyk i odszedł.

- On gniewa się, że z panem mówić wcale nie można, że pan swego języka nie zna i „ichniego" języka nie zna! - przetłumaczył z uśmiechem wyższości Małych.

- A przedtem co mówił... o wuju?

- Ot! Nic!... Pytał, ile pan ma lat i jak się mają pańscy rodzice... Oni zawsze tak pytają! Niech to pana nie niepokoi... Zwykli... Azjaci!

Wieczorem napisał Brzeski obszerny list do matki, pełen tęsknoty do tych stosunków prostych, do tych uczuć jasnych, jakich doświadczał tylko w jej otoczeniu.

Będę się miał na ostrożności, jak mamusia radziła, ale myślę, że wszyscy oni pewnie są inni, niż się wydają, że mi dobrze życzą, bo dlaczegoby mieli źle życzyć? Jestem podejrzliwy, przekonałem się, i niegodziwy egoista... Postaram się tych wad pozbyć... - dopisał w końcu.

Umył się, ubrał i poszedł do doktora.

- Niceśmy, kolego, nie wskórali! - powitał go ten uprzejmie. - Musi pan zostać pomocnikiem fotografa, którego on nie potrzebuje.

- A skąd pan wie?

- Oho! tu wszystko rozbiega się lotem błyskawicy i nabiera echa niezwykłej potęgi. Niech kolega o tym pamięta!

Przedstawił go topografowi, olbrzymiemu, posępnemu mężczyźnie.

- Aha! Więc pan istnieje? A wyznam szczerze, myślałem, że pan jest mitem, którym tylko pozorowano wrodzoną nam bezczynność...

- To panowie istotnie czekali?

- Nie przesadzaj, Mikołaju! - złagodził doktor. - Wcaleśmy nie czekali, a przynajmniej nie z powodu pana...

Rozumie się, nie z powodu pana... Muchy się na pana jeszcze nie goniły, a w każdym

[1] Ty sy-fa-ju... (zniekszt. ros.) Swoich słów nie znasz... naszych słów nie znasz!... Jak z tobą rozmawiać?! Z tobą nie można rozmawiać!

mieście mieliśmy zawsze tysiące przeszkód, aby czas tracić, zwłóczyć, korzystać z. okazji, aby smacznie zjeść, dobrze wyspać się, wyleżeć po drodze... Rozkoszować się popularnością, przyjęciami, spotkaniami, paradnymi obiadami... Czyż to wszystko nie są rzeczy piękne, ponętne?... A więc znajdzie się zaraz na miejsce pana tysiące innych powodów. Nie darmo mamy taki długi tytuł: „Sa-sko-ko-bur-sko-go-taj-ska-han-dlo-wo-na-u-ko-wa...” - nim człek do końca dojdzie, to się dobrze wysili... Po co mamy się spieszyć, skoro nie dojedziemy dalej niż do Zajsanu [1]?...

- A widzisz, jesteś niesprawiedliwy... bo i Małych powiedział mi, że ruszamy pojutrze...

- Chyba że Małych powiedział! - mruknął zjadliwie olbrzym i wyciągnął się z papierosem w zębach na łóżku.

Doktor tymczasem zaparzył herbatę i zaczął dobrotliwie wypytywać gościa, co posiada i co zamierza kupić na drogę. Dawał mu rozmaite rady, a topograf ze swego kąta dorzucał potężnym basem praktyczne uwagi.

Brzeski zapomniał o „ostrożności” i wesoło opowiadał, jakie oni w gimnazjum urządzali łódką na rzece wyprawy i jakie czynili po temu naówczas przygotowania.

III

Nareszcie wyjechali wbrew posępnym przepowiedniom topografa.

Ciepła noc chmurna otulała okolice. Blado migotał w ciemności szeroki, ubity gościniec stepowy. W dali miarowo turkotał powóz, w którym jechał przodem baron z fotografem i Małych. Reszta podróżników trzęsła się w wielkim dwukołowym wehikule, używanym w tych miejscowościach. Brzeski znajdował się w ich liczbie. Siedział na koźle obok Kirgiza-woźnicy i myślał o dalekim domku w sąsiedztwie katolickiego cmentarza i o sobie. Był w rozterce z sobą. Wiele z jego pojęć i marzeń w ciągu tych kilku dni zachwiało się i pobladło. Dlaczego ci ludzie nie lubią się? o co walczą? i kto z nich ma słuszność? Przecież są towarzyszami na śmierć i życie? Wdzięczność kazała mu usprawiedliwiać barona, ale serce ciągnęło do doktora i opozycji... Obejrzał się na przyjaciół, którzy w milczeniu zawzięcie ćmili papierosy. Siuj coś niewyraźnie mruczał:

- *Chy-ło-san-ki bu-da... chy-ło-san-ki... Ło-sa-ki ko-lo-ti bu-da... szib-ko...* [2]

Nikt mu nie odpowiadał, więc przycichł i zadrzemał.

Woźnica, który z początku wiele robił hałasu i batem wywijał, też przycichł i sennie się zakiwał; nie popędzane konie biegły wolnego truchcika.

Turkot jadącego na przedzie powozu cichł, oddalał się, wreszcie rozpłynął w głębokiej ciszy śpiącego stepu.

Przejechali tak spory kawał, senni i rozmarzeni, gdy ocucił ich nagle krzyk i tętent z tyłu. Brzeski schwycił porywczo za wiszący u pasa rewolwer, Kirgiz krzyknął i zaciął konie. Pomknęli szybko naprzód, ale jeździec ścigał ich dalej. Zabiło serce Brzeskiego:

„Nareszcie niebezpieczeństwo!... Barantacze [3] kirgiscy!” - pomyślał i śmiało zwrócił się twarzą do nieprzyjaciela. Ale doktor i topograf wstrzymali ich zaraz.

- Stójcie! Zdaje się, że wołają na nas!... Coś się stać musiało! Może zapomnieliśmy czego?

Wkrótce dopędził ich jeździec i konia gwałtownie osadził. Poznali Szymona, sługę

[1] Zajsan - miasteczko w Kazachstanie, w pobliżu północno-zachodniej granicy Chin.

[2] Chy-ło-san-ki... (zniekszt. ros.) Dobrze będzie... dobrze... Konie bić będzie... bardzo...

[3] barantacze - rozbójnicy stepowi - pozostałość dawnych czasów, kiedy Kirgizi uważali za najodpowiedniejsze i najszlachetniejsze zajęcie dla swej dorosłej młodzieży rabunek na drogach przejezdnych kupców i karawan (przyp. aut.)

osobistego barona.

- Srebro!... krzyknął zdyszanym głosem - zgubiliście srebro!

- A co?... nie mówiłem!... Niech diabli wezmą wszystkich Sasów, Gotów i Koburgów! - ryknął topograf. - Zobaczysz, że wrócimy nie spojrzawszy na chińską granicę!

- Jakżeś się z tyłu znalazł? - spytał doktor służącego.

- Zbłądziliśmy! - odpowiedział niechętnie. - Na inną zwróciliśmy drogę...

W kilku wyrazach wyłuszczył całą przygodę. Gdy spostrzegli się i zwrócili na gościniec, konie zlękły się leżącego pośrodku drogi przedmiotu i rzuciły w bok. Naczelnik kazał przekonać się, co to takiego, i okazało się, że to skrzynka ze srebrem sztabowym, przeznaczonym na wydatki ekspedycji w Chinach.

- Dwanaście pudów [1] srebra leży sobie na stepie! Gdyby kto znalazł, to by się obłowił!... - z pewnym żalem zauważył Szymon.

- Boże, mniej nas nie tylko dziś, ale zawsze w swojej opiece! - mruknął topograf.

Rozpalono przy drodze ognisko i z pochodniami szukano po całej drodze rozsypanego srebra, gdyż pudło, nim przełamało dno w wozie, pękło i część srebra wysypała się długim strumieniem. Nadjechał baron i zasiadłszy z psem u nóg przy ognisku czekał na rezultat poszukiwań.

- Usnęliście, panowie, czy co... u licha! - wyrzucał doktorowi! - Trzeba uważać, przecież to cała nasza gotówka...

Doktor wykręcał się monosylabami.

- Hę! Trzeba będzie obmyślić inne opakowanie!... Czy nie lepiej będzie rozdzielić na kilka części i zaszyć w skórzane woreczki?

- Ależ wyborny projekt! W razie wypadku choć część pieniędzy uratujemy. Niezwykle dowcipnie pomyślane!- zachwycał się fotograf.

Baron nic nie odrzekł, ale widocznie był kontent ze swego wynalazku. Po chwili jednak przypomniał sobie, że parę tygodni temu zgromił zań właśnie topografa. Spojrzał więc uważnie na siedzącego przed ogniskiem olbrzyma, ale stary wyga stepowy ani okiem nie mrugnął, nawet głowy w stronę naczelnika nie zwrócił.

Z powodu tych woreczków spędzili, zamiast jednego dnia, trzy doby w Zajsanie i dopiero w tydzień po wyjeździe znaleźli się u stóp gór Jerke [2], oddzielających Syberię od posiadłości chińskich. Zatrzymali się na nocleg na podgórzu w zacisznej dolinie u potoku. Czerwone ich ogniska gorzały w mętnym, wilgotnym mroku jak blade iskierki. Podróżnicy gwarzyli przyciszonym głosem, spoglądając z ciekawością i niepokojem na nurzające się w ciemnościach zbocza skał. Od szczytów wiało chłodem i wilgocią. Kiedy niekiedy, gdy wiatr targał zwoje wieńczących je chmur, wysoko w podniebiu błyskały blade oblicza potężnych zwałów śniegowych.

Nazajutrz wstał dzień pochmurny, deszcz mżył, mgły spłynęły po stokach gór aż do samych ich podnóży. Wiatr gnał gwałtownie obłoki, szarpał w dole mgłami i obnażał na chwilę ostre zręby skał, kępy lasów, ciężkie okapy lodowe, kaskady potoków i chłonął je następnie bez śladu, topiąc w chmurnym morzu z wolna jaśniejącym w brzasku dnia.

Długi poczet jeźdźców i wozów wpełzł przed wschodem słońca pod te mgły. Oddział kozaków ze strażnicy Czaganobo, który miał odprowadzić wyprawę do chińskiego posterunku, zebrał się na przedzie karawany i zanucił pieśń.

Ale mgła tłumiła głosy, wicher rozmiatał je i śpiew tłukł się nieudolnie po skalistych wąwozach. Wiatr dął coraz gwałtowniej, chłód wzmagał się. Wkrótce karawana znalazła się wśród zimowego zupełnie krajobrazu. Wszędzie bielały śniegi. Zamieć sypała podróżnym w twarz całe wodospady lodowych igieł zmieszanych z mgłą. Konie z trudnością szły przeciw

[1] Pud dawna rosyjska miara wagi równa 16,3 kg.
[2] Góry Jerke (zniekszt. chiń.) góry Aercin (Aerqin).

wichurze. Ludzie pozaciągali na twarze i oczy baszłyki [1]. Tylko przewodnicy Kirgizi szczerzyli wesoło swe białe zęby.

- Uhu... Hu!... Zimno!... Za to mucha nie ma! Mało-mało, będzie *daban* [2]. *Buran cichaj, zimno bigaj!...* [3] - pocieszali przemarzłego na wylot Brzeskiego.

Brzeski, choć był przemęczony, choć szerokie siodło kirgiskie rozpierało mu nieznośnie kości, choć krzyż bolał go bardzo od długiej jazdy, odpowiadał im również z uśmiechem. Lubił krajowców. Z początku te płaskie, brzydkie twarze, brud, cuchnące baranie kożuchy raziły go, ale z wolna przyzwyczaił się do nich. Jednocześnie spostrzegał, że wyłącznie praca, wytrwałość, dobra wiara i karność tych dzikich pasterzy utrzymuje w jakim takim porządku całą tę ekspedycję, dotkniętą dziwnym niedołęstwem. Z zachwytem śledził śmiałe zwroty ich niepokaźnych koników, pnących się niezmordowanie w wiatr i zamieć po oślizgłych górskich ścieżynach lub stąpających zręcznie po kamiennych rumowiskach. Starał się naśladować krajowców, uczył się od nich zażywać konia i z przyjemnością słuchał ich rad i okrzyków zachęty.

Droga ta szła dnem wąskich, skalistych szczelin, to wdzierała się na skalne gzymsy, przywarte do urwisk. Na jednym z takich gzymsów dopędzili ogromne stado owiec, kóz i rogatego bydła, gnanego do tego samego miasta Chu-czena, do którego dążyła ich karawana. Figury dzikich pasterzy, zaszytych w skóry baranie, z grubymi flintami na plecach i długimi batami w ręku, wynurzyły się na krótko z białawych zimnych oparów; szeregi głów i grzbietów zwierzęcych, ubielonych szronem, zatamowały im drogę. Z trudnością przedarli się przez ten żałośnie porykujący, niespokojny tłum.

- Gdzież oni będą nocowali? - spytał ze zdziwieniem Brzeski rozglądając się po nagich skałach.

- Niech się pan nie boi: Kirgiz jak sroka wszędzie miejsce znajdzie!... - odrzekł Aleksy, sługa doktora, wzięty z Zajsanu. - Niech pan uważa, zaraz będzie granica!

„Granica” zawiodła oczekiwania Brzeskiego. Były to po prostu dwa kopce, usypane z kamieni u drogi, zwykłe mongolskie *obo* [4]. Stąd zaczynał się spadek. Zejście okazało się znacznie mozolniejszym od wejścia. Utrudniała je ślizgawica i wichura, która nagle zmieniła kierunek i dęła teraz w plecy podróżnych, spychała ich w przepaść, zasnutą skłębioną śnieżycą.

Gdy spełzli wreszcie na równinę, głęboka noc pokrywała okolicę. Wszelka spójnia w karawanie pękła; ludzie i zwierzęta, zziębli, wyczerpani, podzielili się na gromadki według sił i przypadku. Nikt nie wiedział, co się dzieje z resztą, i nie troszczył się o innych. Brzeski pozostał daleko w tyle. Jego wierzchowiec, słabszy czy też zmęczony nieumiejętnym obejściem się niewprawnego jeźdźca, ledwie nogami przebierał. Aby mu ulżyć i rozgrzać się samemu. Brzeski często zsiadał z siodła i próbował iść piechotą. Ale rozmokła glina ogromnymi kawałami oblepiała jego wilgotne obuwie i zupełnie krępowała ruchy. Ślizgał się co krok, ślizgał się i koń szarpiąc go w tył nieznośnie tręzlami. Za całą pociechę miał coraz wyraźniejszy skrzyp zbliżających się z tyłu wozów karawany. Już pogodził się z myślą, że przyzna się do wyczerpania i siądzie na którego z nich, gdy nagle koń zarżał, otrząsł się i pobiegł kłusa. Nisko nad ziemią błysnęły czerwone ogniki, całe snopy iskier, zwiewanych przez wiatr. Dobiegły go głosy ludzkie i szczekanie psów. Wkrótce znalazł się w pobliżu ciemnych, kopulastych namiotów, podobnych do dużych kopie siana. Gdy je mijał, zasłony niektórych uniosły się i krwawo błysnęły wnętrza oświetlone ogniem.

[1] Baszłyk - wełniany kaptur z długimi końcami do wiązania pod brodą.

[2] Daban [kirg] - przełęcz (przyp. aut.).

[3] Buran cichaj... (zniekszt. ros.) - zamieć cichnie, zimno zniknie.

[4] Obo [mong.] - ofiarna kupa kamieni. Obo znajdują się zwykle na górskich przełęczach, na rozdrożach, koło przepraw na rzekach i są uważane za własność opiekuńczego ducha tej miejscowości. Każdy przejezdny lub przechodzień rzuca cokolwiek na *obo,* choć kamyk i w ten sposób *obo* wciąż wzrasta (przyp. aut.)

Ciemne figury ludzi ledwie rysowały się na tle nocy, ale głosy i kroki wskazywały ich obecność.

Wreszcie trafił na kupkę jeźdźców, w których poznał swoich. Był to doktor z nieodłącznym topografem.

- Panowie!... Moi panowie!... Jest pusta... Proszę tutaj... - krzyczał gdzieś w ciemności Aleksy.

Doktor i topograf ruszyli końmi w tę stronę. Brzeski przyłączył się do nich.

Przez niziutki, przykryty wojłokiem otwór weszli do obszernego, okrągłego jak dzwon namiotu. Aleksy klęczał pośrodku i rozpalał ogień z suchego nawozu. Podróżni skupili się dokoła tego samego ognia i z wolna zwłóczyli z siebie wilgotną odzież i przemarzłe obuwie.

Wtem wpadł do jurty [1] jakiś stary, wpółnagi Kałmuk i zaczął z krzykiem ogień rozrzucać, popychać Aleksego i zbierać do kosza paliwo.

- Aleksy, skąd wziąłeś kiziak [2]? - spytał surowo doktor domyśliwszy się, o co chodzi.

- Tu leżał, na dworze...

- Pewnie jego!... Poczekaj, stary... zapłacimy, zapłacimy!...

Daremnie jednak powtarzali mu to we wszelkich znajomych im językach. Dopiero, gdy mu dano srebrną monetę, umilkł, stał chwilę jakby zawstydzony, po czym obie ręce do piersi przycisnął, pochylił się, wyskoczył za drzwi i wrócił natychmiast z nowym koszem suchego kiziaku. Następnie przyniósł wiadro wody, kocioł miedziany i w ogóle stał się bardzo uprzejmym.

- Ach, durniu, durniu!... - gniewał się Aleksy spoglądając chmurnie na krajowca. - Myślał, że ja gwałtem wezmę, za darmo... Niby to ja swoich panów nie znam... Pierwszy rok służę, czy co?!...

Dym, gwar, ciepło napełniły jurtę, zjawiła się gromadka krajowców z podgolonymi łbami i pękami warkoczyków na czubach. Oglądali i ruszali wszystko bez ceremonii, szwargocząc i wybuchając raz wraz szalonym śmiechem. Doktor dobrodusznie znosił ich ciekawość, a zbyt natarczywych odsuwał łagodnie. Ale topograf wściekał się.

- Wypędzić ich precz! Co to za robota?! Do północy w drodze... a potem nocleg w pierwszej lepszej budzie... Cóż to?... czy my nie mamy swoich namiotów? Tu ani notatek zrobić, ani zjeść po ludzku!... W miastach tośmy siedzieli bez potrzeby. Doprawdy nie wiem, po co mię wzięli, skoro zamierzali włóczyć się po nocach. Ładną im mapę zrobię!... Po nocach!... Aha!... Ale co tam mapa, co tam wszystko!... O sławę nam chodzi, o sławę, że tyle i tyle wiorst udało się nam przejść przez nie znane kraje... A co z tego?... Tfu!... ale to ładnie brzmi: dziesięć tysięcy wiorst przez Mongolię i Chiny! Do diaska! Każdy koń umie to samo... Ambicja w nogach!... Mikita był, ale nic nie widział!... Niech diabli biorą ambicję! To prawda, że każdy baron ma swoją fantazję, że najlepiej na cudzej dorabiać się skórze!...

Brzeski patrzał nań ze zdziwieniem. Nigdy jeszcze nie widział go takim zaperzonym. Wtem topograf umilkł. Do namiotu wszedł Małych i wezwał Brzeskiego do naczelnika.

- Gdzież to kawaler był? - spytał go baron wyjmując systematycznie z worka suchary i rozdając je obecnym.

- U doktora. Bardzo przeziąbłem... Tam ogień...

- Aha! Pan zziąbł!? Podróż do Chin nie jest romansem! - wyrzekł oschle Butberg i odwrócił się od chłopca.

Za jego przykładem poszli i inni.

Chłopiec, markotny, położył się spać w odległym kącie i przemarzł do kości.

[1] Jurta - skórzany lub wojłokowy namiot plemion koczowniczych północnej lub środkowej Azji.
[2] Kiziak (kirg.) - nawóz prasowany w placki, służący w Azji Środkowej jako opał.

IV

O świcie obudził go dolatujący gwar licznych głosów. W namiocie nikt jeszcze się nie ruszał. Narzucił zwierzchnie ubranie i wyszedł z ręcznikiem przez ramię. Olśnił go mocny blask bijący od świeżo spadłych śniegów. Zmrużył oczy i wdychał z chciwością ostre, rzeźwiące powietrze stepowe. Gwar, umilkły z jego ukazaniem się, znów się wszczął po krótkiej przerwie.

Kirgizi w pasiastych watowanych chałatach, Kałmucy i Mongołowie w baranich kożuchach, wywróconych wełną na wierzch w wysokich futrzanych małachajkach na głowach, krzyczeli wniebogłosy, przytupując, przysiadając, wymachując porywczo rękami. Zdawało się, że zaraz bić się zaczną, tymczasem była to przyjacielska pogawędka. Towarzyszyły jej wybuchy wesołego śmiechu. Chwilami śmiech ogarniał naraz wszystkich; nawet ci, którzy stali daleko i wiedzieć nie mogli jego powodu, zwracali w tę stronę roześmiane twarze brunatne i szczerzyli zęby aż po czerwone dziąsła. Mięsiste ich policzki kurcząc się zakrywały zupełnie wąskie jak szczeliny oczy, tęgie postacie chyliły się i przysiadały opierając dłonie na kolanach. W koło błękitne dymy snuły się cienkimi pasmami ze stożkowatych kup gorącego kiziaczego popiołu, a każde ognisko obrzeżała dokoła ogromna czarna plama zdeptanego śniegu i błota. Dzieci bose, półnagie lub całkiem nagie, śmigały chyłkiem wśród dorastających, wypatrując ciekawych zdarzeń lub stały jak ptaki na jednej nodze, aby ogrzać drugą skurczoną pod siebie. Z otwartych namiotów wyglądały rumiane Mongołki, strojne w srebrne pierścienie, kolczyki i manele [1], w żółtych chustach jedwabnych na bujnych czarnych włosach. Poza tym wszystkim, aż po nieba błękity, słał się biały, równy, niepokalany step. Pstre konie i rude wielbłądy pasły się opodal, ogryzając wystające ponad śniegi trawy lub odgrzebując je kopytami. Dokoła nich na rączych wierzchowcach harcowali z rozwiewającymi się połami ubrania jeźdźcy, podobni do kołujących jastrzębi.

Brzeski ciekawie wodził oczyma po tym barwnym obrazie, takim odrębnym, a takim pełnym życia.

Przysłuchiwał się wydawanym przez krajowców niezrozumiałym dźwiękom, w których z niewiadomych, tajemniczych przyczyn, wyrażali oni zupełnie inaczej te same co u niego uczucia i myśli... Z wolna rodziło się w nim niejasna poczucie ogromnego czegoś, nieskończenie rozmaitego, co istniało przez wieki poza kresem jego świadomości i istnieć będzie przez wieki.

Postąpił krok i rozejrzał się szukając wody. Jakiś smukły wyrostek zauważył to i zbliżył się natychmiast ku niemu. Brzeski wskazał miedziany imbryk wiszący nad ogniem i udał, że się myje. Mongoł kiwnął głową i przyniósł mu niezwłocznie... filiżankę gorącej herbaty.

Ponieważ Brzeski nie brał jej i ze śmiechem trząsł przecząco głową, obecni otoczyli go kołem i naradzali się niezmiernie poważnie nad tym, czego mógł chcieć. Szczęściem, znalazł się w pobliżu tłumacz i sprawę wyjaśnił:

- *Su* [2]!

- Co za dziwny obyczaj, nakazujący po przebudzeniu się co prędzej chłodzić twarz zimną wodą zamiast rozgrzać żołądek filiżanką gorącej herbaty?... - dziwili się nie myjący się nigdy krajowcy.

- Tego wymaga ich religia!... - objaśnił ktoś sprytniejszy.

- Aha, to co innego!... - z uszanowaniem zaszeptano wokoło.

- Religia, rozumie się, że religia... Patrzcie: on się modli!...

Tłum otoczył ciekawym kołem Brzeskiego i śledził z przejęciem najdrobniejszy szczegół jego mycia się.

[1] Manela - bransoleta

[2] Su (mong.) woda (przyp. aut.)

Tymczasem zbudzili się pozostali uczestnicy wyprawy. Wybiegł Dor z namiotu naczelnika i jął latać po obozowisku, wzbudzając swymi porywczymi ruchami śmiech i przerażenie wśród Mongołów.

Wyszedł doktor z przyborami rysunkowymi i zaczął szkicować obrazek. Natychmiast otoczył go tłum koczowników; niektórzy zabiegali z przodu i zasłaniali mu widok starając się zobaczyć, co robi jego ołówek. Ale była to owcza ciekawość, gdyż żaden z nich nie wiedział, o co chodzi, i nie poznawał rysunku. Fotograf też zamierzył coś sfotografować i wołał Brzeskiego. Zanim jednak ustawił swój aparat, rozwiązał pudła, trójnóg i inne potrzeby, dano znak do wyruszenia i projekty spełzły na niczym.

Słońce wschodziło zza chmur, dziergając je suto w złoto, szkarłat i barwy tęczowe. Poza karawaną na północy kłębiły się czepiając stoków gór ciemne, poszarpane obłoki, a przed karawaną otwierały się jasne słoneczne błękity i rozpościerała nieprzejrzana biała równina. Gdzieniegdzie tylko plamiły ją czarne karle krzewy saksaułu oraz żółte zarośla czija, którego wiotkich wysokich badyli, zrzeszonych w znaczne szuwary, żadna zamieć nie zdoła ani zawiać, ani nawet pochylić.

Czarny wąż karawany wyciągnął się i popełznął przez ubielone stepy, gnąc się na falistościach i załamach gruntu, uprowadzając za sobą własne cienie, a zostawiając wątły szlak zbrukanych śniegów. Po drodze mijali nieliczne jurty samotne, zwykle wtulone w gęstwę wysokich traw stepowych. Obok brunatnej kopuły namiotu stał zawsze osiodłany koń, opodal leżały stosy przygotowanego na opał chrustu oraz kiziaku, w zaciszu klęczały wielbłądy przeżuwając melancholijnie po raz setny stary swój pokarm. Cielęta i krowy dojne wysuwały głowy z trawiastej gęstwiny, gdzie stały w ukryciu, otoczone rzemiennym płotem.

Mongołowie, wywabieni brzękiem dzwonków karawanowych, wychodzili z namiotów i kucali u progu; we drzwiach ukazywały się kobiety brudne i wpółodziane, dzieci i psy z wrzawą i w podskokach biegły ku przejezdnym na drogę.

Jechali tak dzień cały, z krótką przerwą w czasie obiadu, i wciąż mieli przed sobą obszary powietrza i płaszczyznę ziemi. Tylko śniegi spadłe w pobliżu gór znikły i obnażył się step rudy, brzydki, na którym odcinał się niewyraźnie ciemniejszy trochę szlak drogi na wpół zawianej przez piachy ruchome. Znaczyły ją jedynie białe szkielety padłych na niej zwierząt. Gdy słońce podniosło się wyżej, step cały powlókł się nagle przejrzystą gazą blasku i oparu, co niby woda rozlał się po nim cienką połyskliwą strugą. Słabe wypukłości wzgórz sterczały ponad nim niby wyspy obszerne. Krzewy saksaułu i zarośla czija nabrały nagle pozorów odległych, ale rosłych lasów. Dalekie auły [1], ubrane w otocza tęczowe, oderwały się od ziemi i zawisły na niebie razem ze stadami bydła i ludźmi. Ale dość było, aby drobny obłoczek zjawił się na widnokręgu, a wszystko natychmiast bladło i szarzało.

Z początku wszystko to niezmiernie zajmowało Brzeskiego, ale z czasem w równej mierze dokuczyło mu i zbrzydło.

Dzień w dzień to samo, wciąż i zawsze to samo... Pod wieczór bywał znużony do tego stopnia, że nawet pyszne zachody słońca go nie wzruszały. Wyglądał z niecierpliwością, czy nie dostrzeże gdzie dymu przy drodze, czy nie błysną w zmroku iskry aułu. Nocowali zwykle u źródeł lub rzeczek, gdzie też kupili się nieliczni mieszkańcy pustyni; kilkakroć stanęli obozem w otwartym polu i malowniczy nocleg u płonących ogni i pod gwiaździstym sklepieniem nieba ożywił trochę jednostajność pochodu.

Stosunki wewnętrzne wyprawy nie polepszyły się z biegiem czasu ani trochę. „Opozycja” trzymała się na uboczu, baron nic nie przedsiębrał, aby ją zjednać.

Topograf jechał w tyle z busolą i notatnikiem w ręku i często zbaczał na pobliskie wyniosłości, aby lepiej zaciąć swe „rumby” [2]. Doktor, zapatrzony w ziemię, co chwila zeskakiwał z siodła, żeby złapać jaki nowy „egzemplarz” lub wyrwać ciekawą roślinę. Czasem

[1] Auł - osada azjatyckich plemion koczowniczych

[2] Rumb - jednostka miary kąta równa 1/32 obwodu koła horyzontu poziomego.

strzelał do ptaków. Wskutek tego zawsze zostawał w tyle i często ginął z oczu swych przyjaciół lub przyjeżdżał późno na nocleg.

- Proszę stosować się do ogólnego ruchu karawany i nie wstrzymywać pochodu - zrobił mu wreszcie uwagę baron.

- Ten Saso-got ma szalonego pecha! — oburzał się topograf - zawsze powie coś... koburskiego! Co to jest ogólny ruch karawany? Jest to facecja, którą żeby zrozumieć, trzeba skończyć co najmniej trzy uniwersytety niemieckie. Czyż nie od nas zależy urządzić taki „ogólny ruch” karawany, abyśmy mogli i mapę lepiej narysować, i zebrać jak najwięcej kolekcji?! A ten „ogólny ruch” - jakiś dziwny bożek wymyślony przez tego „szybkochoda”... Pożal się Boże!... I komu to to!... Niedawno siedział bez potrzeby w miastach, a teraz... „ogólny ruch!”... Wiedział, co powiedział!....Uszy więdną!... Ach, gdybym ja tak mógł, gdybym miał zapewniony chleb w ręku i nie potrzebował włóczyć się z busolą po stepach...

- A jednak - odparł doktor - baron ma rację. Karawana nie może zwalniać kroku dla chrabąszczy i motyli. Musimy trzymać się pewnej marszruty, gdyż bez niej mogą wyczerpać się w nieodpowiednim miejscu nasze zapasy żywności. Istnieje inny sposób usunięcia trudności. Poproszę go raz jeszcze, aby mi dał do pomocy Brzeskiego, bo inaczej nie zdążę. Czy zgoda, panie? - zwrócił się do młodzieńca.

- Ależ owszem, z radością! Taka nuda!

- O serca gołębie!... A jakże, zgodzi się!... Żebyście zaćmili swymi zbiorami Jego Mość Gocką... Kochane niemowlęta! - szydził topograf. - A jakże!... Kroczcie, kroczcie, niewolnicy... zgodnie z „ruchem ogólnym”. Aby potem nasz łaskawy Pan mógł napisać „Przeprowadziłem szczęśliwie ludzi i bydło przez pustynię, przez piaski i skały, tyle a tyle tysięcy wiorst, i zdałem wszystko wraz z bagażem w całości do magazynów rządowych!”... A po co? Bóg to raczy wiedzieć!... Ale za to... bez kłopotu! - ciągnął zjadliwie.

Istotnie nie tylko prośbę doktora spotkała ponownie odmowa, lecz i fotograf zaczął od tej pory zwracać pilną uwagę na nieobecność Brzeskiego.

- Panie Brzeski, niech pan uważa, żeby nie rozbili pudeł ze szkłami!

- Panie Brzeski, czy pan zapakował podstawkę?

- Panie Brzeski, niech pan dostanie z moich rzeczy zielony woreczek!

- Panie Brzeski, po przybyciu na nocleg, niech pan zaraz każe słać nam pościel, gdyż jutro duży przejazd i wyruszamy przed świtem. Sam pan również niech nigdzie nie odchodzi...

Brzeski chmurzył się, ale spełniał, co mu kazano. Skoro jednak znalazł chwilkę wolnego czasu, zaraz kierował wierzchowca na koniec karawany.

- Niech doktor pozwoli. Potrzymam doktorowi konia! — mówił grzecznie, widząc, że ten sili się schwycić coś na ziemi, a zestraszony koń przeszkadza mu, szarpiąc go w tył gwałtownie za trezlę.

- Dziękuję ci, dziecko moje!... Ogromnie zajmująca jaszczurka schowała się pod ten kamień i dostać jej nie mogę... Dajmy jej za wygraną... Wracaj już, wracaj do swoich zajęć...

- Nie jestem niewolnikiem!... Żadnych zajęć fotograficznych nie ma w drodze! Nie sprzedałem się! — mruknął chłopak.

Twarz doktora powlokła się mocnym rumieńcem.

- Drogi chłopcze! - odrzekł powściągliwie. — Słyszę, że powtarzasz zdania naszego kochanego topografa. Wcale się z nim nie zgadzam. Każdy, kto chce być pożytecznym i zająć się jakąkolwiek pracą, musi zrzec się swej woli na godzin kilka, na kilka tygodni, miesięcy lub lat... Sprzedać się, jak pan mówi!... Większość ludzi jest w tym znaczeniu niewolnikiem przez życie całe. Pracownik musi podlegać pewnej dyscyplinie, ograniczać, a często zrzekać się swej woli, musi postępować planowo w raz wskazanym kierunku. Musi dotrzymywać terminów, spełniać zobowiązania, doprowadzać do końca zaczętą robotę... Bez tego niemożli-

we jest współzawodnictwo i nawet współżycie. Otaczający muszą być pewni, że coś, na co liczą, zostanie zrobione dobrze i w swoim czasie... To trudno!... zupełnie wolnym osobnik może się stać tylko na pustyni, na wyspie bezludnej, jak Robinson Kruzoe... Ale za to jest skazany na samotność...! Tęskni, męczy się i koniec końców woli pewną zależność niż swobodę samotnika. Wszelka wymiana usług pociąga za sobą zależność!... Jeżeli z czegoś korzystamy, musimy i sami coś dawać... A dawać w porę, to dawać podwójnie!... Zrobić w porę, to też bardzo wiele znaczy... Dlatego dotrzymywanie obietnicy i posłuszeństwa należy do bardzo pięknych i pożądanych przymiotów. Lepiej spełnić głupi rozkaz niż odrzucać całkowicie posłuszeństwo, a więc porządek w robocie... Niech pan nie zwraca uwagi na gadanie dziwaka topografa, a niech pan raczej naśladuje go w spełnianiu obowiązków... Przyzna pan, że rzadko kto równie sumiennie, uczciwie i starannie traktuje swoje zajęcia. Że dziwak - prawda - ale to zacny, szlachetny dziwak. Przecie on w gruncie rzeczy słucha, spełnia, co obieca!... W tych warunkach posłuszeństwo ujmy nam nie czyni. Uwłacza nam tylko użytek nieodpowiedni, jaki z władzy samej robimy, kiedy korzystamy z niej dla zadowolenia swoich upodobań i namiętności ze szkodą ogólnej sprawy... Niech pan to pamięta i gdy pan z czasem sam zacznie innym rozkazywać, niech pan nie rządzi się pychą i miłością własną, ale dobrem wszystkich oraz niech pan szanuje godność swych podwładnych!...

- A więc według pana powinienem spełniać nawet złą rzecz, skoro mi rozkażą!?

- Nie, tego nie powiedziałem. Pan może odmówić spełnienia rozkazu. ale niech pan nie zapomina, że to jest naruszeniem zobowiązania, że ma pan w takim razie do wyboru albo postąpić niezgodnie ze swym sumieniem, albo ponieść pewną karę za przewinienie społeczne, którą to karę powinien pan przyjąć mężnie i z godnością...

Brzeski niechętnie słuchał ewangelicznych i trochę rozwlekłych dowodzeń doktora; wolał topografa i jego krótkie, dobitne aforyzmy.

- Wszystko ma swój kres... wszystko ma swój kres! - mruczał gniewnie.

- Przypuszczam, że w Chu-czenie wiele rzeczy się zmieni i nie będzie tego męczącego nieładu. Tam przyłączy się do nas oddział wojska, a wojsko wszędzie wprowadza porządek i systematyczność. Będziemy poruszali się wolniej, będzie więcej na wszystko czasu.

- Jakie wojsko? Chińskie wojsko? Hołota! - roześmiał się topograf, który przyłączył się do nich. - Na co czekać? Czego się spodziewać? A jeżeli nic się nie zmieni, to co? Co poczniesz wtedy, kochany doktorze? Ech, lepiej stańmy się wandalami, spalmy własne dusze i przyznajmy się, żeśmy skazali się dobrowolnie do ciężkich robót na lat dwa. Pogódźmy się z losem! Niech każdy z nas stara się wbrew przeszkodom zrobić jak najwięcej. A nie zrobi, to nie! On temu nie winien!... Dziura w niebie nie stanie się!... Co, młody kolego? Czegoś się pan zamyślił? Ot, już jadą po pana! Trzymaj się pan ciepło!

Istotnie Małych leciał ku nim co koń wyskoczy.

- Już wiem, już wiem... — uprzedzał go Brzeski.

- Właśnie! Kazali natychmiast...

Baron miał szczęście. Ilekroć się w co wmieszał, zawsze wywoływał zamęt i niezadowolenie. Pochód odbywał się spokojnie jedynie wtedy, gdy on spał w swej krytej kibitce albo na nic nie zwracał uwagi, zajęty swymi obliczeniami. Z wolna tracił naczelnik wyprawy resztki powagi i zaufania nawet wśród prostych furmanów; tylko posępna, stanowcza jego mina wstrzymywała ich od głośnego wyrzekania. To. zbyt się śpieszył, to za długo wypoczywał, to źle wybierał noclegi. A nikomu nie wierzył i zawsze robił na opak. Ale był pewny, że on prowadzi wyprawę że jemu zawdzięcza ona swoją szczęśliwą wędrówkę. W istocie zaś posuwała się ona naprzód dzięki pewnej rutynie, dzięki najemnikom i wielbłądom.

Krajobraz z wolna zmieniał się, płaska linia widnokręgu gięła się i łamała. Tu i owdzie niskorosłe stepowe drzewa skupiały się w znaczniejsze zarośla i gaje; twarde trawy i trzciny stepowe znów zaczęły wznosić wysoko szeleszczące kity i tworzyć ogromne łany. W ich ukryciu zaczęły ukazywać się samotne namioty koczowników.

Droga coraz wyraźniej zaznaczała się wśród niezmierzonych obszarów. Wreszcie w dali, na błękicie nieba opadającego za skraj ciemnego stepu, zarysował się niby rząd perłowych obłoków łańcuch gór śniegowych. Pod nimi, w dole mignęła ciemna mglista plama.

- Chu-czen! - krzyknęli wesoło przewodnicy. - Chu-czen!

V

Ciemne mury miasta występowały coraz wyraźniej na tle dalekie gór, wyrastały coraz wyżej niby cielsko kamiennego potwora, dźwigającego się ociężale z żółtych piachów pustyni.

Nic nie wskazywało ukrytego poza murami życia, nic nie wystawało ponad zębate ich szczyty. Prosta szeroka droga wbiegała wprost ze stepu pod olbrzymie sklepione wrota, nad którymi wznosiła się ciężka baszta z wywiniętymi rogami podwójnych dachów i szeregiem strzelnic we dwa piętra. Przedmieść z tej strony miasto nie miało, gdyż lotne piaski podchodziły do samych jego murów.

Miarowym krokiem zbliżała się ku wrotom karawana brząkając dzwonkami. Nagle Chińczyk ukryty z boku gościńca wystąpił na środek przyklęknął na jedno kolano i wyciągnął rękę do pierwszego przewodnika ze zwitkiem czerwonego papieru poznaczonego wzdłuż złotymi literami [1]. Był to goniec wysłany naprzód przez władze miasta, uprzedzonymi o przybyciu „zamorskich gości”. Czerwony papier wyobrażał bilet wizytowy urzędnika, który czekał opodal pod wspaniałym parasolem z długą zwisającą frędzlą.

Obok pachołek trzymał za uzdę osiodłanego konia.

Gdy baron nadjechał, mandaryn [2] wyszedł na drogę i powitał go przyklęknięciem i wielokrotnym wstrząśnięciem zaciśniętych pięści. Poproszony grzecznie, po pewnym wzdraganiu się dosiadł zręcznie wierzchowca i przyłączył się do orszaku. Odtąd zaczął się cały szereg ceremonii.

O kilka staj czekał ustawiony szpalerem z obu stron drogi oddział kawalerii w jaskrawych czerwonych kaftanach, białych sukiennych butach i czarnych kapeluszach z barwnymi pióropuszami.

Na piersiach i plecach „niezwyciężonych smoków Niebieskiego Państwa” [3] wiły się kunsztownie haftowane żółte i zielone smoki, nad głowami ich trzepotały się na wysokich spisach roje kolorowych chorągiewek; broń lśniła w słońcu, a wachlarze w rękach żołnierzy poruszały się w takt i chłodziły ciemne marsowate ich twarze, spotniałe na południowym upale.

Zestraszone konie i wielbłądy karawany nie chciały wejść w tę ulicę, podobną do płonącego lasu, ciskały się w bok, zadarłszy ogony, i chrapały; wiele z nich pozrzucało juki i uciekło w pola, gdzie, zatrzymawszy się w przyzwoitej odległości, chrapały i tupały nogami spoglądając z przerażeniem na okropną pułapkę. Dor szczekał zaciekle.

Podczas gdy poganiacze łowili rozbrykane zwierzęta, z niebieskiego namiotu wyszli oficerowie i zaprosili podróżników na posiłek. We wnętrzu namiotu, na czarnych lakierowanych stołach czekały gości dziesiątki mniejszych i większych waz oraz miseczek z konfiturami, ciastami i owocami. Podano herbatę.

Brzeski chciwie się wszystkiemu przyglądał. Uderzyło go zręczne, pełne wdzięku obejście wojskowych chińskich. Po jurtach mongolskich ten namiot schludny, cienisty, pełen

[1] Chodzi oczywiście o hieroglify (znaki), jakimi posługuje się pismo chińskie, nie znające liter.

[2] Mandaryn (z port.) - dawna europejska nazwa urzędnika chińskiego.

[3] Niebieskie Państwo na określenie swojego kraju Chińczycy używali m.in. słowa *tiensia*, czyli „Kraj Podniebny”, „Państwo Podniebne”, „to, co znajduje się pod Niebem”.

błękitnawego światła, wydał mu się niezwykle uroczym.

- Doktorze, jeżeli doktor pójdzie na miasto; proszę mię koniecznie wziąć z sobą - szepnął błagalnie przed wyjściem.

- A fotograf?

- Ech! Niech co chce będzie!... Myślę, że on zmęczy się i spać położył...

- W takim razie zgoda!... Zobaczymy!...

Kiedy wjechali we wrota, zrozumieli, dlaczego wydają się im tak czarne: wylot ich zagradzał od wnętrza występ wysokiego muru, który trzeba było ominąć, aby wydostać się z ciasnego przedsionka miasta na jego ulicę [1]. Szeroka prosta ulica zabudowana była z obu stron niskimi domami. Na mieszkanie dla ekspedycji przeznaczono tuż u bramy nieduży, brudny ale ozdobiony flagami dom rządowy. Tam znowu znaleźli stół zastawiony jedzeniem i gorącą herbatą. Kilku mandarynów w galowych ubraniach i kapeluszach na głowach robiło honory. Baron, który z fotografem wyprzedził karawanę, siedział wśród nich zły i nadęty.

- Dobrze, żeście przyjechali nareszcie. Siedzę wśród nich sam jeden jak głupi. Myślałem, że sobie pójdą... Zmęczony jestem, spać mi się chce, a oni wciąż siedzą i siedzą... Czekają na coś... Czy tłumacz przyjechał?

- Nie! Zaraz będzie. Pozostał cokolwiek w tyle!...

Wszedł Małych.

- A gdzie Dor? Co pan zrobił z psem?

- Został z Siujem.

- Dlaczego z Siujem? Prosiłem pana, żeby go nie zostawiać... Pan wie, że nie lubi psa ta azjatycka hołota... Jeszcze mu co zrobią!...

Małych zaczął rozwlekle opowiadać, jak to wielbłądy i konie, zadarłszy ogony, uciekły w pola, a panowie poszli na herbatę do namiotu. Dor ścigał w stepie uciekających i odważnie szczekał na chrząkające nań wielbłądy, które do tego stopnia ośmieliły się, że o mało nie ukąsiły szlachetnego psa i nawet ścigały go z wyszczerzonymi zębami.

- Z trudnością obroniłem go i stąd moje opóźnienie!... - tłumaczył się Syberyjczyk.

Chińscy generałowie z wielką uwagą przysłuchiwali się rozmowie, przypuszczając z gorącego jej tonu, że jest bardzo ważna.

Wreszcie zjawił się Siuj i Dor, który wbrew chińskiej etykiecie był wpuszczony do pokoju. Nie omieszkał z tego skorzystać i zaraz jął obwąchiwać łydki i inne części ciała zebranym dostojnikom. Nie zdradzili najmniejszym gestem swego wstrętu, chociaż w oczach im migały gniewne błyskawice.

- Trzeba usunąć psa... Jest to wykroczenie przeciwne chińskiej obyczajności... Grzeczność chińska nie pozwala, aby pies... - zauważył porywczo topograf.

- Proszę uwagi swoje zachować dla siebie... Jestem przecie nie w chińskim, a we własnym mieszkaniu! - odparł gniewnie baron.

- Zbliż się tutaj, Siuj, i przetłumacz im, co ci powiem...

Zaczęto wreszcie rozmowę przez podwójnego tłumacza.

- Ka-ka ta-ka...

Brzeski z trudnością tłumił śmiech słuchając jąkania Siuja, a topograf wciąż jeszcze dolewał oliwy do ognia:

- Co to jest? Ta-ka ta-ka chło-pa-ka chi-cho-ta go-ta?! Brak szacunku Aha! poniewieranie prawami stepowymi. Pan ich, widzę, nie zna i nie szanuje!... Oho!... My pana nauczymy moresu, niemieckiego moresu! I za co to? Za to, że zamiast jednego dobrego tłumacza, wzięliśmy dwóch kiepskich. Nigdy ludzie nie poznają się na nowych wynalazkach!... A tymczasem przecie to takie proste: siła złego dwóch na jednego... Pan ba-ra-dzoo mo-ło-dy!... - żartował topograf naśladując na przemian głos barona i Siuja.

[1] Tak zbudowane są wszystkie forteczne wrota miast chińskich (przyp. aut.).

- Cicho, słuchajcie... Zdaje się, że tam coś ważnego!... - wstrzymał ich doktor.

Istotnie, Chińczycy po wymianie zwykłych grzeczności, zaczęli obszernie przekładać coś, czego Siuj nie mógł czy nie chciał przetłumaczyć Baron niecierpliwił się.

- Cóż oni mówią? Dlaczego nie tłumaczysz?

Siuj długo namyślał się, nim powiedział z przerażeniem w oczach:

- Bi-ty-wa!

- Co za bitwa? Z kim?

- Dunganie [1]... Powstańcy... Tak miarkuję z ich mowy... - objaśnił Małych.

Baron poruszył się i zwrócił twarzą do tłumacza:

- Więc co? Powiedz wyraźnie, o co chodzi?!

Powiadają, że przez Chami [2], przez Tziań-juj-guań [3] i Lań-czżon-fu [4] przejść nie podobna, że trzeba zwrócić na Kobdo, Urgę [5], Kałgan [6], jak zwykle chodzą cudzoziemcy - powtarzał Małych.

Baron milczał długą chwilę. Wskazana zmiana kierunku pozbawiała jego podróż wszelkiego sensu, gdyż był to kierunek już znany i opisany wielokroć.

- Nazad wrócić? Niech sobie z głowy wybiją!... Niech nam dadzą większy konwój... Niech nam dadzą szwadron, pułk... ile chcą... Ale nie po tośmy przyszli, aby wracać... - wybuchnął wreszcie.

- Rozumie się, panie baronie... Żadną miarą wracać nie możemy. Zresztą to wybieg... Ja ich znam... Nie chcą nam pozwolić poznać nowej drogi - odezwał się gorąco i tym razem szczerze topograf. - Po prostu nie chcą dopuścić, abyśmy poznali nową drogę do Chin!

Baron poczerwieniał.

- Powiedz im, że mam pozwolenie od Bogdochana [7] ... od samego cesarza... Chuan-di [8] - dodał po chińsku dla zwiększenia wrażenia.

Chińczycy dzielili się krótkimi wstrzemięźliwymi uwagami, przypatrując się uważnie baronowi, podczas gdy ten ciężko, powolnie wnikając w istotę rzeczy, gniewał się coraz bardziej.

Zapomniał o wszelkiej przyzwoitości.

Grube żyły nabrzmiały mu na karku i czole, i aby lepiej gromić Siuja, odwrócił się prawie tyłem do mandarynów, którzy usłyszawszy tytuł Chuan-di zamienili znaczące spojrzenia.

Siuj tak się przeraził, że słowa rzec nie mógł, oczy przymknął, głowę wtulił w ramiona i zmartwiał do reszty. Daremnie krzyczał nań baron:

- Powiedz im, powiedz... że nic z tego!

Tłumacz milczał jak zaklęty. Małych po chińsku mówić nie umiał.

- Miarkuję coś niecoś, ale wyobrazić nie mogę... - powtarzał zafrasowany.

- Cóż oni mówią?

Mówią szy, to jest niby: tak; ale to nie znaczy, że przyzwalają, jeno tak... przez grzeczność! Mówią też: Co-Cun-tań [9]... co jest ich niby generał-gubernator!... Mówią też, że Ti

[1] Dunganie. Dunganowie (chiń. Huej: Hui) zbiorcza nazwa ludów turkuckich, wyznających islam i zamieszkujących głównie tereny Chin Północno-Zachodnich i Kazachstanu.

[2] Chami. właśc. Hami - kotlina i miasto w Chinach Północno-Zachodnich.

[3] Tziań-juj-guań, właśc. Ciajdkuan; Jiayuguan miasto i strażnica na zachodnim krańcu Wielkiego Muru Chińskiego.

[4] Lań-czżon-fu. właśc. Lanczou; Lanzhou - główne miasto chińskiej prowincji Kansu (Gansu).

[5] Urga - dawna rosyjska nazwa mongolskiego miasta Dachure; obecnie Ułan-Bator.

[6] Kałgan — dawna mongolska nazwa Czangciakou (Zhngjiakou) w Chinach Północnych.

[7] Bogdochan, właśc. bogdo-chan — zwierzchnik mongolskiego kościoła lamaickiego. Tutaj błędnie w znaczeniu: „cesarz chiński".

[8] Chuan-di [właśc. huangti (chiń.)] — tytuł cesarza chińskiego (przyp. aut.); posługiwać się tym słowem mogli wyłącznie najbliżsi członkowie rodziny cesarza.

[9] Co-Cun-tań, właśc. Cungtang; Zuo Zongtang (1812-1885) - wielkorządca i dowódca wojskowy. Od 1875 kierował tłumieniem powstań muzułmańskich mniejszości narodowych w Chinach Północno-Zachodnich.

Duna [1] ich nie ma, że wyjechał... ten sam Ti Dun!...

- Powiedz im wyraźnie, że pójdziemy bez konwoju, że pytać nie będziemy ich o pozwolenie!... - rozkazał naczelnik.

- Jakże im powiem, kiedy ja tylko miarkuję, a wyrazić sam niezdolen jestem! - wymawiał się Małych.

- Jak chcesz, tak mów!... Jak umiesz, ale niech wiedzą, niech wszystko wiedzą!... - nastawał groźnie baron.

Po krótkiej, energicznej przemowie w narzeczu kiachtyńskim udało się nareszcie Małychowi przekonać Siuja i ten groźbę przetłumaczył.

Urzędnicy kłaniali się grzecznie i mówili długo, i w odpowiedziach ich stale powtarzało się: Co-Cun-tań, Ti Dun, *chun-chu-tza* [2].

- Bez konwoju nie zgadzają się, powiadają, że tam powstanie, że bez konwoju nigdzie nas nie kazano puszczać, że Ti Duna nie ma... Że za to im głowę utną!... - zadecydował Małych.

- A niech im utną! - wybuchnął baron. - I co nas obchodzi ich Ti Dun, który nie wiadomo kiedy wróci! My mamy wolny przejazd od samego Bogdochana. Kto on taki ten Ti Dun?! Buntownik?!...

- Ti Dun jest głównym naczelnikiem ich miasta - pośpiesznie objaśnił Małych.

- Głupiś, tłumacz, co ci kazano.

Na szczęście jednak ani Siuj, ani Małych nie odważyli się powtórzyć wyrażenia barona. Urzędnicy grzecznie kłaniając się twierdzili w kółko to samo. Wreszcie odeszli stroskani i rozdrażnieni. Dor, przestraszony ich pożegnalnymi reweransami, zaczął zapalczywie szczekać.

- Co robić? - spytał półgłosem baron.

- Iść na podbój. A jeżeli nie puszczą nas przez Chami, to zwrócić na wschód i na przełaj przez Gobi dotrzeć do Kałganiu. Przejdziemy w ten sposób okolice, gdzie jeszcze noga Europejczyka nie postała. Pod żadnym pozorem nie wracać - radził stanowczo topograf.

Baron w zamyśleniu gładził dłonią brodę. Przez chwilę zdawało się, że niebezpieczeństwo złączy rozstrzelone siły wyprawy, że złagodzi osobiste urazy. Doktor zbliżył się, aby dorzucić swe zdanie. Ale baron zmarszczył brwi nagle i kiwnął lekceważąco ręką.

- Dobrze! Pomyślę o tym!...

Doktor cofnął się. i wkrótce razem z topografem i Brzeskim wyszli, aby udać się do wyznaczonego im w oficynach pomieszkania.

Miasto spało w ciemnościach. Co czas jakiś przelatywał nad nim wrzaskliwy dźwięk trąb miedzianych i łoskot żelaznych *lo* [3], na których straż, wartująca w baszcie nad bramą, wygrywała godziny.

- Sprzedaliście się lekkomyślnie za nędzne srebrniki i musicie słuchać!... Co chcę, to z wami zrobię!... Zechcę, a staniecie się ofiarami mojego konceptu. Jako głowa... wyprawy odpowiadam za wszystko i rozkazuję wam, doktorze, i tobie, młodzieńcze, abyście zawczasu przygotowali swe skóry. Upewniam was, że Chińczycy zrobią z nich doskonały... bęben!... mruczał topograf naśladując głos barona.

[1] T i - D u n |właśc. titu (chiń.)] naczelnik wojennego okręgu (przyp. aut.).
[2] Chun-chu-tza [właśc. hunghucy (chiń.)] — rozbójnik (przyp. aut.); dosł. rudobrody.
[3] Lo (chiń.) - gong (przyp. aut.)

VI

Chu-czen było miastem wojennym. Tworzyły je cztery ufortyfikowane, otoczone murami obozy, których środkiem szła ulica z ubogimi sklepami, gdzie sprzedawano przeważnie proste potrzeby żołnierskie oraz artykuły spożywcze. Zaledwie w kilku magazynach widać było wytworniejsze wyroby. Mimo to obiad, przysłany podróżnym przez władze miejskie, okazał się nadspodziewanie rozmaitym i wybornym. Składał się z czterdziestu dań drobno pokrajanych i zgrabnie ułożonych w małych miseczkach z laki oraz porcelany. Wśród nich, rozumie się, była i obowiązkowa na każdej okazalszej uczcie zupa z gniazd jaskółczych [1]. Podobna była do białawego sosu i bardzo wszystkim smakowała. Obiad przynieśli tragarze na kilku ogromnych tacach, przykrytych pięknie zdobnymi pokrywami.

Wszystko wyglądało bardzo ponętnie i błyszczało od czystości.

- Aha... chcą nas ułagodzić! Jak dobrze, że pan baron potraktował ich należycie! - wołał fotograf tak głośno, żeby naczelnik mógł słyszeć.

Baron uśmiechnął się z zadowolenia i zajadając smaczny obiad chiński wypowiedział kilka uwag o konieczności „metody” w stosunkach z przebiegłymi Azjatami.

Po obiedzie doktor z topografem wzięli policjanta na przewodnika i poszli obejrzeć miasto. Brzeski wymknął się za nimi. Nie znaleźli nieszczególnego: sklepy takie same, jakie zwykle urządzają Chińczycy w swych dzielnicach po miastach syberyjskich. Koszarowe domki z bitej gliny, mieszkania żołnierzy jednostajnie szare, proste, ubogie i niezmiernie do siebie podobne. Przechodnie na ulicach nieliczni, przeważnie wojskowi, i zupełny brak wśród nich kobiet oraz dzieci. Na widok cudzoziemców, na okrzyk *jan-żeń* [2] ciekawi stawali, oglądali się, wychodzili ze sklepów, tłum gawiedzi dążył nawet za nimi, ale podróżnicy nie poznawali Chińczyków tak zwykle wesołych i grzecznych. Przyglądano się im spode łba chmurnie i apatycznie. Usłyszeli nawet stłumiony okrzyk: *Jan-guj-tzy! ...* [3]

- Oto są rezultaty potrójnej sasko-koburg-gockiej „metody”! - mruknął topograf, który umiał wszędzie doszukać się barona.

Prawdopodobnie jednak były to ślady wojny domowej, która niedawno przeszła nad tym nieszczęśliwym krajem. Dopiero gdy krajowcy zauważyli, że doktor zabiera się do szkicowania obrazka, zbiegli się ze wszystkich stron i otoczyli go ożywionym kołem. Posypały się uwagi, żarty, wesołe okrzyki, przeplatane powszechnym, ale życzliwym śmiechem.

Chao! [4] - krzyczeli, wznosząc do góry pięści z wyciągniętymi dużymi palcami.

- *Chua-dy-chao! Chao-kań!* [5] - oznajmiali ci, którzy stali bliżej doktora.

Tłum tak napierał, że policjanci rady sobie z nim dać nie mogli. Zresztą byli sami do tego stopnia zainteresowani rysunkiem, że zamiast wywijać bambusem i odpędzać ciekawych, co chwila zaglądali przez ramię doktora. Ciżba wzrastała.

Chińczycy stojący w pierwszym szeregu zmuszeni byli wbrew woli opierać się nieledwie na plecach rysownika.

Daremnie ten tłumaczył im, że mu przeszkadzają, daremnie najbliżsi grzecznie usiłowali się cofnąć. Ogrom zbiorowiska niweczył pojedyncze chęci. Widząc, że doktor zwija papier, zaczęli widzowie go prosić:

[1] Zupa z gniazd jaskółczych - jedna z najwykwintniejszych potraw kuchni chińskiej, przyrządzana ze śliny jerzyków morskich (salangin), za pomocą której ptaki te lepią swoje gniazda; cenione ze względu na wartości odżywcze.

[2] Jan-żeń [właśc, jangżen (chiń.) - cudzoziemiec (przyp. aut.).

[3] Jan-guj-tzy [właśc. jang kuejcy (chiń.)] - zamorski diabeł (przyp. aut.).

[4] Chao [właśc. hao (chiń.)] - dobrze (przyp. aut.).

[5] Chua-dy-chao! - Chao-kań! [właśc. Huate hao! Haokan! (chiń.)] — Dobrze narysowane! Ładne (przyp. aut.).

- *Kań-kań!* [1]

- I nam też! I nam!.. - proszono zewsząd.

Doktor chwilę pomyślał i podał komuś z dalszych szeregów. Setki rąk wyciągnęły się ku papierowi. Tłum uspokoił się i doktor zaczął szybko szkicować nowy rysunek. W miarę jak papier ze czcią podawany wędrował z rąk do rąk, rozlegały się okrzyki zachwytu i duże palce wznosiły ku górze.

- *Chao!*

Brzeski czuł się oszołomiony, szczególnie gdy po długiej wędrówce rysunek wrócił z rąk tego brudnego, cuchnącego czosnkiem tłumu, cały i czysty. Brzeski poczuł dla nich pewnego rodzaju szacunek. To nie byli dzicy, gburowaci Mongołowie, lecz ukształcony, rozważny lud, choć biedny i nędznie ubrany.

- Gdzie się pan podział? - spytał kwaśno Brzeskiego po powrocie fotograf. - Właśnie chciałem iść fotografować!

- Czemu mię pan o tym nie uprzedził! - odpowiedział z rozdrażnieniem chłopak.

- To pan powinien pilnować, a nie ja... swego obowiązku...

- Już dobrze! Idźmy...

- Ba! Teraz, kiedy pan pewnie zmęczony...

- To już nie należy do pana!

W towarzystwie policjantów, uzbrojonych w ogromne bambusy, ruszyli znowu przez błotniste ulice miasta. I znowu otoczyła ich gawiedź, podniecona poprzednim widowiskiem.

Ale niezrozumiałe manipulacje z aparatem oraz osobistość fotografa, który krzyczał i wygrażał pięściami ciekawskim, zabiegającym zbyt blisko przed same szkła „tajemniczego smoka", nie podobały się tłumowi. Brzeski też chmurno patrzał na otaczających.

- *Jan-guj-tzy!... Jan-guj-tzy!* - zaszumiało w dali.

Gdy fotograf schował głowę pod sukno, na chwilę umilkła wrzawa, rozległ się natomiast homeryczny rozpasany śmiech. Mignęły w powietrzu łupiny, grudki ziemi i trafiły fotografa w nogę.

- Co to? Co tam? Czyś to pan mię trącił? - krzyknął ten zmieszany.

Był blady i ręce mu drżały. Mimo to chciał skończyć zdjęcie i migawkę nacisnął.

Na lekki, nieznany trzask tłum cofnął się nerwowo, ale po chwili jął pchać naprzód z większą jeszcze siłą i rozhukaniem.

Policjanci tłukli niemiłosiernie kijami i własnymi warkoczami na prawo i na lewo.

Jan-guj-tzy... Bu-jao! [2] Pstryk, *bu-jao!* - krzyczano wkoło i mlaskano językiem naśladując dźwięki migawki. Teraz wydawali się oni Brzeskiemu dzikszymi i ordynarniejszymi od pastuchów mongolskich.

- Chodź pan!... chodź - wołał fotograf.

- Na Boga, nie śpiesz się pan, bo gdy zauważą, że uciekamy, straszne będzie nieszczęście! - szeptał Brzeski zwalniając kroku. - W gimnazjum, gdy nas napastowano na ulicy, zawsze cofaliśmy się krokiem!

Fotograf rad nierad musiał uczynić to samo, gdyż tłum napierał ze wszech stron, krzycząc i gestykulując. Gdyby więc nawet chcieli, nie mogliby kroku przyśpieszyć. Tłum, choć zuchwały i rozigrany, nie ośmielał się dotychczas zaczepiać ich czynnie. Nagle Brzeski poczuł, że go ktoś w plecy mocno uderzył.

Stanął, odwrócił się i spotkał oko w oko z rosłym robotnikiem w niebieskiej nankinowej [3] koszuli.

- Czego chcesz? - spytał po polsku.

Chińczyk zmieszał się i cofnął, tłum roześmiał się i przestał naciskać. Niektórzy poznali

[1] Kań-kań [właśc. kankan (zniekszt. chiń.)] - pokaż (przyp. aut.).

[2] Bu-jao [właśc. pujao (chiń.)] nie trzeba (przyp. aut.).

[3] Nankin - gęsta tkanina bawełniana.

go.

- *Jan-żeń* - wołali. *Chua... chao!...* Pstryk... *bu jao!*

Robili odpowiednie gesta, naśladując to doktora, to fotografa, i wkrótce rozdzielili się na dwa wesołe chóry, z których jeden powtarzał:

- *Chua chao!*

A drugi odpowiadał mu przeciągle:

- Pstryk... *bu jao!*

- Pstryk... *bu jao!* - zgodził się Brzeski ku wielkiej ich uciesze.

Odprowadzili go z wesołym gwarem do samych wrót mieszkania. Fotograf już tam był i narobił hałasu opowiadaniem, że na nich napadli, że Brzeski zbity, a może i... zabity.

Oficer straży z ironicznym uśmiechem wysłuchał opowieści tłumacza o strasznym wypadku, ale posłał natychmiast kilku żołnierzy na ulicę.

Brzeski spotkał się z nimi w bramie. Tłum stał opodal i pokazywał mu na znak przyjaźni pięście z wyciągniętymi palcami. Młodzieniec zwrócił się i pożegnał z nimi po chińsku, wstrząśnięciem rąk. W zamian usłyszał ryk zachwytu i bramę za nim zamknięto. I tłum, i chłopiec rozstali się w równej mierze zadowoleni z siebie.

Taką była pierwsza Brzeskiego z Chińczykami znajomość.

VII

Zanosiło się na to, że wyprawa ugrzęźnie w Chu-czenie na czas nieokreślony, a może nawet wniwecz się obróci. Mandaryni posyłali obiady coraz mniej wspaniałe i nie ukazywali się wcale. Baron milczał według swego zwyczaju i nikt nie wiedział o dalszych jego zamiarach. Część mulników i wielbłądziarzy odprawił niezwłocznie, reszty, która była zgodzona na całą podróż, a teraz odejść chciała, też nie zatrzymywał, ale dawał im za przebytą drogę tak mało, że ci zaczynali się burzyć.

- Nie możemy czasu za darmo tracić. My z tego żyjemy... rodziny z tego utrzymujemy... Więc albo niech ruszy karawana zaraz, albo nam płacić! Myśmy niewinni... Nie chcemy czekać!... - krzyczeli.

- Powiedz im - mówił baron do tłumacza - powiedz im, że i ja nie jestem winien, że też chcę natychmiast wyruszyć... Że potrzebny mi nie początek podróży, lecz jej koniec!...

- Niech nam zapłaci, co się nam należy, my sobie pójdziemy!

- Niech idą po pieniądze do swych urzędników - brzmiała odpowiedź i baron znikał w głębi swego mieszkania.

Mulnicy klęli, spoglądali z ukosa na chińskich żołnierzy i gładzili podbródki.

Sceny te powtarzały się nieledwie co dzień. Wszyscy byli bardzo podrażnieni i nudzili się szalenie, gdyż naczelnik po przygodzie z fotografem zabronił komukolwiek wychodzić na miasto. W istocie ekspedycja okazała się w niewoli. Tylko oficer straży chińskiej i jego żołnierze u wrót zachowywali po dawnemu niezmącony spokój i uprzedzającą grzeczność.

- Kiedyż wróci Ti Dun!? - stale pytał oficera topograf.

- Ti Dun?! - powtarzał ten z uśmiechem i machał przecząco przed nosem dłonią na znak, że nie rozumie.

- Łżą szelmy! Na pewno jest u siebie w mieszkaniu!... - gadał olbrzym. - Baron źle zrobił, że nie oddał wizyt tym urzędnikom, którzy u nas byli. Ale wiadomo, gdy azjatyckie Li-Cho Ro-Ga-Te trafi na europejskiego *Hoch-geboren Commerzien Geheimrat* [1], to z tego wyrośnie godny uwagi ananas. Teraz wzajemnie będą się uczyli grzeczności. Chińczycy ogro-

[1] Hoch-geboren Commerzien Geheimrat (niem.) - wysoko urodzony tajny radca handlowy.

mnie są grzeczni, znam ich... W Kuldży [1] niemało mieliśmy z nimi roboty... Niby nie rozumieją, a uważałeś, doktorze, jak słuchają pilnie? Z tonu poznają, czego się trzymać!... Filigranowe bestie!...

Wreszcie pewnego poranku Siuj przyniósł wiadomość, że Ti Dun przyjechał. Baron niezwłocznie posłał mu swój bilet wizytowy, napisany przez oficera straży według wzorów klasycznych złotymi literami na długim skrawku czerwonego papieru. W parę godzin przyszła odpowiedź:

Wiadomość, że drodzy goście sąsiedniego potężnego państwa pragną wnieść potok światłości do ubogiej mej chaty, napełnia mię niezmierną radością. Będę czekał na nich niecierpliwie dzisiaj, 23 dnia 10 księżyca o 3 po południu. Młodszy brat głupiec Ti-Du-Lo.

Trzeba było nająć palankiny [2] i to według etykiety galowej, z czterema tragarzami zamiast dwóch, i udać się do głównego ja-myniu [3] miasta. W mieście już wiedziano o tej wizycie i na ulicach zebrały się tłumy ciekawych.

Pochód otwierał sługa Chińczyk, niosący w ręku ogromną czerwoną kopertę z biletami wizytowymi gości. Obok niego szli czterej policjanci z bambusami i krzyczeli na całe gardło, aby tłum usuwał się z drogi. Następnie niesiono palankiny Brzeskiego, fotografa, topografa, doktora i w końcu barona. Siuj i Małych razem z kilku służącymi szli z tyłu piechotą.

Dor został zamknięty w mieszkaniu.

Gawiedź biegła z obu stron, hałasowała, popychała się, biła, starając zajrzeć do okien i dotknąć „zamorskiego mandaryna”, niezwykłego włochatego dziwa z długim nosem, z niebieskimi oczyma, ubranego w szaty śmieszne, cudaczne. Szybko unoszeni przez tragarzy, wpadli podróżnicy wśród krzyku i zamętu na pierwsze podwórze jamyniu, pełne przekupniów oraz żołnierzy golących głowy, reperujących odzież, piorących bieliznę. Strażnik stojący w głębi przed potrójnymi wrotami wstrzymał gości wzniesieniem ręki, po czym wrota, dotychczas otwarte, zamknęły się przed gośćmi. Tragarze zawiesili lektyki na bambusowych kozłach i rozprostowali omdlałe członki. Urzędnik przyjął kopertę z biletami wizytowymi i dał znać o przybyciu cudzoziemców.

Po chwili wrota się otwarły, tragarze znów porwali palankiny i ruszyli na następne podwórze, poza którym otwierał się widok na cały szereg, podobnych, ogrodzonych murami, wyłożonych płytami dziedzińców. Wszystkie były brudne, puste i zapuszczone. Z małych domków pod ścianami wyglądali żołnierze w codziennych ubiorach, zajęci pracą; na śmietnikach, pełnych zwiędłych kapuścianych liści, wałęsały się brzydkie, chude psy i duże chińskie kury; na sznurach i żerdziach wietrzyło się ubranie, suszyło obuwie, zwrócone podeszwami do góry. Żadnej okazałości. Dopiero na dalszych podwórzach dostrzec się dawała większa czystość i ozdobność. Rosły tam duże stare drzewa, rzucając drżący cień na kamienne bruki. Jedna z bram miała kształt zdobnej w piękne rzeźby altany. Tam czekało na podróżnych grono urzędników.

Wysiedli i poszli razem z nimi przez następne podwórza aż do szóstego, skąd przez okrągłe śliczne wrota otwierał się widok na mały ogród, pełen dziwacznych, nieznanych roślin. Tu znowu spotkali grono urzędników, ci rozstąpili się w milczeniu przed podróżnikami i Europejczycy znaleźli się nagle... przed ścianą. Zmieszani zaczęli szukać wzrokiem Ti Duna, ale daremnie, gdyż wszyscy obecni ubrani byli w jednakowe, w całych Chinach używane, domowe szaty zamożnych Chińczyków: czarne kaftany i szare lub niebieskie jedwabne żupa-

[1] Kuldża (chiń. Ili; Yili) miasto na pograniczu rosyjsko-chińskim, zwrócone Chinom zgodnie Traktatem Petersburskim z roku 1881.

[2] Palankin (z beng.) - nosidła; europejskie określenie używanej w Azji lektyki.

[3] Ja-myń [właśc. jamen (chiń.)] dom rządowy (przyp. aut.); urząd administracyjno-sądowniczy w dawnych Chinach, zarazem siedziba naczelnika prowincji, powiatu, miasta itp.

ny z sutymi wylotami [1].

Baronowi oczy krwią z gniewu nabiegły. Przewodniczący wyprawie chiński generał z czerwonym guzikiem na kapeluszu dostrzegł, że cudzoziemcy nie dadzą sobie rady, i grzecznie przedstawił ich zwierzchnikowi.

Ti Dun, wysoki, tęgi Mandżur, już zdążył ich obejrzeć, teraz pięści do piersi przyciskał, witał ich uprzejmie i zapraszał gestem do pokoju. Spokojna, trochę dumna twarz jego nie okazywała, że zauważył śmieszną, dopiero co rozegraną scenę.

Wszyscy, nie zdejmując kapeluszów, zasiedli w pokoju na niskich hebanowych taboretach dokoła hebanowego stołu, zastawionego ciastami, owocami, konfiturami. Podano herbatę. Każdą filiżankę Ti Dun brał do ręki i wznosił powyżej głowy, nim podał.

Rozmowa nie wiązała się, gdyż stropiony Siuj nie chciał nic więcej tłumaczyć ponad zdawkowe pytania o latach, o rodzicach oraz uprzejme uwagi co do „niezwykle starczego wyglądu” [2] łaskawych gości. Baron wściekły robił mu ostre wymówki, groził nawet utratą miejsca, ale nic tonie pomogło i rozmowę o dalszej podróży trzeba było odłożyć *ad calendas graecas* [3].

Mandaryni drwiąco spoglądali na cudzoziemców domyślając się ich kłopotu.

Baron wyrażał swe niezadowolenie ze wszystkiego: z Siuja, z Ti Duna, z przyjęcia... ze „wszystkich diabłów”...

- Po co było jeździć!!? Papiery mamy w porządku. Oni winni zwłoki. Złożyłem wizytę tylko przez wzgląd na was, panowie, żebyście potem nie powiedzieli, że nie słuchałem waszych rad i nie robiłem żadnych kroków do zgody... Ale właściwie zupełnie innego jestem zdania i od razu mówiłem, że nic z tego nie będzie! Już ja wiem, jak ich należy traktować! - zwrócił się baron do doktora - żadnych ustępstw! Posłuchałem was, a teraz co: wstyd, poniżenie!...

- Ustępstw?... Jakich ustępstw, kiedy oni zupełnie nic nam dać nie chcą? I dlaczego zwraca się do nas... zawsze do nas, gdy mu się co nie uda? - żalił się później topograf.

- Czemuś tego nie powiedział mu w oczy?... Obecnie nie pora krytykować i innym w głowach przewracać! - burknął zniecierpliwiony doktor wskazując oczami na Brzeskiego. Topograf nie zauważył jego znaków i ciągnął dalej zgryźliwie:

- Ba!... A prawa stepowe!? Zapomniałeś?... Jeszcze mnie ta trójpiętra bestia rozstrzela... Nie po to pojechałem do Chin. Od niego można się wszystkiego spodziewać. Co mi z tego, że mu potem odbiorą guzik, gdy mnie nie będzie! Wolę wziąć pieniądze i... niech sobie wszystko leci na samo dno... wieków średnich, byłem z duszą wrócił. Prawda, chłopcze, bądźmy prawdomówni, ale tylko... do stosu, jak radził Erazm Rotterdamski... [4] On ocalał... Co? - zwrócił się do Brzeskiego.

Brzeski spojrzał spod oka na topografa.

- Pan to zawsze gorzej mówi, niż zrobi...

- Aha! Zauważyłeś to, młodzieńcze!? Masz krótkie nazwisko, a w oczach bystrość sokolą, nie będzie cię „Geheimgerat-ge-koburg” lubił!

Nazajutrz Ti Dun oddał wizytę. Przybiegł przede wszystkim laufer z biletem wizytowym, a niezadługo w odległym końcu głównej ulicy zabrzmiały dźwięki miedzianych *lo*.

Brzeski wyszedł przed bramę. Tłum gawiedzi czekał już na widowisko, uszykowany szpalerem po obu stronach ulicy. W jasnej smudze nie zajętej przestrzeni z wolna poruszał się uroczysty pochód. Na przedzie szło w dwa rzędy po czterech jaskrawo ubranych wyrostków z

[1] Strój dawnego urzędnika chińskiego, składał się m.in. z zapinanego na prawym boku długiego chałatu, rozciętego po bokach od stóp do połowy uda oraz krótkiego czarnego kaftanu zakładanego na chałat.

[2] Podkreślenie starszego wieku jest w Chinach komplementem.

[3] Ad calendas graecas (łac.) — na czas nieokreślony.

[4] Erazm Rotterdamski, Erazm z Rotterdamu (1467-1536) — wybitny humanista holenderski, zwolennik tolerancji religijnej.

różnokolorowymi chorągwiami na ramionach. Za nimi znów w dwa rzędy ośmiu chłopców niosących czerwone drewniane łopaty [1] z napisami rang i tytułów Ti Duna. Dalej kroczyli czterej kaci; dwaj tłukli niemiłosiernie w błyszczące *lo*, dwaj wstrząsali długimi batami i kajdanami na postrach winowajcom. Następnie dwaj słudzy piastowali ogromny czerwony parasol o podwójnej frędzli, a za nimi dwaj inni nieśli wielki „wachlarz skromności", poza którym Ti Dun w razie potrzeby mógł w drodze zmienić ubranie.

Dwóch tragarzy dźwigało kufer z rzeczami, za nimi kroczyła straż piesza, niesiono drugi czerwony parasol mniejszy, z pojedynczą frędzlą; wreszcie ośmiu żołnierzy ze smokami wyszytymi na plecach i piersiach dźwigało w pięknym palankinie samego Ti Duna. Poprzedzał go oddział „nieustraszonych tygrysów", pstrych jak rój świeżo wylęgłych motyli, a z tyłu towarzyszyła mu świta z sześciu oficerów na koniach, w świetnych mundurach, pióropuszach różnokolorowych i gałkach świecących na czarnych kapeluszach. Na tle szaro i błękitno odzianego tłumu, w pogodnym i czystym powietrzu, w łagodnych promieniach z lekka srebrnymi obłokami przymglonego słońca, pochód wyglądał wspaniale. Brzeskiemu wydało się, że powtarza lekcję z historii, że widzi jakiś ustęp z wieków średnich lub jest świadkiem wjazdu lorda-mera [2] do Londynu. Wtem zawołano nań z podwórza. Na stopniach prowadzących do mieszkania stał baron z członkami wyprawy. Ti Dun wysiadł i zaczął się szereg ukłonów i i ceremonii. Potem wszyscy udali się do pokojów, gdzie już czekała ich zamówiona herbata. We drzwiach odbył się obowiązkowy na całym ucywilizowanym świecie, a zapożyczony w Chinach ceremoniał „wzdragania się"

Dzięki większej rozmowności Siuja pogawędka weszła na ciekawsze lory. Ti Dun rozpytywał o „kraje północne", o wynalazki, o koleje, o armaty i uzbrojenia... ale ani słowem nie napomknął o wyprawie barona.

- Powiedz mu... - krzyknął nareszcie do tłumacza rozjątrzony naczelnik - powiedz mu, że chcę wiedzieć, kiedy nas nareszcie wypuści! Albo niech wyśle natychmiast gońca z mym listem do Pekinu...

- Radzi jesteśmy gościom naszym i nie mamy zwyczaju skracać ich pobytu. Nasz starszy brat, skoro zbrzydził sobie obecność naszą, może ukarać niedbałość nieumiejętnych swych sług natychmiastowym wyjazdem...

- Dobrze! Niech więc dostarczą przewodników...

- Tak, ale starszy brat posłucha rozsądnie naszej niemądrej rady i pójdzie drogą, którą wskażemy. Inną drogą my nie możemy puścić naszego drogiego gościa przez wzgląd na jego bezpieczeństwo i zdrowie. Rozbójnicy...

- Rozbójnicy grasują w całych Chinach! Niech nie robi zawrotu głowy... Ja nie mam czasu, ja wiem!... *Wo-czży-dao!* [3] - zawołał baron po chińsku.

- Chiny są moją ojczyzną. Pełne braków, jak wszystko ludzkie, są bądź co bądź najlepszym krajem pod słońcem... - odrzekł dumnie Mandżur i wstał na znak pożegnania.

- Ależ my tylko nie chcemy wracać... Nie potrzebujemy wracać!... - wybuchnął niespodziewanie topograf. - Mamy mapę... Pokażemy na mapie... Możemy pójść na ukos przez Gobi...

Dostojnik kłaniał się grzecznie, przyciskając ręce do piersi, ale usta miał zacięte i oczy dumnie mrużył.

- Ja proszę się nie wtrącać... Tam na ukos jest piasek i żadnej wody... Pójdziemy drogą... która okaże się najlepszą... — ostro z niemiecka wstrzymał topografa baron.

Wizyta Ti Duna, choć marne dała rezultaty, stała się jednak początkiem nowych stosunków z miejscowymi władzami. Po długich naradach i odrzuceniu nieskończonej liczby projektów baron zgodził się wreszcie na kombinację topografa, która naturalnie z biegiem czasu

[1] Drewniane łopaty - mowa o pionowych tablicach umocowanych na kijach.
[2] Lord mer (właśc. Lord Mayor) (ang.) - burmistrz.
[3] Wo-czży-dao!, właśc. wo czytao (chiń.) - Wiem!

wydała mu się jego własną.

- Ale ja wiem, że choć będę ofiarowywał bryłę szczerego złota, zawsze znajdę niezadowolonych krytyków... i przeciwników - wyrzekł z goryczą.

Wykonanie „bryły szczerego złota” rozbijało się jednak długi czas o niepokonaną przeszkodę: brak przewodników. Nikt prawie nie znał drogi przez te pustynie. Niekiedy pędzono tamtędy hurty bydła, bardzo zresztą rzadko, gdy inne drogi były zamknięte przez rozruchy lub z rozkazu rządu. Przewóz towarów jeszcze rzadziej się odbywał i piasek zasypał źródła.

- To jest głupstwo!... odkopiemy! - odpowiadał dufnie baron.

Znalazły wreszcie władze chińskie dwóch przewodników, dwóch braci Mongołów; lamę [1] Sodmuna i pastucha Bage.

VIII

Chociaż baron nie liczył się nigdy z niczym i zawsze starał się tylko postawić na swoim, chociaż był niesprawiedliwy, był wścibski i nieznośny, ale miał rację, kiedy mówił „o tajnym przeciwdziałaniu”. Topograf nie tracił sposobności, aby naczelnika na każdym kroku ośmieszyć. Nie liczył się z tym, że jego zjadliwe uwagi działają szkodliwie na wewnętrzne życie ekspedycji, że podburzają bezwiednie jednych jej uczestników na drugich i w ten sposób przygotowują grunt dla nieprzewidzianych wypadków, groźnych i przykrych, które w odmiennych warunkach, przy większej życzliwości i wyrozumiałości wzajemnej współtowarzyszy wyprawy, skończyłyby się prawdopodobnie na małym nieporozumieniu.

Jeszcze wyprawa nie ruszyła z Chu-czenu, a już grzmiał niepoprawny krytyk.

- Doprawdy, fantazja ludzka granic nie posiada! Nie mieć żadnych, ale to żadnych kwalifikacji na wodza, nie na czele ekspedycji, choćby tak marnej jak... nasza... sasko-gotycka-do diabła... *per pedes apostolorum*... [2] Nie, to doprawdy byłaby szalenie wesoła frajdka, gdyby nie chodziło o naszą skórę! Czy uwierzysz, że my wcale nie bierzemy obroku dla koni? Sam nie ośmieliłem się zwrócić na to uwagi Jego Gockiej Mości, bo już w wiem, że istnieją prawa sasko-stepowe na obronę „bryły złota”. Namówiłem więc Chińczyków, żeby ostrzegli. Ale gdzie tam! „Chińczycy łgarze, Chińczycy krętacze! Chińczycy wandale... straszą, głowę zawracają... A zresztą nic nie wiedzą! Siedzą po miastach, tylko opium palą i piszą wiersze! My znamy stepy, tam na każdym kroku dosyć jedzenia. Tam stada dzikich koni wypasają się. My znamy stepy, bośmy jeździli parę lat temu pocztą do Urgi!” Cha, cha! Przysięgam ci, doktorze, że wkrótce pozostaną z nas tylko tytuły: Nadworny Lekarz i Główny Mapoczyn świętej pamięci Rzeczywistego Tajnego Radcy sasko-koburg-gockich Izb Handlowo-naukowych... Czy wiesz, że o mało nie zapomnieliśmy naczyń na wodę?! Dopiero wczoraj zwrócili nam uwagę na brak ich ci sami łgarze Chińczycy, co tylko opium palą po miastach i piszą wiersze! Zawstydziliśmy się i posłaliśmy na targ, ale okazało się, że gotowych nie sprzedają, że trzeba obstalować i co najmniej pięć dni czekać. Baryłeczki muszą być płaskie, żeby można było je juczyć... Szczęściem, Chińczycy podarowali nam kilka. Pyszałek Ti Dun przysłał aż dwie... Aż dwie?! Czy doktor uważa? Ale doktor nie uważa!... Doktora obchodzą wyłącznie chrabąszcze, płazy i chwasty, a ludzie to tylko marny do nich dodatek...

Doktor śmiał się.

- Przesadzasz, przyjacielu! Zapewne, żeśmy nieoględnie postąpili zgodziwszy się na udział w ekspedycji, ale skoro uczyniliśmy to, musimy cierpliwie i spokojnie znosić następstwa!... Oczywiście, iż baron nie jest orłem, ale...

- Nie orłem? Mój Boże! Więc to ja niby żądam orlich od barona przymiotów?! Ależ

[1] Lama - kaptan buddyjski w Tybecie i Mongolii.
[2] Per pedes apostolorum (łac.) żartobl. pieszo.

świat byłoby... tyle tylko oleju w głowie, ile go ma mały szczygieł! Ale my wolimy mieć w sobie dużo... powietrza, okazałe pozory pełnego balonu! Daj kurze grzędę, ona - wyżej siędę... O to właśnie chodzi - oburzył się topograf.

- Przestań, proszę cię! - odpowiedział łagodnie doktor i wskazał na zbliżającego się Brzeskiego. - Pomyślmy lepiej, jak zło naprawić!

Doktor lubił rolę pojednawcy, więc oczywiście bronił barona. Pod koniec wszakże, jak zawsze, ustąpił i zgodził się na kupno do spółki z topografem i Brzeskim konia luzaka i ładunku furażu.

- Bo koń tam znaczy często tyle co życie! Każdy Mongoł ci powie po ludzku: „Kochaj konia więcej niż bliźniego swego i pożądaj go goręcej niż żony jego” pouczał topograf towarzyszów wesoło.

Rozumie się, że fotograf doniósł natychmiast baronowi o tym postępku trzech sprzymierzeńców. Baron wziął to do serca, uważając za „skryty” wyraz niedowierzania dla siebie i „jawne” nieposłuszeństwo. Niezadowolenie swoje stłumił na razie, ale urazę głęboko w sercu zachował. Uważał, że przyjacielskie wyjaśnienie nieporozumień z podwładnymi ubliżyłoby jego honorowi jako dowódcy. Chmurnie z oddala śledził „wrogów”, nie odpowiadając na ich ukłony, pozdrowienia i zapytania, ale nie przebaczając im ani jednego niedbałego ruchu.

Za to coraz słabiej spostrzegał wady fotografa, który stopniowo przez pochlebstwa uzyskał niepodzielny wpływ na dumnego i niezłomnego pozornie barona. Pycha jest zawsze fortecą niezdobytą dla prawdy, lecz łatwo dostępną dla fałszu...

Nareszcie w piękny jesienny poranek, o wschodzie słońca, wyprawa opuściła bramy Chu-czena. Tłum biegł za nimi. Grono urzędników i oddział wojska, wygrywając wrzaskliwie na surmach, odprowadzili ich z wielką paradą za miasto.

Brzeski obejrzał się raz jeszcze na te mury, gdzie przesiedzieli tyle czasu bez potrzeby w rozterce i próżniactwie. Żal mu było jałowo ubiegłych dni, tęsknił do wieści od matki, do pracy, do Pekinu...

Południowa brama, przez którą wyjeżdżali, była zupełnie podobna do tej, przez którą wjechali. Ciemna sklepiona paszcza wrót, a nad nią ciężka dwupiętrowa baszta rogata. Ale z boku dostrzegł przedmioty, których tam nie było: dwie klatki z pięciu uciętymi głowami ludzkimi. Straszne, i sine, krwawo umalowane promieniami wschodzącego słońca, patrzały ciekawie białkami wywróconych oczu za odchodzącą karawaną. Brzeski szybko oczy odwrócił, ale zmory poszły za nim i nie dały mu ani pożegnać się dość uprzejmie z grzecznymi urzędnikami Chu-czena, ani spróbować smacznych ciast, owoców, herbaty, jakimi częstowali oni drogich gości w błękitnym namiocie, rozbitym o kilka wiorst na drodze „u progu pożegnania”.

Baron był zły, gdyż zamiast obiecanych 50 ludzi konwoju dostał tylko dziewięciu.

- Tam żołnierze niepotrzebni... Tam pustynia! – pocieszali go Chińczycy.

- To nie ma znaczenia! Obiecaliście, więc powinniście byli dotrzymać!... - odpowiadał im baron uparcie.

Chińczycy w milczeniu wysłuchiwali wymówek, ale radośnie na pewno westchnęli, kiedy nareszcie karawana ruszyła dalej ku ginącemu w błękitach widnokręgowi. Pięciu żołnierzy razem z oficerem Tan Lo ruszyło na czele karawany, czterech jechało na końcu. Barwne chorągiewki ich lanc ożywiały cokolwiek długi, szary różaniec jucznych mułów i wielbłądów. Doktor i topograf trzymali się uporczywie w tyle lub na uboczu, unikając obłoków kurzawy wzniesionej pochodem. Brzeski wałęsał się wzdłuż karawany, z jawnym zresztą dążeniem być zawsze bliżej opozycji; baron ze świtą jechał przodem, a przed nimi szli pieszo przewodnicy. Sodmun w żółtej brudnej opończy jedwabnej i żółtej lamajskiej infule na głowie patrzał w dal, przebierał różaniec i szeptał modlitwy; o pół kroku za nim maszerował Bage przytrzymując rękoma rozłażące się łachmany swego mongolskiego kożucha. Tuż obok

jechał Małych, znający doskonale język mongolski.

- Sodmunie, powiedz, co to za rzeczka?

- Sodmunie, co to za góry widać w oddali?

- Sodmunie, co to za wioska na prawo?

- Sodmunie, czy prędko staniemy na popasie?

Co chwila brzmiały zapytania. Za każdym razem lama przerywał pacierz i wołał:

- Bage!...

Potem zamieniał kilka wyrazów z bratem, który przeciągle odpowiadał poczochrawszy uprzednio podbródek dłonią.

- Ta rzeczka, to jest rzeczka „Wzniosłego szczęścia”! - tłumaczył wtedy lama.

- Te góry, to są zwykłe chińskie góry!

- Na popasie staniemy, kiedy zechcemy...

- A wioski wcale nie ma!

- Jak to?... przecież widać!

- Nie ma! - odpowiadał tajemniczo Sodmun i brał znów do ręki różaniec.

Szeroka stepowa droga, usłana niby kobiercami grubą warstwą kurzu, wiodła prosto jak z łuku strzelił brzegiem pustyni na południe i wschód. Szlak jej to ginął w rudych, sfalowanych w ogromne zaspy piachach, to przecinał żyzne łąki, gdzie w licznych, umyślnie kopanych kanałach srebrzyły się nici bieżącej wody. Po jednej stronie drogi aż po nieba błękity słał się ciemny step jałowy, po drugiej ciągnęły się aż do stóp sinych gór niwy, łąki, ogrody z siołami ukrytymi wśród drzew i samotnymi wesołymi fanzami [1]. Tylko ludzi nigdzie widać nie było.

Z pustych pól wzlatały ze świegotem liczne skowronki, w dojrzałych, zwojłoczonych przez wiatry zbożach ćwierkały stada kuropatw, bażanty zrywały się nieraz wprost spod kopyt koni, spłoszone zające długo zwykle biegły drogą przed karawaną i stawały słupka, nim domyśliły się, że trzeba schronić się w krzewach.

Dor miał niepowszednie używanie; zziajał się, zmęczył, ale nic nie złapał: był do łowów za tłusty. Zepsuł tylko i potarmosił kilka okazów, zabitych przez doktora, ku wielkiej tego rozpaczy.

Brak zupełny ludzi na drodze i pracowników w polu uderzył nareszcie i barona.

- Sodmunie, co to znaczy? Czy dziś święto jakie?...

- Sodmun zaraz pokaże! - odrzekł lama krótko i kiwnął głową przed siebie.

Długi czas mijali sioła, które stały opodal od drogi, wreszcie jedno zaległo im w poprzek gościniec. Wieczór zapadał; z tyłu za karawaną gasła purpurowa zorza, a przed nią wschodził jasny miesiąc nad białymi rzędami cichych domków wioskowych. Nigdzie błysku ognia ni ruchu, wszystko tam już spało na pozór snem twardym.

Gdy wreszcie, stukając kopytami, jeźdźcy przebyli bramę glinianych wioskowych okopów, okropny widok ścisnął wszystkie serca. Jak okiem sięgnąć, leżały w księżycowej poświacie gruzy zburzonych domów. Opalone drzewa ogrodów zwieszały nad nimi bezlistne zwęglone konary. W powietrzu unosiła się nieznośna woń starej spalenizny i zgniłego mięsa. Wśród cegieł i belek walały się ohydne, odarte z ciała kościotrupy. Zdziczałe psy, spłoszone ich przybyciem uciekły wyszczerzając zęby, przysiadły na odległych rumowiskach i wyły przeciągle. Karwana w uroczystym milczeniu przeszła środkiem tej ludzkiej golgoty, nikt słowa nie rzekł, nie wydał okrzyku, tylko kopyta końskie głucho tętniły po ubitej drodze wioskowej i miarowo klekotały racice wielbłądów. Nawet Dor przycichł i tulił się pod nogi baronowego wierzchowca.

- Co to? — spytał wreszcie baron, gdy znaleźli się poza obrębem ruin.

- Wojna! — odrzekł spokojnie chiński oficer.

[1] Fanza (z chiń.) - domostwo; rosyjskie określenie chińskiej chałupy wiejskiej.

- *Jan-żeń!* - szepnął Sodmun. - Stąd przyszli! - pokazał na zachód - zawsze stamtąd przychodzą!

- Dunganie... - domyślił się baron, ale dokładnie dowiedzieć się nie mógł.

Przerażony Siuj nie chciał pytać się więcej, a na pytania Małycha lama krótko odpowiadał:

- Kto zabił, nie wiem!... Zabity nie powiedział!...

Zachmurzył się baron i kazał na noc straże postawić.

- *Szy!* - zgodził się natychmiast oficer.

Całą noc huczały miedziane *lo*, tłuczone wściekle przez czujne chińskie pikiety, a topograf przewracał się z boku na bok i klął brzydko:

- Do licha! Zawsze... austriacki sztab jeneralny! Kogo straszą? Chyba tych biednych nieboszczyków! Pocieszam się tylko, że i sam Wielki Sas nie śpi!

Baron istotnie nie spał; nazajutrz wstał gniewny i zaraz urządził - według słów topografa - „hecę”. Przede wszystkim polecił przewodnikom szukać postrzelonej wczoraj przez siebie antylopy i pochód do ich powrotu wstrzymał. Klęczały więc objuczone wielbłądy, zmrużywszy oczy i zaciąwszy boleśnie ruchliwe wargi; osiodłane konie dreptały niespokojnie na miejscu; mulnicy leżeli wyciągnięci na piasku obok swych zwierząt. Chińscy żołnierze wetknęli spisy w ziemię, siedli wiankiem dokoła, chroniąc ręce w szerokich rękawach przed chłodem poranku, i spoglądali obojętnie na cudzoziemców, na mulników, wielbłądy i szary step... Było im wszystko jedno, co robić każą; termin ich służby nieprędko się kończył.

Słońce wznosiło się coraz wyżej i oświecało coraz jaskrawiej tę małą żywą oazę. Przed nimi leżał step popielaty, nagi, nieobeszły, poza nimi - opuszczone pola i straszne, milczące wsie spalone.

Nikt, nawet baron, nie patrzał w tamtą stronę, ale czuli wszyscy grozę i czekali z niecierpliwością powrotu przewodników.

Ci wrócili nareszcie, lecz, rozumie się, bez antylopy.

- Krew... wciąż sama krew, a zwierzęcia nie ma! - tłumaczył Małych ich opowiadanie.

- Jak to? Przecież trafiłem! - dziwił się baron.

Małych ruszył ramionami i pośpieszył zniknąć sprzed oczu rozgniewanego naczelnika.

Karawana ruszyła i jednocześnie rozpoczęło się nieustanne poszukiwanie Dora:

- Dor! Pójdź tu do nogi!... Gdzie Dor? - krzyczał gniewnie baron.

Małych co chwila galopował w różne strony, aby odszukać psa, spełnić albo odwołać sprzeczne rozkazy. Fotograf po prostu stracił głowę i aby być jak najdalej od złego humoru swego jaśnie wielmożnego przyjaciela, rzucał się na spienionym koniu jak wściekły, wołał, wydawał rozkazy, krzyczał ochrypłym głosem:

- Panie Brzeski, gdzie się pan zapodział?...

- Panie Brzeski, niech się pan nie oddala...

- Panie Brzeski, baron powiedział, żeby pan jechał koło pak ze, szkłem...

Chłopak chmurzył się, ale słuchał. Dzień cały człapał na koniu w tumanach kurzawy obok stawiających niezgrabnie nogi i ziejących przykry odór wielbłądów.

Widok niestrudzonych posługaczów, idących pieszo całą drogę, ogorzałych jak miedź, zakurzonych jak egipskie papirusy, a wesołych, cierpliwych i niezmordowanych jak ich wielbłądy, uczył go wytrwałości.

I jego pył pokrył grubą warstwą i zamienił razem z wierzchowcem w posąg szary, niby odlany z surowca. Piękne szafirowe oczy chłopca nabrały zamyślenia od ciągłego spoglądania w dal. Nie był to już młodzieniaszek delikatny i łagodny jak w początkach wyprawy. Zmężniał, członki mu zgrubiały, stężały; myśli nabrały barwności i rozmachu.

Mimo to nie mógł sobie dać rady z pytaniami, jakie nasuwały mu rozmyślania o baronie, topografie, fotografie, doktorze... Nie wiedział, dlaczego w ogóle oni się kłócą? Kto z nich ma rację, a kto nie?... Czuł jedynie, że jednych kocha, a drugich nie...

„A przecie wszystko mogłoby się tak wybornie ułożyć!... Baron ma taką wzniosłą powierzchowność i tak dumnie umie obchodzić się z chińskimi urzędnikami... Topograf wszystko wie... Doktor dobry, choć do rany przyłóż... Fotograf...”

Jedynie dla fotografa nie znalazł w swym sercu usprawiedliwienia. Fotograf wciąż kłamał, podburzał barona na innych, podlizywał się, plotkował... Ale i fotograf... i fotograf zmieniłby się pewnie, gdyby wszyscy trzymali się razem.

„Nie, stanowczo nie umiem myśleć!” - Po długich i daremnych próbach skupienia rozpierzchających się myśli, młodzieniec postanowił nie tracąc czasu nauczyć się porządnie rozumować jadąc stepem na koniu. W tym celu postawił sobie szereg zapytań i starał się odpowiedzieć na nie kolejno i wyczerpująco:

„Zacznę od podstaw; kiedy je posiędę, łatwiej mi będzie wyrozumieć szczegóły!...”

Czynił to sumiennie w przeciągu dni kilku. Jednak „myśli” coś nie poprawiały się. Wciąż były jakieś rozwiewne, niespokojne, nieokreślone niby tchnienia, zwiastujące w dzień cichy rychłą zmianę pogody. Rodziły się bez powodu i umierały, nim zdołał je sobie uświadomić. Mijały podobne do tych lekkich słupów kurzawy, co niespodzianie wzdymały się na zbałwanionym morzu piachów, szły w nieruchomym powietrzu na przełaj karawanie niby procesja mar i opadały bez powodu nagle, jak nagle powstawały...

Chwilami cierpiał prawie od nawału nieokreślonych pragnień i mglistych pomysłów. Przypuszczał, że wszystko to pochodzi z braku nauki.

„Po co istnieje świat? Jakie są cele człowieka? Co to jest narodowość? Ludzkość?... Istnienie?”

Daremnie jednak biedził się, szukał form jasnych i dobitnych wyrazów. Słowa i myśli nie przychodziły, a w zamian budziło się w nim echo słyszanej w dzieciństwie piosenki i nucił ją w takt dzwonkom karawany:

Wiatr wionął szumnie
Po pustym stepie...

Zadumany, w pościgu za nieuchwytnym talizmanem, co by mu wszystkie tęsknoty wyjaśnił i powiązał myśli rozpierzchłe, nieraz nie dostrzegał niezwykłego ruchu służby, nie słyszał nawet fotografa i tylko z przyzwyczajenia prostował się w siodle, gdy go z oddali dobiegało dokuczliwe wołanie:

- Dor, pójdź tu do nogi!...

- Co u licha, gdzieście się wszyscy pozapodziewali? Baron gniewa się!...

- Panie Brzeski!... Wołam i wołam... Gdzie ten irchowy woreczek?...

Młodzieniec zsiadł z konia i szukał pilnie woreczka w torbach podróżnych.

„Filozof nie powinien uważać na drobnostki!” - pocieszał się.

„Każdy, kto chce być pożytecznym, musi stać się do pewnego stopnia niewolnikiem...” - powtarzał nauki doktora.

Ale pewnego dnia przebrała się miarka.

- Dor!... Pytam: gdzie Dor!? Ogłuchł pan czy co, panie Brzeski!? Proszę uważać!... Niech pan zaraz skoczy na koniec karawany i zobaczy, czy pies w polu nie został!... - krzyknął najeżdżając nań fotograf.

Brzeski ocknął się z zamyślenia, drgnął i próbował go w milczeniu ominąć, ale ten konia mu w poprzek drogi postawił.

- Co to jest? Co to jest?... Dlaczego pan nie słucha?!

- O ile wiem, Dor nie jest aparatem fotograficznym... Droga otwarta... Służę panu! - odpowiedział Brzeski syczącym głosem.

- Aha! Wymawiasz pan posłuszeństwo?! Dobrze! Wiem, czyja to nauka, czyim jesteś narzędziem, i doniosę o wszystkim baronowi!... On wam nos utrze!... Ukróci te nieskończone bunty... Mło-ko-sy! - piszczał fotograf.

- Jeżeli pan... Nie wiedziałem, że pan prócz fotografii zajmuje się... donosicielstwem... - zabełkotał Brzeski, sam najeżdżając koniem.

Fotograf zbladł jak płótno, zawrócił się i pośpiesznie odjechał. Brzeski widział, jak jadąc obok barona opowiadał mu, machał rękoma i wskazywał głową w jego stronę. Był zły na siebie, ale więcej jeszcze na wuja, że mu kazał tych ludzi... szanować i kochać.

Doktor dostrzegł zajście i niezwłocznie do chłopca podjechał. Ten mu w krótkich wyrazach opowiedział całe zdarzenie.

- Źle się stało. Miałeś pan słuszność i mogłeś nie spełnić rozkazu, ale szkoda, żeś mu odpowiadał. Wierz mi pan, że dla ludzi nie tyle są niebezpieczne ich postępki, ile ich słowa. Jesteś pan młody, wystrzegaj się zawsze... słów. Przez swe odpowiedzi dałeś pan fotografowi materiał do oszczerstw. O ile znam barona, będzie chryja! Szkoda, żeś go pan w milczeniu nie wyminął!...

- Nie puszczał mię! Koniem najeżdżał!...

- Trzeba było poczekać cierpliwie. Niech mi pan wierzy, że by ze wstydem ustąpił! Po co pan powiedział „donosiciel"?... To źle! To bardzo źle! To już jest obelga!...

- Albo nie jest donosicielem? - uparcie powtarzał Brzeski.

- Przypuśćmy, że jest. Ale czy powiedzenie pana poprawi go?

- Niech wie!... Sam pan nieraz mi mówił, że lepiej powiedzieć w oczy niż za oczy!...

- Mówiłem, ale nie w tym znaczeniu. Lepiej nic nie mówić za dużo!... A teraz co? Brzydka będzie historia!...

Brzeski nie umiał odpowiedzieć należycie doktorowi, choć nauki jego tym razem nie trafiły mu do serca. Miały w sobie coś, na co nie mogła się zgodzić jego gorąca i otwarta dusza.

- Będzie chryja! - powtórzył topograf, gdy mu wieczorem opowiedziano wypadek. - Niechże pan pamięta... niech się pan nie odzywa. Ani słowa... Jak gdyby pan wody do ust nabrał. To najlepsza z „Commerzienratem" metoda. Wygada się, wydyszy „swoje powietrze" i przejdzie mu.

- Wcale mi o barona nie chodzi. Chodzi mi o to, żeby się to nie powtarzało... Ciężko mi znosić kaprysy fotografa i krew nieraz wre mi w żyłach!

- Młodzieńcze, oj młodzieńcze! Wiemy o tym... ale strzeż się! Ten niemiecki *Ochs* [1] jest dość ograniczony, by popełnić wszelki gwałt, wszelkie nadużycie. Sam narazisz się na przykrość i postawisz mnie i doktora w trudnym położeniu. My stanowczo nie możemy wymówić otwarcie baronowi posłuszeństwa. To dla nas sprawa gardłowa. Przez wzgląd na matkę radziłbym...

Brzeski spojrzał z ukosa na mówiącego, potem zwrócił oczy na doktora. Ten milczał, ale twarz miał markotną. Brzeski po namyśle postanowił usłuchać rady przyjaciół.

Skromna melancholia, bijąca cały wieczór z postaci fotografa oraz tajemnicze, wystraszone miny służby potwierdziły domysły przyjaciół. Po wieczerzy spożytej w wymownym milczeniu baron wezwał wszystkich członków wyprawy do swego namiotu.

- Panowie - rzekł uroczyście, z niemiecka akcentując i przekręcając wyrazy. - Jeden członek wyprawy pozwolił sobie wykroczyć przeciw dyscyplinie i nazwał pana fotografa obraźliwie. Jego młody wiek i moja stara z jego wujem przyjaźń, a głównie moje uważanie go za ślepe narzędzie innych, każą mi tym razem darować. Ale to będzie raz pierwszy i ostatni, i nie tylko względem niego. Bo jest już czas, abyście panowie zrozumieli, że powodzenie, całość i owoce wyprawy zależeć mogą obecnie tylko od jednolitości planu i karności członków. Wyście wszyscy dobrowolnie zgodzili się na udział i przyjęli moje warunki. Ja jestem stary, wypróbowany junkier [2]. Od chwili wejścia w obszary puste oraz zaludnione przez wrogich mieszkańców wyprawa nabrała cech wojennych. Proszę pamiętać, że idziemy zdoby-

[1] Ochs (niem.) - wół.
[2] Junkier tu w znaczeniu: wychowanek szkoły oficerskiej.

wać wiedzę i sławę, i że tu rządzą moje tylko rozkazy. Widzę jednak niestety, że hydra opozycji nie liczy się z niczym i podnosi głowę. Otóż ja uprzedzam, że nie zniosę żadnych szeptań i żadnych intryg. Ja je ukrócę! Ja obronię was przed własnymi waszymi słowiańskimi wadami... Ja zmuszę do posłuszeństwa i skarcę igraszkę... Tak, ja skarcę igraszkę, choćbym miał za to ciężko pokutować. Zresztą, ja nie boję się nikogo, a chińscy żołnierze oddani są do mojego rozporządzenia.

Wobec całego świata ja odpowiadam za losy wasze i będę wolał, aby zginął jeden niż wszyscy. Ja, proszę o tym pamiętać, bo ja więcej tego nie będę powtarzał...

Wstał i zwrócił swoje oczy w stronę, gdzie zgrupowała się „hydra opozycji": doktor, topograf, Brzeski... Siuj, który znalazł się tam wypadkiem, umknął co prędzej, wystraszony błyskiem oczu naczelnika. Małych i Tan Lo obojętnie spoglądali na obecnych. Fotograf uśmiechał się tryumfująco. Leżący u nóg barona Dor zerwał się i zawarczał.

- Ja skończyłem - zasyczał. - Proszę iść.

- Uważasz, młodzieńcze, to znaczy, że ktokolwiek zbroi, nam wszystkim mogą łut ołowiu w łeb wsadzić!... Ten „wypróbowany junkier" gwałtem chce sobie ująć lat i przypomnieć dawne czasy. Nie, „hydro opozycji", nie ma głupich. Ty będziesz wlókł się do Pekinu, potem będziesz chorował, potem będziesz zrywał kontrakt i wracał pieniądze... *So! Alle Köpfe sind ihr gleich teuer!* [1] A olej i ołów, choć na pozór podobne, nie są rzeczy identyczne... O nie, żadnej awantury!... Nie urządzimy im tej frajdy, prawda, młody przyjacielu!? - pytał pół żartem, pół serio topograf Brzeskiego naśladując głos barona. Brzeski uśmiechał się wymuszenie. . Było mu niezmiernie przykro.

„Łgać!... Wciąż łgać!... Nie lubię kłamstwa!... - rozmyślał, szukając z przyjaciółmi drogi do swego namiotu wśród juk, skrzyń i śpiących pokotem ludzi. Łuny płonących opodal ogni pełgały po obozie krwawymi błyskami. Potworne cienie kręcących się koło nich żołnierzy chińskich wybiegały daleko w przestworza, kładły się na stepie i mieszały tam z nocą.

IX

Góry uciekły na południe i uprowadziły za sobą łany zieleni, karmionej wilgocią spływającą z ich lodowców. Karawana znalazła się wśród brudnożółtych, jednostajnie spiętrzonych piasków, szarokrwawych głazów i żwirów.

Zapadający wieczór rzucał na ich faliste grzbiety ognistą pożogę. Droga dawno znikła zawiana wydmami. Konie i muły brnęły ociężale, grzęznąc po pęciny w głębokich piaskach; wielbłądy szeroko rozstawiały poduchy swych łap.

- Sodmunie! Zmrok już zapada!... Gdzież źródło!? - spytał wreszcie baron.

Lama wypuścił różaniec i zwrócił ku niemu wzrok zamglony.

- Źródło?... będzie!... Bage - krzyknął na brata i rozmówiwszy się z nim dodał spokojnie.

- Będzie!...

Rude cienie płaskich padołów zlały się na stepie w jednolite morze ciemności. Korowody gwiazd wolno wzlatały nad nim po potężnym łuku jasnego nieba. Pustynia chłonęła bez śladu nikłe głosy karawany.

Brzeskiemu, którego zmęczony koń pozostał daleko w tyle, wydało się, że przed nim w zmroku czołga się olbrzymi wąż. Kopyta zwierząt uderzały o sypkie piaski, niby zwijające się i rozwijające kręgi płazu. Nagle szmer ustał, natomiast dobiegły go dźwięki urywanych głosów, potem buchnął zmieszany gwar.

[1] So! Alle Köpfe sind... (niem.) - Tak! Wszystkie głowy są dla niej równie drogie.

Wierzchowiec jego zarżał i żywiej iść począł, z dala odpowiedziało mu kilkakrotne rżenie.

Aha! nareszcie źródło!... pomyślał chłopak i chciwie szukał w ciemności iskier płonących ogni: doleciał go nawet zapach dymu, poczuł w spieczonych ustach przyjemny smak gorącej herbaty. Wtem przez szmer sapiących zwierząt i rozmawiających półgłosem ludzi dobiegł go nagle z ciemności gniewny głos barona:

- Siuj, spytaj go... spytaj go, czemu powiedział, że zna drogę, kiedy jej nie zna?!

- On mówi... - odpowiedział po krótkiej rozmowie Małych - on mówi, że w mieście on był jedynym, który tędy chodził, i że mu kazali...

- Czemu powiedział, że zna drogę, kiedy nie zna?! - nastawał baron.

Długą chwilę trwało milczenie głębokie; nawet żołnierze i woźnice przestali rozmawiać.

- Z koni... Palić ognie! - rozległ się krótki, urywany rozkaz.

Zawrzał zwykły ruch, wołanie, wąż karawany zwinął się i uspokoił. Wśród czarnych jego splotów, na bladych piaskach zapłonęły ogniska niby oczy czerwone. Sękata, kręta, świeżo nałamana karagana [1] prężyła się i podskakiwała z sykiem, w płomieniach. Żołnierze i mulnicy siedzieli chmurni dokoła, oglądając się co czas jakiś za siebie, gdzie zwierzęta ich, puszczone samopas, błąkały się z żałosnym pomrukiem w ciemności. Zwabione bulkotaniem wody, przelewanej na herbatę dla ludzi z płaskich beczułek do miedzianych imbryków, wysunęły niezwłocznie z mroku dziesiątki mord kosmatych, zwisłouchych, ze zmrużonymi pokornie oczyma. Z dala z tętentem biegła reszta. O mało nie przewróciły posługacza i nie wylały drogocennej zawartości naczyń.

W nocy chłód dokuczał podróżnikom, gdyż służąca za opał karagana rosła rzadko małymi kępkami, należało jej szukać daleko i zbierać po trochu. Ognie wygasły.

Nikła śniedź początkowego świtu zaledwie przesnuła noc, a już karawana porzuciła leże i ruszyła w step. Suchy, zimny wiatr dął z północy. Białe jałowe obłoki płynęły, pędzone przezeń zwartymi ławami i słały na popielatą ziemię chłodne światło bez barw i cieni. Widmo śmierci z braku wody szło ku karawanie.

Sodmun przestał wreszcie się modlić. Obaj z bratem wpijali się krogulczym spojrzeniem w szare przestworza. Daremnie jednak szukali drogi lub wody. Być może, iż tuż obok za łańcuchem wzgórz, które mijali, kryło się źródło, ale żaden znak go nie zdradzał. Karawana szła wciąż po tych; samych sypkich piaskach lub po ławicach twardych żwirów, warczących pod kopytami zwierząt jak stada przyczajonych psów. Wciąż te same wydmy w krąg spiętrzone, też głazy krwawe lub sine; nawet karłowata karagana rosła tu rzadziej.

Znikły wątłe źdźbła traw i ziół, zostały tylko kępy szarych, kolczastych, jeżokształtnych ostów.

- Cóż to będzie! Wszędzie piachy! Dokąd nas wiedzie to dziecko piekieł? - szemrali mulnicy i żołnierze.

Znękane, już dwa dni nie pojone zwierzęta z trudnością opierały się wichurze, bijącej na nie gwałtownie i suszącej pozostałe w nich soki. Tumany ostrego piachu spadały co chwila na zbolałe ich mięśnie jak deszcz iskier palących. Rany, odparzone pod jukami, piekły nieznośnie i broczyły krwią, która spływała wzdłuż ich ciał kolorowymi sznurami. Z zaropiałych oczu sączyły się wciąż łzy żłobiąc głębokie bruzdy w zapylonej sierści.

Brzeski nie mógł patrzeć na poszarzałe ich pyski, pełne cichego wyrzutu i beznadziejnej rozpaczy. Wierzchowiec jego, dzięki temu, iż mu z własnej porcji wlał potajemnie w pysk trochę wody, trzymał się jeszcze dość raźno. Młodzieńca równie męczyło pragnienie, ale utraciło ono już swój pierwotny ostry charakter i z wolna zamieniało się w jakąś straszną ołowianą niemoc. Myśl o ruchu przejmowała go trwogą, myśl o wodzie - drżeniem. Dziwił się,

[1] Karagana roślina drzewiasta występująca w środkowej i wschodniej Azji.

że Chińczycy i Mongołowie poruszają się jeszcze tak swobodnie. A przecież wszyscy otrzymywali równe porcje wody: co dzień rano i wieczór po małej szklaneczce. Przerażało Brzeskiego przypuszczenie, że może stracić konia i być zmuszonym iść piechotą jak krajowcy. Wciąż klepał wierzchowca po szyi i szeptał do niego wyrazy otuchy.

- Zaraz, zaraz, kosiu! Jeszcze trochę... Może za tym pagórkiem będzie woda zimna i czysta... Napijemy się, nalejemy w siebie pełno, do sytu, po chrapy!

Teraz nikt już nie przestrzegał porządku. Topograf szedł pieszo, prawie ostatni, szczędząc konia; nie przestał jednak oznaczać swych „rumbów” na kratkowanym papierze. Ale szeroka twarz jego skurczyła się, postarzała, straciła zwykłą wesołość i uprzejmość.

- Cóż, młodzieńcze?... Żadnego posłuszeństwa oraz żadnej wody i żadnego interesu, tylko pusty żołądek... Najlepiej pono ma się Dor, któremu Wielki Sas kazał wydawać ludzką porcję, aby się nie wściekł. Co za szkoda, że nie kąsamy!... - próbował żartować mijając Brzeskiego.

Ten zostawał coraz bardziej w tyle wśród maruderów. Nie miał serca bić osłabłego konia. Wierzchowiec jadącego przed nim żołnierza padł w jego oczach i choć ten kopał go nogami, szturgał lancą i ciągnął za uzdę, już powstać nie chciał. Dopiero gdy Chińczyk odciął mu ucho i odszedł za karawaną, dźwigając na plecach zdjęte z siodła juki, zwierzę zerwało się z rozpaczliwym rżeniem na przednie nogi, ale tułowia podnieść już nie mogło.

Brzeski zsiadł z konia.

- Dlaczego odciąłeś mu ucho!... Niegodziwcze!... - krzyczał na żołnierza i groził mu ręką.

Żołnierz uśmiechał się głupkowato. Następnie wyciągnął ucho i udał oficera. Brzeski zrozumiał, że ucho potrzebne Chińczykowi na dowód dla jego władzy, że konia nie sprzedał, że koń zdechł. Kazał mu więc juki na swe siodło zarzucić. Ten dziękował i mówił coś do niego oglądając się za siebie, gdzie wciąż cicho rżał jego wierzchowiec i unosił skrwawiony łeb na chudej chwiejnej szyi.

Wkrótce dopędzili karawanę, która zatrzymała się na obficiej trochę porosłej ostami i karaganą mułkowatej polance. Ludzie rozjuczyli bydlęta i skupili się wkoło przewodników.

Ci stali z opuszczonymi głowami przed siedzącym na skrzyni baronem.

- Gdzie źródło? Spytaj się go, Siuj! Gdzie źródło? - grzmiał naczelnik.

- Tu miało być!... Cóżem ja winien, że go nie ma!... Mówiłem, że ledwie, ledwie znam drogę... Kazali panowie... - tłumaczył się Sodmun.

Bage, który nie umiał po chińsku, tylko się kłaniał.

- Dlaczego się zgodził?.

- Kazali.

- Nie dać im wody! Niech z własnego doświadczenia zrozumieją, na co narazili ludzi i zwierzęta!... - rozkazał baron.

- Nie dostaniecie wody! - powtórzył po mongolsku Małych.

Bracia odeszli, usiedli opodal od gromady kręcącej się z naczyniami koło rozdającego wodę fotografa. Sodmun głowę zwiesił i przebierał palcami różaniec. Bage twarz od pijących odwrócił i patrzał w siwy step, niknący pod grzędami obłoków. Gdy ruszyła karawana, poszli na przedzie nie wyrzekłszy słowa.

Wieczór zbliżał się, wiatr ucichł, karawana wolno, ale nieustannie posuwała się naprzód wśród wydmisk.

- Po co i dokąd idziemy? Trzeba sobie nareszcie zdać sprawę!... Spytam barona, gdyż tu chodzi o życie wszystkich... Czas zaprzestać żartów, panie naczelniku!... - gorączkował się topograf.

- Zawiniliśmy również.. Nie postępowaliśmy należycie, nie pozyskaliśmy zaufania i przychylności barona... Gdybyśmy zamiast żartować i wygadywać, w samym początku pomówili z nim otwarcie... - zauważył doktor.

- A jakże!... Masz rację, o ile on dopuściłby do wyjaśnień...

- Powinniśmy się byli tego domagać! Przecie teraz chcesz to uczynić!...

- Tak, ale obecnie ten pęcherz bardzo zmiękł wskutek swych niepowodzeń!...

- Być może. Ludzie w znacznym stopniu stają się takimi, jakimi pozwala im zostać otoczenie. Gorzko wyrzucam sobie, że miłość spokoju trzymała mię w dali od spraw ekspedycji.

- Myślę, że stałe spokojne i życzliwe zachowanie się względem barona, przekonałoby go... Teraz wszyscy drogo zapłacimy za naszą obojętność i lekkomyślność!... A najwięcej żal mi zupełnie niewinnej służby, mulników i żołnierzy...

- Nic się jeszcze nie stało!... Głód i pragnienie krajowcy łatwiej zwalczą niż my.. Drobiazg to dla nich!... Gorzej, że zdychają konie, że rzucamy rzeczy i pakunki, że będziemy może zmuszeni pozbyć się nawet zbiorów naszych i notatek - to nie do poprawienia!... Źle!... O zgubie ekspedycji mówić przedwcześnie: pewny jestem, że pomęczymy się, pomęczymy i wypłyniemy jak zawsze w takich okolicznościach... Nie należy jednak brnąć bez sensu, na oślep... O tym chciałem właśnie z baronem pomówić!...

- Poczekaj, lepiej ja to zrobię... Lękam się, że przy ogólnym rozdrażnieniu urządzisz tylko awanturę... - wstrzymał przyjaciela doktor i ruszył ku baronowi.

Wtem z czoła karawany dobiegł okrzyk:

- Jest, jest!

Bage stał na wzgórku i rękę przed siebie wyciągał.

Wkrótce zebrała się tam cała karawana, ale podróżnicy daremnie wytężali oczy: nic nie dostrzegali przed sobą prócz mierzchnącego stepu i chmurnego nieba.

- *Mu!...* drzewo!... - zaśpiewali nagle radośnie Chińczycy.

- Drzewo! - potwierdził Sodmun.

Ożywienie udzieliło się i zwierzętom; raźno kroczyły wielbłądy i konie ku płaskiej kotlince, w której po niejakim czasie nawet Brzeski zaczął dostrzegać jakiś punkcik ciemny. Było to drzewo, nie zielone wszakże, jak się okazało, lecz stare, wyschłe, zmurszałe.

Na próżno szukali w pobliżu wody. Zrozpaczeni wykopali głęboką studnię; znaleźli warstwę wilgotnego piasku, ale skoro głębiej poszli, wilgoć znikła i ukazał się ten sam piasek suchy i twardy jak zleżały popiół. Być może, iż źródło było już blisko... pod jedną z wydm ogromnych jak domy.

- Tu jest!... Tu było... Jam nie winien... - powtarzał uparcie Sodmun.

- Powiedz mu, Siuj... - kazał baron - powiedz mu, że ponieważ on ma taką myśl, że tu jest... to niech idzie i szuka... Niech idzie z bratem i szuka... Jeszcze nie ciemno!... Niech idzie i niech nie wraca bez wody... Dosyć on nas wszystkich namordował... Czemu mówił, że drogę zna? Niech szuka!...

Zdjęto juki z wielbłądów i zrąbano na ogień stary, zwodniczy pień. Część ludzi jak rozszalała nie ustawała w kopaniu studni, węszyła w jamach ożywczą żyłkę wilgoci, przytulając usta i rozpalone twarze do mokrych piachów.

Inni jak błędni krążyli wśród wzgórz. Nagle rozległ się krzyk niezwykły i Mongołowie w popłochu umknęli od jednej z wydm.

- *Jerlik!... Dżolmus!... Chu-tzy!...* - krzyczeli wystraszeni.

- Co to? Co się stało? - pytano zewsząd.

- Małych, Siuj... Chodźcie tutaj!... Co oni mówią? - pytał trwożnie baron.

Siuj nie odpowiadał i cofał się dalej od uciekających; Małych z wahaniem spoglądał na wydmę, gotów lada chwila przyłączyć się do zbiegów

- Oni powiadają: „czort", to jest zły duch!.. — odrzekł nareszcie drżącym głosem.

Brzeski, topograf, doktor pobiegli natychmiast we wskazanym kierunku. Z ziemi wystawał wpółzawiany kościotrup koczownika. Wsparty na prawym łokciu, zdawał się wydzierać z więżących go do pasa piachów Czarny warkocz, ocalały na żółtej czaszce, końcem tkwił w zaspie. Długie rękawy niebieskiego chałata zwieszały się z piszczeli i też grzęzły w piasku.

Piasek, wstrząśnięty stopami ciekawych, wyciekał z oczodołów i ze szpar szczękowych cienkimi brunatnymi strugami.

Baron kazał trupa niezwłocznie zasypać.

Długo jednak krajowcy nie mogli się uspokoić i raz wraz zwracał oczy na cichy pagórek. Widmo śmierci zbliżało wszystkich. Ludzie obsiedli szczelnie ogniska, zmieszani razem, biali, brązowi i żółci, panowie i słudzy.

- A to ci przygoda! - wzdychał Małych.

- *Ta-ka i-si ni-cho-lo-sa* [1] - zgadzał się Siuj.

Wśród ogólnego rozstroju oficer chiński nie utracił zwykłej powagi i trzymał się na uboczu. Gromadka jego żołnierzy; wetknąwszy w ziemię spisy z kolorowymi chorągiewkami, siadła obok nich w kółko. Ręce oparli na kolanach, zwiesili głowy i zdawali się drzemać. Ale gdy Brzeski podszedł ku nim, jeden z nich podniósł głowę i szepnął z przejmującym uśmiechem.

- Mo-*ju szuj! Mo-ju da-tzy? Bu-chao!* [2]

Był to ten sam żołnierz, któremu worki zdjął Brzeski z pleców i na swego konia włożył.

Z wolna gwar zaczął ucichać w obozie. Ludzie, wyczerpani, senni, zwlekali ku ogniom swe węzełki i gotowali posłania. Chłód nocy ziębił nielitościwie niedokrwiste ich ciała. Większość już drzemała skulona pod przykryciem, gdy zjawiły się w obozie dwie mary, dwa cienie.

- Przewodnicy wrócili... Przewodnicy - rozległ się szept i uniosły schylone głowy.

- *Szuj!... Su!...* - bełkotali bracia padając na kolana.

Okropne podkrążone oczy w słup im stanęły, otwarte usta wydawały czarnymi wypalonymi dziurami.

- Wody! - prosili pełzając ku baronowi, który wyszedł dowiedziawszy się o ich przybyciu.

- Znaleźliście?

- Kropelkę!... Daj!...

Baron odwrócił się od nich obojętnie.

- Niech mi się nikt nie waży!... - rozkazał groźnie.

Wtedy Bage, który wił się u jego stóp, domyślił się widać z tonu głosu odmowy, gdyż z rykiem powstał i schwycił go za kark; baron szarpnął się, zwrócił, a jednocześnie podskoczył ku Mongołowi oficer i kilku żołnierzy.

- Związać go!... Obu związać! Dor, weź go!... Małych!...

Po krótkiej walce przewodnicy leżeli w pętach na piasku i szeptali nieprzytomnie.

- *Szuj!* - mówił cichutko, płaczliwie po chińsku Sodmun.

- *Su*... - ryczał po mongolsku Bage.

Dor chodził od jednego do drugiego i wąchał im głowy.

Brzeski nie mógł usnąć pod wrażeniem tej sceny. Obóz zamilkł, ognie przygasły, a on wciąż przewracał się z boku na bok, wsłuchując w coraz cichsze:

- *Szuj!*

- *Su!...*

Wreszcie i one umilkły, utonęły w chrapaniu śpiących. Przebóg! Ci ludzie umierają! Nigdy jeszcze śmierć zadana przemocą nie przeszła koło młodzieńca tak blisko. Zerwał się i usiadł na pościeli. Ciemny nieprzejrzany mrok zalegał niebo i ziemię. Niedaleko czerwone zarzewia wypalonych ogni słabo błyskały w popiołach. Brzeski nasłuchiwał, czy nie dolecą go poprzednie jęki, ale zamiast nich usłyszał senne majaczenie topografa:

[1] Ta-ka i-si... (zniekszt. ros.) Tak jest niedobrze!

[2] Mo-ju szuj!... właśc. Mejjou szuej! Mejjou tajtaocy! Puhao! (chiń.) - Nie ma wody! Nie ma przewodników! Niedobrze!

- *Kein Wasser!... aber kein Wasser!...* [1] Dor, pójdź do nogi!...

Wtem znowu cicho, ledwie dosłyszalnie przeleciało rzężenie:

- *Szuj!*

Młodzieńcowi wydało się, że to on własnymi rękoma schwytał za gardło i dusi człowieka. Dobroduszna twarz Mongoła, wykrzywiona obłędem boleści, wypłynęła przed nim jak żywa. Nie mógł znieść jego spojrzenia i czuł, że nigdzie przed nim nie ujdzie, nie schowa się już nigdzie, że będzie szła za nim przez życie całe jak straszny wyrzut. Porwał manierkę, gdzie zostawił kilka łyków wody, i szukać począł uwięzionych.

Leżeli twarzą zwróconą ku ziemi, Bage usta miał pełne piasku i wydał mu się omdlałym. Sodmun ruszał się i jęczał. Szybko rozciął rzemienie nieprzytomnego pastucha, usta mu z piasku oczyścił i włożywszy nóż w zęby nalał trochę wody do gardła. Mongoł ruszył się, połknął, odetchnął głęboko, potem przysiadł jakby zbudzony z twardego snu. Wtedy Brzeski zajął się Sodmunem. Rozwiązał go i podał mu manierkę.. Lama chciwie wysączył ją do dna, trzymał długo przy ustach i mlaskał jak małe dziecko. A gdy zwrócił ją, schwycił młodzieńca za rękę i przyłożył ją sobie do czoła.

- Bage!... - szepnął.

- Już... już... - odpowiedział równie cicho Brzeski.

Obejrzał się, ale pastucha nie znalazł na miejscu. Wtedy dopiero zaniepokoił się i powstał, ale Sodmun schwycił go za kolana.

- Nie!... nie!... *Bu!...* - powtarzał żałośnie po chińsku.

Jakiś niewyraźny szmer wśród śpiących żołnierzy spłoszył ich i umknęli chyłkiem w rozmaite strony.

X

- Przewodnicy uciekli i zabrali dwa najlepsze wielbłądy... Ktoś ich w nocy rozwiązał... Rzemienie rozcięte... Są ślady stóp ludzkich... Baron wściekły szuka winnych!... - opowiadał porywczo topograf.

Brzeski, który spał jeszcze, zerwał się i usiadł; obóz w pełnym znajdował się ruchu; muły i wielbłądy, spędzone z pastwisk, stały koło swych juk, ognie płonęły i na żerdzianych trójkątach wisiały kotły i imbryki. Ludzie prawie wszyscy gromadzili się koło miejsca, gdzie wczoraj powalono Bage i Sodmuna.

Czerwona twarz barona górowała ponad głowami otaczających. Krzyczał coś groźnie, co następnie Siuj powtarzał piskliwym i żałosnym głosem. Gromadka żołnierzy chińskich stała opodal. Nagle schwycili oni swe spisy i otoczyli mulników. Wrzawa wzmogła się. Topograf z doktorem śpiesznie pobiegli w tę stronę. Brzeski szybko ubierał się drżącymi rękoma.

- Nie dać im wody!... Nie dostaniecie wody, dopóki nie przyzna się ten, kto to zrobił! - groził w uniesieniu baron.

- Nie wiemy! Nie my... Bez wody nie ruszymy się stąd... Sił nie starczy… juczyć nie będziemy!... - krzyczeli woźnice.

- To rzecz żołnierzy pilnować... My spracowani śpimy w nocy...

- Po coś poszedł tędy, kiedy wszyscy mówili, że nie ma drogi?

- Patrzcie!... zaprowadziłeś nas w gołe piachy i wody dawać nie chcesz... Rzućmy ich, diabłów zamorskich, i wracajmy, inaczej zginiemy wszyscy! Zgubią nas! — odzywały się pojedyncze głosy.

- Co oni mówią?

[1] Kein Wasser... (niem.) - Nie ma wody!... nie ma wody!...

- Oni mówią — odpowiedział z rozwagą Siuj - że nas, diabłów zamorskich, rzucą, że trzeba wracać, że rzecz żołnierzy pilnować... że bez wody nie ruszą się z miejsca i nie będą juczyli... że będą uciekali!

- Dobrze, ja ich nauczę!... To jest bunt! Oficerze Tan Lo, niech żołnierze twoi trochę połaskoczą ich tylcami spis... Ruszać do roboty!... - ryknął baron.

Miał krwią nabiegłą twarz i rewolwer w ręku.

Oficer wydał rozkaz i żołnierze niechętnie natarli.

- *Bu jao da! Bu jao da!* Nie trzeba bić! - krzyczeli szturgani.

Brzeski już był na miejscu.

- Baronie, to ja zrobiłem!... - zawołał zmienionym głosem.

- Co?!

- Rozwiązałem przewodników... Na pewno by się podusili.

Zaległa głęboka cisza. Mulnicy, żołnierze, wszyscy zwrócili oczy na młodzieńca. Nie rozumieli, ale domyślali się, o co chodzi. Twarz barona zmartwiała...

- *So!... so!...* — mruknął i odwrócił się. - Niech doktor odbierze broń od chłopaka i aresztuje go. Wielbłądy juczyć... zaraz ruszamy... - dodał mimochodem.

Doktor podszedł ze zmienioną twarzą do Brzeskiego, ten w milczeniu odczepił rewolwer od pasa i oddal mu razem z nożem składanym. Topograf udał się za baronem i znikł w jego namiocie. Wkrótce zawołano tam i oficera Tan Lo.

- Baronie, toż to dziecko prawie... - mówił topograf.

- To jest moja rzecz! Ja pana proszę w tę rzecz się nie mieszać. Tu teraz inne gadanie! Tu teraz nie wiadomo, dokąd iść! Po to ja panów zawołałem...

Wezwano doktora i wszyscy skupili się koło rozłożonej na skrzyni mapy. Fotograf dowodził, że najlepiej wracać. Doktor przychylał się do jego zdania.

- Tę drogę przynajmniej znamy i wiemy, co nas czeka!...

Topograf milczał i pilnie badał mapę; spytany przez tłumacza Tan Lo powiedział, że najlepiej iść stąd wprost na południe z lekka ku zachodowi, że góry są najbliżej w tym kierunku, a z gór płynie woda... Topograf podtrzymał go.

- Trzeba tylko przebyć łańcuch piaszczystych wzgórz...

- To wszystko jedno! powiedział baron. Wszędzie trzeba przebywać piaszczyste wzgórza...

- Wcale nie! Dotychczas szliśmy wklęsłością, gdzie wilgoć zawsze dłużej się trzyma, gdzie coś rośnie... Tam spotkamy czyste wydmuchy jak w Głodnym Stepie...

Baron kiwał głową.

- Ja myślę żeśmy powinni iść na południe! - rzekł stanowczo, - Oficerze Tan Lo. aresztanta poprowadzisz między swoimi dwoma żołnierzami! Małych będzie go doglądał!...

Małych znacząco kiwnął kwadratową głową.

Teraz na czele karawany wystąpił topograf ze swą busolą. Mulnicy z niedowierzaniem spoglądali na ruszającego się w pudełku „żelaznego diabła", ale usłuchali rozkazu i długi wąż karawany począł piąć się na grzędy piachów. Za ich pierwszym niskim łańcuchem leżała obszerna kotlina. podobna do dna wyschłego jeziora, wysłana żwirem i stwardniałym mułem, białym od nalotu soli. Konie i muły szły raźno po kamienistym gruncie, ale wielbłądy wysoko podnosiły niezgrabne węzłowate nogi i lękliwie szukały miejsca, gdzieby postawić obolałe poduchowate stopy.

Tymczasem kotlina okazała się większa, niż się wydawała z pierwszego wejrzenia. Słońce wysoko wzbiło się na niebie i paliło niemiłosiernie. Szli wprost ku niemu, olśnieni jego światłem. Równina, pstra pod ich nogami od różnokolorowych kamieni, dalej stawała się liliowa, a jeszcze dalej błękitna i lśniąca.

Nagrzane powietrze, drżąc nad nią, czyniło wrażenie płytkiej, przejrzystej, szeroko rozlanej wody, z której sterczały tu i owdzie większe głazy i suche badyle. Spragniona karawana

brnęła w tym ułudnym jeziorze, które pod stopami nikło, ale w dali wciąż grało drobnymi falami. Konie i wielbłądy rżały, ludzie przymykali oczy. Wszyscy zbyt cierpieli, żeby zwracać uwagę na Brzeskiego, który jechał na końcu karawany mając żołnierzy po bokach. Ci próbowali wprawdzie z nim porozmawiać, ale stale otrzymywali odpowiedź:

- *Wo bu-dun-de!* [1]

Wreszcie Małych ofuknął ich groźnie:

- Dajcie mu pokój! Nie wolno rozmawiać z aresztantem!

Brzeski pobladł i usta zaciął. Zaczął pojmować, że to nie przelewki.

„Co mi zrobią! Nic mi nie zrobią... Nie jestem żołnierzem. Nie mają prawa! A zresztą... pal ich sześć! Stało się...”

Miał przykre uczucie szklarza złapanego na grubej psocie. Nie tyle bał się, ile wstydził, ale chwilami wybuchało w nim głębokie i gorące oburzenie.

„Nie mogłem, nie mogłem inaczej! — powtarzał sobie. — Wszystko szczerze wujowi opiszę!...”

W południe karawana dosięgła wreszcie przeciwległych wzgórz piarżystych i zatrzymała się na wypoczynek.

Na północnych stokach wydmisk rosło trochę karagany i bezlistnych ostów. Ale spragnione zwierzęta nie chciały jeść i nie czekając, aż je rozjuczą, pokładły się natychmiast. Ludzie dostali po kieliszku wody i zjedli po garści sucharów. Wiedzieli, że właściwie stąd dopiero zaczyna się dla nich próba ogniowa, że to, co przebyli dotychczas, było lekką zaledwie przygrywką. Z zabobonnym strachem spoglądali na żółte cielska piaszczystych potworów, których potężne sploty odcinały ich od wody i życia.

Już na pierwszej zaspie zrozumiał Brzeski, że koń go nie udźwignie. Wszyscy jeźdźcy pozsiadali, nawet baron. Posuwano się naprzód nadzwyczaj powolnie.

Przy wstępowaniu na górę piasek obsuwał się z nimi i zamieniał krok w pół kroku; przy zstępowaniu nogi więzły im po kolana w płynących za nimi osypiskach, które utrudniały im ruchy jak ciężkie, lepkie pęta. Gdy padali, warstwy piasku nasuwały się na nich ze złowrogim szmerem i groziły zupełnym zasypaniem. Piasek mieli wszędzie, we włosach, w oczach, na twarzy: trzeszczał im w zębach, zatykał nozdrza i uszy, dostawał się do gardła i płuc, wypełniał odzież i obuwie, ścierając ciało do ran, do krwi. Koni niepodobna było prowadzić, do tego stopnia targały tręzle potykając się co krok; szły więc samopas stękając ze znużenia.

A góry piachu wzdymały się coraz wyżej i wyżej. Z bardziej wyniosłych szczytów otwierał się widok na całe ich morze, pogięte w długie fale. Nad tą miedzianą ziemią płonęło miedziane słońce w ognistej koronie szeroko rozrzuconych promieni. Nagrzane zbocza piachów paliły jak trzon pieca. Suche powietrze wszędzie chciwie szukało wilgoci. Karawana w pochodzie schła, więdła, rwała się w oczach prawie jak wianek liści przesuwanych nad gorącym popieliskiem. Kilka koni i mułów zostało w tyle z jukami i nikt już o nie nie dbał. Same wlokły się za karawaną wytężając ostatki sił. Już i wytrwałe wielbłądy zaczęły padać. Garby im obwisły jak wyssane z pokarmu wymiona, tęgie kości zarysowały się pod kosmatą skórą jak powiązane z kijów rusztowania. Rozstawiały szeroko nogi i nie chciały iść. Daremnie przewodnicy targali je za kółka w nozdrzach: beczały żałośnie, ale nie ruszyły się z miejsca, a następnie klękały na piaskach i nic już nie było w stanie ich podnieść. Żołnierze, idący z tyłu, dorzynali je, ale w żołądkach ich nie znajdowali zwykle ani kropli wilgoci. Więc łapczywie chwytali i nieśli do ust płynącą leniwo z ich otwartych żył czarną jak smoła posokę.

Brzeski ze wstrętem odwracał głowę od tych zdziczałych, pokrwawionych twarzy z błyskającymi złowrogo oczyma. Ale widok cieknącego płynu wstrząsał i jego, i wzbudzał w przełyku bolesne spazmy.

- *Tzou!* [2] *Tzou!* – rozlegał się co chwila pobudzający okrzyk cierpliwego, mężnego Tan

[1] Wo bu-dun-de! [właśc. Wo pu tung! (chiń.)] - Nie rozumiem! (przyp. aut.)

[2] Tzou! [właśc. Cou! (chiń.)] - Idź (Ruszaj!) (przyp. aut.).

Lo.

- *Tzou!* - powtarzali silniejsi, ale słabsi siadali lub kładli się obok drogi i dopiero, gdy karawana znikała za wzgórzami, zrywali się i wlekli dalej, lękając samotności bardziej niż mąk najokropniejszych.

Tych wyczerpanych ludzi, tych ledwie powłóczących nogami koni i mułów przybywało coraz więcej w ogonie karawany. Porzucone pakunki i trupy zwierząt znaczyły odtąd ich drogę niby czarne kropki i żałobne wiechy wytyczne.

Zapadł wreszcie wieczór, zgasła purpurowa zorza zachodu i blady sierp miesiąca wzeszedł nad pustynią. Karawana zatrzymała się i zebrała w kółko. W ciemnościach rozjuczono zwierzęta, w ciemnościach ludzie zwilżyli usta kilku kroplami pozostałej wody i legli wyczerpani wśród worków i skrzyń. Dokuczliwe zimno jasnej nocy jesiennej rychło pochłonęło ciepło ziemi i poczęło przenikać przejmującym dreszczem do wycieńczonych wnętrzności ludzi i zwierząt. Nie niecono ognia, gdyż daremnie było się kusić o wyszukanie paliwa w tym oceanie jałowych prochów.

Światło błyszczało jedynie w namiocie naczelnika. Tam, na skrzyni przykrytej dywanem, płonęły dwie świece stearynowe w podróżnych lichtarzach, stał między nimi kałamarz z piórem i leżała plika papieru. Pośrodku namiotu siedział baron z twarzą złą i stężałą, obok na rozmaitych plikach i węzłach usiedli fotograf, doktor, topograf, a poza nimi stali w głębi Małych, Siuj i Tan Lo.

- Przyprowadź go, Małych! - kazał baron.

- Baronie, baronie, czy warto? Czy nie lepiej odłożyć do Pekinu... Tam w poselstwie omówimy sprawę spokojnie!... - prosili topograf i doktor.

- My jutro możemy umrzeć!... Musi stać się zadość sprawiedliwości... Musi być posłuszeństwo!... To darmo! Inaczej ludzie ludziom jutro gardła poprzegryzają!... To darmo! Musi być przykład! To nie jest moja przyjemność, to jest mój obowiązek! Niech go przyprowadzą!...

Małych poszedł i obudził śpiącego młodzieńca. Ten niechętnie wysunął głowę spod ciepłej kołdry.

- A co tam?

- Sąd!

- Jaki sąd?! Co za sąd?!

- Ja tam nie wiem, mnie przysłali... Stepowy chyba; przecie dawno o tym baron gadał... Niech pan wstanie, nie ma co...

Brzeski podniósł się, chłód nocy i wzruszenia wstrząsały nim gwałtownie. Ale nie chciał, aby Małych pomyślał, że się boi, więc drżenie pokonał.

- Głupstwo!... - Nikogo się nie boję... Odstawią mię do Pekinu... Mój wuj zapłaci za drogę!... — odrzekł ostro.

- Co tam wuj!... Wuj daleko. Tak będzie, jak baron każe. On ma Chińczyków... Niech się pan lepiej nie sprzeciwia, gorzej będzie... Widzi pan, już wstają!

Małych wskazał głową figury, które nagle uniosły się tu i owdzie wśród juk. Brzeski starał się dojrzeć przy słabym świetle księżyca wyraz twarzy Małycha, ale ten chował oczy.

- Cóż to? gwałt! Nie przysięgałem, nie jestem żołnierzem!

- Niech im pan to wszystko opowie...

- A któż tam jest?

- Kto ma być? Wszyscy są... Prędzej... Czekają, a pan tu bez potrzeby się przekomarza...

Brzeski zawahał się, po czym nic nie mówiąc poszedł tak prędko, że Małych ledwie za nim zdążał. Pochylił się, wszedł do namiotu i stanął przed stołem, oko w oko z baronem.

Czerwone, obrzękłe powieki Niemca rozszerzyły się gwałtownie. Milczał i patrzał. Brzeski przeniósł spojrzenie na niedawnych swych towarzyszów.

- Obwiniony, jak się nazywasz?

- Nie jestem obwinionym... Nic nie zrobiłem...
- Dobrze, dobrze!... Jak się nazywasz?
- Po co mię pan pyta? Przecie pan wie?
- Więc: Jan Brzeski... Czy tak? Lat dwadzieścia?!...
Brzeski milczał.
- Nie odpowiadasz? Pamiętaj, że upór zwiększa twą winę!
Chłopak spojrzał na doktora i topografa.
- Jesteś obwiniony o bunt i naruszenie obowiązującej w karawanie karności. Całą drogę wykazywałeś krnąbrność i lekceważenie władzy, które zakończyło się uwolnieniem przewodników i skłonieniem ich do ucieczki...
- Nie, nie namawiałem ich... Nie wiedziałem...
- Więc przeczysz oczywistości!... Gdyś ich rozwiązał, uciekli mając wolne nogi...
- Odrzucam prawo sądu pana. Niech mię sądzą sądy zwykłe...
- To nie obwinionego rzecz, kto go ma sądzić... Za to inni odpowiadają...
- Ci ludzie umierali... Bage miał w ustach pełno piasku i leżał omdlały.
- To nie obwinionego rzecz! Odpowiedz! Przyznajesz, że ich uwolniłeś, czy nie?
- Przyznaję...
- I... żałujesz tego?...
Na wychudłą twarz chłopca wybiegły gorące rumieńce, opuścił oczy, po czym podniósł je z wolna.
- Nie - odrzekł cicho - nie żałuję... Nie mogłem...
Baron chwilowo zmieszał się i zamrugał powiekami, ale rychło gniewna siność znów zalała mu policzki.
- Dobrze! Wyprowadzić go! - mruknął chrapliwie.
Gdy Brzeski znalazł się na dworze, podniósł przede wszystkim rękę i dotknął nią oczu, aby przekonać się, że czuwa, że tylko co przebyta scena nie jest urojeniem. Niestety! To nie było urojenie. Dokoła rzeczywiście słały się piaski bezbrzeżne, słabo oświetlone poświatą młodego miesiąca. Opodal błądziły muły i konie, węsząc czczą ziemię, wielbłądy stały nieruchomo na wysokich nogach, podobne do wież lub dziwacznych budowli nawodnych. Bliżej czerniały porzucone juki, a wśród nich chwiały się i gwarzyły ludzkie cienie.
- Czemu pan nie powiedział, że żałuje!... - gderał Małych. - Jeszcze gdyby pan łzami zapłakał, może by panu baron wszystko darował... Strach, jak on lubi skruchę! Ja mu zawsze powiadam: „Winien” - chociem nie winien... Może by pana co najwyżej obić kazał przed frontem dla przykładu... A tak co będzie!? Bóg wie, co będzie!
Z namiotu dobiegały coraz burzliwsze głosy.
- Za pozwoleniem! Ja panom opowiem przykład - huczał baron. - Żołnierzowi skazanemu na areszt przyniesiono kwit, on ten kwit w rozdrażnieniu w obecności feldfebla i towarzyszów rozerwał i został rozstrzelany...
- Tak, ale to był żołnierz, a to dziecko.
- Wcale nie dziecko... Ja w jego wieku już byłem junkrem... Nasza wyprawa to samo co wojna... Kwit mała rzecz, to, co on zrobił - wielka rzecz... My wszyscy zginąć możemy... Ja kazałem bić za to mulników. Jeżeli ja go teraz nie ukarzę, jutro Chińczycy więcej jego będą słuchali niż mnie... Zresztą mamy równe głosy, a ja jestem prezydent.
- Więc co pan chce zrobić?
- To jest inne pytanie. Z początku niech panowie odpowiedzieć zechcą: winien czy nie winien?
- My protestujemy przeciw całej sprawie. Brzeski dobre dziecko i nic więcej... - grzmiał topograf.
- Nie podpiszemy protokołu! - wtrącił spokojnie doktor.
- Ja mogę ukarać każdego na własną rękę. Że ja zaprosiłem panów, to moja grzeczność.

Dobre dziecko, ale zły podwładny... Ja nie mogę pozwolić na nieposłuszeństwo. To będzie zupełna zguba wyprawy!

Głosy umilkły. Na płóciennych ścianach namiotu zakołysały się cienie. Zasłona nad wejściem podniosła się i na dworze ukazał się topograf.

- Zbrodnia... Szaleństwo... Nie chcę być obecny!... - wołał wzburzony.

- Proszę się opamiętać, bo pań to już jest dorosły żołnierz... - huczał za nim baron.

- Ach! To pan tu... Więc słyszałeś wszystko! - krzyknął topograf dostrzegłszy przed progiem Brzeskiego.

Młodzieniec poruszał ustami, ale nie mógł dobyć głosu i tylko uśmiechał się blado.

- Nie lękaj się!... Nic ci nie zrobią... Chyba i mnie!

- Cóż ty gapa, Małych, nie odprowadziłeś go dalej! Odprowadź go na miejsce i wracaj zaraz!... A każ go związać... Panie topografie, proszę na powrót do namiotu... - zawołał z głębi baron.

Po chwili Brzeski znalazł się na swoim posłaniu. Małych zaczekał, aż go związali chińscy żołnierze, co ci zrobili niezwykle względnie i łagodnie. Młodzieniec pierwszy raz miał na sobie pęta i poczucie niezmiernej krzywdy i obelgi zalało mu serce goryczą. Przetoczył się na twarz, aby ukryć srebrzące się łzy w oczach i wołał w głębi ducha przejmującym głosem:

„Matko!... Matko!... Matko!...”

„I za co? Przecież sam baron byłby strasznie zmartwiony, gdyby przewodnicy udusili się!... Ależ oni też!... nie pomyśleli, co mię za to czeka, i umknęli!”

Przypomniał sobie ostry głos barona, jego nieruchome, nienawistne spojrzenie i wyobrażał sobie jutrzejszy ranek, kiedy świt zarumieni piaski i w obozie powstanie uroczysty żałobny ruch... Zbiorą się posługacze, mulnicy, żołnierze i staną szeregiem... Będą szeptali między sobą i litowali się nad nim, gdyż lubili go i zawsze darzyli uśmiechem. Następnie wyjdzie z namiotu blady, zbolały doktor i będzie mu ostrożnie kiwał głową z daleka. Fotograf nie będzie śmiał mu w oczy spojrzeć, a on mu powie: „Przebaczam panu, choć to pana sprawa!” Związany topograf będzie z dala krzyczał: „Zbrodniarze!...” Nawet baron poczuje wyrzuty sumienia, ale... już za późno! Małych podejdzie i wymierzy mu w skroń rewolwer... Widział tuż blisko przed twarzą zimną błękitną lufę rewolweru z czarnym otworem pośrodku i szare gałki kul w jego bębnie... Lecz on nie drgnie, nie... Chwila męstwa, błysk, huk, po czym on potoczy się wstrząsając głową jak antylopa, którą w jego oczach dobito w początkach podróży... Potem karawana ruszy, a on zostanie z podwiniętymi rękoma i twarzą w piasku... Wiatry go z wolna zamiotą...

Poczuł nagle, jak go zewsząd ogarnia ten wstrętny, suchy, dokuczliwy, trzeszczący piasek, jak owija go, dusi, spiera mu dech, a on się ruszyć nie może; jak wdziera mu się do uszu, nozdrzy, do ust, do samych wnętrzności, oblega i piecze obrzękły język, unieruchamia płuca i serce, objada mięśnie... aż poczuł w sobie szkielet kościany, któremu z pustych oczodołów i szczelin szczękowych wyciekają ze zwycięskim szelestem brudne strugi piasku... Tam daleko taki sam szkielet i dwóch ich tylko w pustyni... Nic, nic nie zostało!... Wszystko znikło. Nic się nie stanie i niczego już więcej nie będzie!... Oto po co istnieje świat!

Powiał nań jakiś zimny oddech i dreszcz grozy przebiegł mu wzdłuż krzyża... Dlaczego tak się stało? Dlaczego? Z niesłychaną szybkością przemknęły przed nim widziane obrazy... Wczorajszy sąd... uwolnienie Sodmuna i Bage... wsie martwe, ulice miasta z tłumami Chińczyków... Ti-Dun, żołnierze chińscy, namioty, bramy... step równy, błękitny jak morze... ciche jurty z klęczącymi kolo nich wielbłądami... zręczni jeźdźcy kirgiscy i mongolscy... góry w wirach śnieżycy... podwórze domu z rozwieszoną bielizną... Dor... krwista, obrzękła twarz „Wielkiego Sasa”, kosmata głowa Teodora... cmentarz z wysokimi krzyżami... domek z głębi ogrodu i... matka, wyglądająca od niego wieści... Zabity!... Zabity!...

Coś tak strasznego szarpnęło go za serce, że nie mógł wstrzymać jęku...

Wtem poczuł, że go wloką... Zaczął drżeć jak liść osiny, ale wstrzymał krzyk, gdyż

zrozumiał, że to koniec, a chciał być mężny... „Boże, bądź miłościw...” - zaczął szeptać.

Postawiono go na nogi, uwolniono mu ręce z więzów. Krew gorącą falą rzuciła się do zdrętwiałych członków, ogromny ból zakołysał nim i odjął mu przytomność... Wielkie bezkształtne cienie zachwiały się jednocześnie tuż przed nim na tle gwiaździstych, dalekich niebios... Po ostrym zapachu poznał wielbłądy. Te same ręce schwyciły go i rzuciły na twarde siedzenie; potem rozległo się bolesne stękanie, siodło i ciepłe jego podłoże wzleciały do góry, zakołysały się pod nim, po czym pomknęły miarowo w chłodnym przestworzu. Brzeski oprzytomniał, poczuł za sobą człowieka, który go podtrzymywał pod pachy, i odgadł, że go uwożą...

„Pewnie topograf’ - pomyślał.

Ale wzruszenie, ból, a głównie zapach i kołysanie się biegnącego wielbłąda, podobne do skoków łodzi tłuczonej przez fale, znowu zmąciły mu myśli. Głowę opasała mu ołowiana obręcz, serce ledwie biło w spartych mocno piersiach. Doprawdy, chwilami wolałby śmierć niż to bezbrzeżne a marne cierpienie! Na pewno spadłby, gdyby nie silne ręce towarzysza. Biegli chyżo, spuszczali się i wspinali na pagórki. Brzeski zamknął oczy, cierpiał i czekał.

Wreszcie świt wdarł mu się pod powieki. Otworzył oczy i dostrzegł, że piachy zbiegają na płaską kamienistą równinę, poza którą znów widać żółte, nagie wyniosłości.

Na twardych żwirach wielbłąd zwolnił kroku. Brzeski odetchnął i obejrzał się. Dostrzegł za sobą jeszcze pięciu jeźdźców pędzących na wielbłądach gęsiego. Poznał Mongoła, który siedział za nim, i powiedział mu po chińsku:

- *Do-sie!* [1]

Pastuch wyszczerzył białe zęby i zaczął mu coś szybko opowiadać. Brzeski uchwycił tylko wyraz „Sodmun”.

- Tak, Sodmun!

- *Chao! chao!* — kiwał głową Mongoł.

W miarę jak młodzieńca opuszczał nieznośny ból głowy, Brzeski coraz wyraźniej odczuwał dwuznaczność swego położenia. Może towarzyszów jego zamordowano i na nim zaciąży zarzut zdrady i zabójstwa?... A może to są ukryci Dunganie, rozbójnicy chunchuzi i uprowadzili go, aby sprzedać jako młodego, zdolnego do pracy niewolnika?

Słońce wschodziło pyszne, purpurowe; step bladł, błękitniał; dawno nie widziane mongolskie skowronki zrywały się spod nóg wielbłądów i ze świergotem wzbijały się w lazury. Na widnokręgu zarysował się przejrzysty łańcuch wysokich gór z perłowymi plamami śniegów na szczytach.

- Las! - krzyknął Mongoł i wyciągnął rękę. ponad ramieniem Brzeskiego.

Daleko, bardzo daleko, u stóp prawie gór czerniała cienka, nikła linia niby brzeg odległy. Brzeski miał ochotę przeżegnać się, łzy nabiegły mu do oczu. Wielbłądy z rykiem pomknęły. Wkrótce znowu zagłębili się w piachy i widziadło znikło. Znów wstępowali i spuszczali się po sypkich spadzistościach piachów, znów chyże kołysanie wielbłąda spowiło niemocą myśli i zmysły Brzeskiego. Ocknął się, gdy stanęli. Góry były jeszcze daleko, ale tuż przed nimi szumiał łan nieprzejrzany wysokich wyschłych szuwarów. Mongoł pochylił się w bok i rozglądał uważnie. Nadjechała reszta zbiegów i zaczęła się krzykliwa narada, po czym jeden z nich wystąpił na czele i poprowadził towarzyszów skrajem traw. Niedaleko za węgłem ogromnej wydmy jeźdźcy zsiedli z wielbłądów. Przewodnik zagłębił się w sitowie, chodził, szukał, wreszcie krzyknął radośnie.

Obecni ruszyli ku niemu, z trudnością wstrzymując za uzdy drżące z niecierpliwości wielbłądy. Na małej polance widniał dół, a w nim na dnie... czysta i błyszcząca woda. Przewodnik już ją pił, zanurzywszy w niej twarz po uszy jak zwierzę.

Napili się sami, następnie pojedynczo napoili wielbłądy z obawy, aby te tłocząc się nie

[1] Dosie!, właśc. To sie! (chiń.) - Dziękuję bardzo!

zasypały źródła, po czym puścili je na paszę, pokładli się i usnęli natychmiast jak martwi.

Słońce chyliło się ku zachodowi, spoza oczeretów widać było tylko jego jasną łunę na niepokalanym niebie bez chmur, gdy Brzeski ocknął się wreszcie. Mongołowie już nie spali.

Trzech z nich odeszło drożyną ku wylotowi kotliny; inni przykucnąwszy u źródła cicho rozmawiali i pilnie nasłuchiwali.

W dali dźwięczały dzwonki i głosy.

Brzeskiego ogarnęło mieszane uczucie radości i trwogi. Czyżby to byli porzuceni towarzysze? Coraz wyraźniej rozlegały się fyrkania koni, chrzęst racic wielbłądzich na piaskach i krótkie, urywane okrzyki poganiaczów. Ktoś nucił monotonną mongolską piosenkę...

Nie, to nie nasi!... Wszak wśród nich dawno już nikt nie śpiewa!

Pilnujący drożyny Mongołowie znikli, po czym rozległ się krzyk, wołanie, ucichły dźwięki brzękadeł i kroków; pozostali u źródła zerwali się i pobiegli; wstał mimowolnie i Brzeski, i podążył za nimi. O kroków kilkanaście na ostatnich ławicach piachów spostrzegł karawanę, składającą się z kilku lekko jucznych wielbłądów i koni. Gromadka Mongołów w niebieskich chałatach i baranich czapkach wrzeszczała, śmiała się I machała rękoma. Ale zdziwienie Brzeskiego nie miało granic, gdy ci rozstąpili się i on dostrzegł wśród nich... Sodmuna. Miał tę samą żółtą czapeczkę na głowie i żółtą, brudną, jedwabną opończę, ale towarzysze okazywali mu cześć widoczną. Zbliżył się do Brzeskiego i pokłonił się chińskim obyczajem z zaciśniętymi pięściami nad głową.

- *Chao bu-chao? Czy-la-fań-la mej-ju?* [1] — pozdrowił uprzejmie Brzeskiego. Ten wiedział, że to jest zwykłe powitanie chińskie, ale treść jego tak daleko odbiegała od rzeczywistości, że uśmiechnął się boleśnie.

- Sodmunie... — wyrzekł i wskazał w stronę porzuconej karawany.

Lama kiwnął głową, podszedł do źródła, przykucnął i kazał sobie podać wody. Tymczasem jego towarzysze zajęli się nieceniem ognia i rozjuczaniem bydląt. Wkrótce zawrzały, zabuchały parą duże miedziane imbryki i zapach zielonej herbaty przyrządzonej z solą, mąką i łojem baranim przyjemnie uderzył powonienie Brzeskiego. Jego usta, dawno odwykłe od gorącej strawy, z rozkoszą chłonęły filiżankę za filiżanką. Jednocześnie słuchał pilnie ważnej narady, odbywającej się w kole krajowców.

Jeden ze zbiegów, chiński żołnierz, nastawał, ile mógł pojąć z oddzielnych, zrozumiałych dla niego wyrazów i gestów, aby nie śpieszyć się do karawany, że lepiej poczekać, aż poginą, bo wtedy będzie można zrabować towary. Jeden cudzoziemiec, ten co został będzie świadczył, że oni nie pomordowali podróżnych, że oni uciekali tylko od obłąkanego naczelnika ratując życie. Jeszcze coś mówił, przy czym pokazywał ręką, jak tnie miecz spadający na głowy.

Brzeski oczu nie spuszczał z Sodmuna. Ten nic nie mówił, na nikogo nie patrzał i przesuwał wolno w palcach paciorki różańca. Wreszcie podniósł głowę i spotkał się z wejrzeniem Brzeskiego.

- Sodmun... nie! Sodmun... rozumie!...

Pokazał mu swój buddyjski różaniec i rękę do piersi przycisnął. Łzy potoczyły się po znękanej twarzy młodzieńca; pochylił się i podniósł do j ust śniadą rękę azjatyckiego mnicha.

- Zabierzcie mię... Tylko prędko... zaraz - prosił.

- Zaraz... zaraz!...

Wkrótce doborowy orszak wielbłądów, objuczonych skórzanymi worami z wodą, ruszył w piachy. Brzeski i lama jechali konno.

Karawanę spotkali w pół drogi. Ludzie wlekli się piechotą, porzuciwszy na drodze juki i osłabłe zwierzęta. Baron brnął gdzieś w tyle orszaku, pod opieką topografa. Nie chciał iść, położył się na piaskach i mówił, że ma dosyć wszystkiego. Bredził, jęczał, kazał kogoś

[1] Chao-bu-chao?..., właśc. Hao pu hao?...(chiń.) - Jak tam? Czy już jadłeś?

karać...

Nikt nie zwracał na niego uwagi; wszystkich pochłaniały własne cierpienia i zbliżająca się śmierć. Spostrzegłszy zbliżający się oddział zbawczy, zaczęli płakać i wyć z radości... Wielu zaniemówiło ze wzruszenia i przybyli z trudnością zdołali się od nich dowiedzieć, gdzie są Europejczycy... Sodmun z Brzeskim znaleźli ich wreszcie w małej rozpadlinie. Baron leżał na ziemi i nie chciał się ruszyć. Daremnie poczciwy topograf namawiał go i pomagał mu. Baron wymyślał lub jęczał... Gdy Brzeski przykląkł koło niego i bulknął wodą w manierce, Niemiec podniósł ociężale powieki i w mdlejących źrenicach błysnęło zdziwienie i przestrach...

*

Ludzie zostali uratowani, ale więcej niż połowa koni i wielbłądów zginęła. Towary, zapasy żywności, kolekcje naukowe, pieniądze - wszystko ocalało, ponieważ niedaleko od źródła już zaczynały się koczowiska mongolskie, gdzie Sodmun kupił niezwłocznie znaczną ilość nowych zwierząt i wysłał na nich ludzi na poszukiwanie porzuconych rzeczy karawany. Zginęło jedynie to, co zdołały zamieść piachy pustyni.

W dwa tygodnie potem ekspedycja przebyła górski łańcuch Tian Szanin [1], a po następnych dwóch tygodniach przeszła przez ogromną sklepioną bramę Wielkiego Muru Chińskiego, znalazła się wśród żyznych, gęsto zaludnionych, doskonale uprawnych dolin Chin właściwych [2].

W Pekinie ekspedycja stanęła z wielkim opóźnieniem, ale bez żadnych już przygód.

Wśród członków jej panowała pozorna zgoda.

[1] Tian-Szanin dziś: Tienszan.

[2] Chiny właściwe obszar Chin przed podbojem mandżurskim, nie obejmujący Tybetu, jak również Mandżurii, Mongolii i Sinciangu (Xinjiangu), położonych „na zewnątrz” Wielkiego Muru Chińskiego.

W PAŃSTWIE KWIATÓW [1]

XI

Kochana złota, daleka mamusiu!

Nareszcie jestem na własnych śmieciach. Doprawdy: na śmieciach gdyż zostało ich dużo na niby to zamiecionej podłodze. W kącie leży ich cała góra. Zmieni się to jednak z czasem. W poselstwie na niczym mi nie zbywało, wszyscy obchodzili się ze mną bardzo grzecznie i sam ambasador mówił ze mną kilkakroć, ale... tam wszyscy tacy bogaci i wielcy panowie. Strasznie nudno. Gdyby nie doktor i topograf, nie wiedziałbym nieraz, gdzie się podziać. Ci do końca uważali mię za towarzysza. Zaszły jednak takie rzeczy, że musiałem ambasadę porzucić. Zbyt obszernie trzeba by o tym pisać; ale wierz mi, mamusiu, że miałem rację. Rzecz w tym, że w poselstwie wolno mieszkać wyłącznie członkom ciała dyplomatycznego i tylko w drodze niezwykłej łaski dopuszczani są do tego zwykli śmiertelnicy. Baron obiecał się wystarać o to dla mnie u ambasadora, lecz ja grzecznie wymówiłem się od tego. Zresztą na pobyt w poselstwie nie starczyłoby mi przeznaczonych przez wuja pieniędzy. Studenci poselscy pobierają ogromną pensję, ze dwa tysiące rubli rocznie zlotem, a wciąż się skarżą, że im brak. Rauty, bale, przejażdżki powozem lub konno bardzo drogo kosztują. Tu wszystko krajowe tanie, ale wszystko europejskie nadzwyczaj drogie. Tymczasem w poselstwie nawet służba europejska wstydzi się używać tutejszych przedmiotów. Zawsze trzeba brać przedmioty najlepsze i najdroższe; piechotą chodzić nie wypada, tylko zaraz najmować palankin. Powiadają, że to dla podtrzymania godności poselstw, że inaczej motłoch zaraz by się na nie rzucił i zburzył. W poselstwie siedziałem jak w klatce. Wciąż to samo: wizyty różnych narodowości.

Wszystkie poselstwa mieszczą się na tej samej ulicy, w otoczonych murami ogrodach, w mandżurskiej dzielnicy Pekinu, naprzeciwko potężnego muru z rogatymi wieżycami, oddzielającego mandżurską północną dzielnicę od chińskiej południowej. Na prawo w oddali wznosi się wspaniała Czeń-men [2] *baszta Wrót Głównych, wiodących szeroką ulicą wprost do Czerwonego Miasta Cesarskiego; na lewo ciemnieje sklepienie równie pięknej, choć trochę mniejszej bramy południowo-wschodniej, przez tę przechodzi bardzo ruchliwa i handlowa ulica, na której był zabity kilka lat temu poseł niemiecki. Bramy te, okute żelazem i bardzo warowne dla dawniejszych czasów, obecnie są zaniedbane i nawet nie zamykają się na noc... Granice ludnościowe między dzielnicami zacierają się, nawet wcale ich nie ma. Wszędzie mieszkają, mają sklepy i warsztaty ciż sami Chińczycy, kosoocy, żółtolicy, z warkoczami na plecach, odziani w niebieskie lub szare chałaty... Wszędzie te same zaśmiecone, niebrukowane, śmierdzące ulice... Ale mandżurska dzielnica po dziś dzień jest mniej ludną i mniej gwarną, posiada mniej sklepów i kramów, za to więcej pałaców i ogrodów... Tutaj mieszczą się koszary mandżurskiej gwardii Bogdochana, a pośrodku, otoczone różowym murem i rowem warownym. Miasto Zakazane - gdzie mieszka cesarz chiński ze swym dworem. Nikt tam nie ma dostępu oprócz dworzan i członków cesarskiej rodziny... Powyżej muru widać jedynie śliczne, rzeźbione, złocone i polewane dachy świątyń oraz pałacyków, kryjące się wśród gęstwiny drzew... Straż z chińskich żołnierzy, uzbrojonych po europejsku, stoi wszędzie*

[1] Państwo Kwiatów na określenie swojego kraju i narodu Chińczycy używają m.in. określenia *hua*, co znaczy rozkwit, kwitnienie, wspaniałość.

[2] Czeń-men (właśc. Cien Men) Brama Przednia.

u wrót i na zwodzonych mostach, prowadzących do tego cesarskiego zamku, który jest bardzo obszerny, ma składy żywności i opału, zaopatrzone na parę lat na wypadek wojny lub oblężenia przez własnych poddanych.

Poselstwa europejskie znajdują się niedaleko od Zakazanego Miasta. Oddzielają je odeń wielkie i puste place, służące do musztry wojsk i parad dworskich. Pałace poselskie były niegdyś mieszkaniami chińskich książąt i magnatów nadwornych. W ogrodach i na ulicy zawsze jest cicho i pusto. Czasem zajrzy jakiś przekupień, ale nie krzyczy, nie hałasuje, nie woła jak u siebie w śródmieściu; pogada ze służbą, przemknie się do kuchni, do przedpokoju, odnajdzie potrzebną mu osobę i znika. Gwar miasta dolatuje z handlowych dzielnic głucho niby szum dalekiego morza. Ważniejsi członkowie ambasady, poseł, sekretarz, dragomani [1]*, doktor, duchowieństwo zajmują oddzielne domy. Każdy coś zbiera: ten ryciny, ów książki, brązy, wyroby z kości słoniowej, emalie lub hafty. Bardzo ładnie ozdabiają nimi swoje mieszkania. Studenci wciąż urządzają rozmaite zabawy dla wprawy w dyplomację z obcymi mocarstwami. Po chińsku umieją tyle co ja. Ojciec Paolo z katolickiej misji, który dawno tu jest i wie wszystko doskonale, powiedział mi, że się nigdy więcej nie nauczą, że aby poznać do gruntu Chińczyków, trzeba żyć z nimi i tak jak oni. Postanowiłem poznać do gruntu Chińczyków i zamieszkałem u pewnego Tziuj-żeń* [2]*, tj. uczonego drugiego stopnia, znajomego ojca Paola. Ten Chińczyk dawno się kręci w poselstwach, umie po francusku tyle co ja, a wymawia europejskie wyrazy jak Siuj. Zwie się Wań Siń-li, co znaczy „Władca Wrót Zachodnich"; wań - władca, siń - zachód, lin brama. Ale studenci w poselstwie często wymawiają jakoś inaczej, przeciągłej jego imię. Wtedy Wań gniewa się, czerwieni i woła w okropnym angielsko-chińskim dialekcie „gołębim" (pigeon* [3]*):*

- Ni... Ni dobrze!... Mój nie dziesięć... Mój wrota!...

Studenci udają, że nie rozumieją, a Wań kiwa smutnie głową i odchodzi mrucząc:

- Twój język ni-dobra... Moja nie dziesięć tysięcy... Moja zachodnia brama!...

Chodzi o to, że Wań Siń-li powiedziane trochę inaczej znaczy „Dziesięć tysięcy ceremonii", co brzmi zabawnie. Po chińsku bardzo łatwo omylić się, dość inaczej zaakcentować wyraz, aby nieraz komplement zamienić na grubiaństwo. W dodatku ojciec Paolo mówił mi, że Chińczycy nie lubią, aby ich zwano po imieniu „jak psa", i radził mi, abym Wania tytułował Siań-szen [4] *- nauczyciel lub czymś w tym rodzaju. Zawsze jestem grzeczny ze wszystkimi, nie drwiłem i nie przezywałem Wania. Jest on wprawdzie nieraz bardzo zabawny, bardzo ceremonialny i mówi bardzo cicho, potrząsając co chwila zaciśniętymi pięściami na znak powitania, ale co kraj, to obyczaj... Mówi o sobie, że jest „trochę chrześcijaninem". W niemieckim poselstwie gadają, że jest „dubeltowym chrześcijaninem", że już dwa razy się ochrzcił, ale w katolickiej misji powiadają, że to protestancka plotka. Ojciec Paolo mówi, że Wań jest ubogi, ale uczciwy, i spodziewa się, że zostanie z czasem gorliwym katolikiem. Wań zgodził się być moim Siań-szenem, tj. nauczycielem, za l0 000 czochów miesięcznie. Nie bój się, mamusiu: to niedużo, to tylko 10 rubli z mieszkaniem i życiem. Dostaję przecież od wuja dużo więcej. Z czasem będę mógł nawet mamusi pomagać. Za radą ojców misjonarzy przebrałem się za Chińczyka, co znacznie zmniejszy wydatek na odzież. Wszyscy misjonarze tak się tu ubierają. Wśród nich poznałem w misji rodaka, księdza Płońskiego. Jest młody, chudy i smutny. Bardzo się zdziwił, kiedym zagadał do niego po polsku. „A pan co tu robi?" - spytał. Opowiedziałem mu o życzeniu i projektach wuja. Kiwał głową i rzekł, że wszędzie nas pełno,*

[1] Dragoman (z arab.) tłumacz; termin używany powszechnie w XIX w. na określenie urzędników misji w krajach Azji i Afryki., władających miejscowym językiem.

[2] Tziuj-żeń, właść. cużen (chiń.) - drugi stopień naukowy przyznawany w dawnych Chinach i upoważniający do objęcia stanowiska urzędniczego na terenie prowincji.

[3] Pigeon - chodzi o Pidgin English, zniekształcony „angielski język kupiecki" (Business English), żargon chińsko-malajsko-angielski.

[4] Siań-szen, właśc. sienszeng (chiń.) - dosłownie: wcześniej urodzony; zwrot używany w znaczeniu „nauczyciel", „pan".

że rozproszyliśmy się po świecie jak Żydzi po stracie Jerozolimy i że jak Żydzi zostaniemy z czasem narodem bez ziemi.

Mamusiu kochana, czy to może się stać?! Czy to doprawdy może kiedy nastąpić? Boli mię dusza, kiedy o tym rozmyślam.

Mieszkam już u Wania. Porozumiewamy się za pomocą chińsko-francuskiej mieszaniny i gestów. Pokój mam duży, ale nieprzyjemny, podobny do latarni. Całą jedną ścianę zajmuje ogromne okno drobno kratkowane i zaciągnięte przezroczystym papierem.

Brzeski położył pióro, przeciągnął się i rozejrzał po mieszkaniu, aby je lepiej opisać. Ale nie było co opisywać. Stolik, na którym się wspierał, krzesełko, na którym siedział, kuferek i trochę rozwieszonych na gwoździach rzeczy — ginęły w obszernej zakurzonej „latarni”. W jednym jej końcu, w małej alkowie, mieściła się niska prycza do spania, w drugim leżała kupa śmieci, przykrytych niedużą ryżową miotełką. Czerwone światło zachodu z trudnością przedzierało się przez zbrukany papier okna i różowiło z lekka szare ściany, ubogie sprzęty i białą twarz młodzieńca.

Rozglądał się po mieszkaniu i ziewał. Wtem za tekturowym blatem drzwi rozległ się szmer, wyjrzała stamtąd ogolona głowa chłopięca i czarne podłużne oczki Chińczyka z zaciekawieniem spoczęły na cudzoziemcu:

- Kasza! - rzekł krótko i głowę schował.

Brzeski roześmiał się, zatupał nogami na uciekającego malca i powstał. Zrozumiał, że go wołają na wieczerzę.

Wyszedł. Niebo, pełne dżdżystych, ciężkich, zwichrzonych chmur, zalewała ognista wieczorna pożoga wróżąc wietrzną pogodę. Brudne podwórko, szarym wyłożone kamieniem, szare zmurszałe mury przylegającego rządowego budynku, wielkie ślepe okna ubogiego mieszkania Wań Siń-lina płonęły jak czeluście hutniczego pieca.

Na gałązkach i konarach dwóch czarnych, bezlistnych drzew, stojących w głębi dziedzińca, lśniły się rubinowe połyski, całe snopy rubinowych iskier migotały na starej ich korze chropawej. Wilgotna zielona dachówka pogiętych dachów i rozwarte na ich rogach, zamiast rynien, paszcze glinianych smoków grały ogniami. Stare złocenia i delikatne purpurowe malowania rzeźbionych okapów wypłynęły z cieniów i zaświeciły łagodnie jak rysy zbudzonego ze snu człowieka.

Brzeski nie poznawał „rudery”, jak nazwał pod pierwszym wrażeniem lichy domek „Władcy Wrót Zachodnich”. Spod opadłych jego tynków, z brudnych zacieków muru, z błota, gruzu i śmiecia podwórzowego wyjrzało nagle coś starego, pięknego w swym cichym wiekowym zgonie.

Mieszkanie Wania przedstawiało taką samą jak Brzeskiego obszerną brudną izbę, podobną do zakurzonej latarni. Tylko miała ona znacznie więcej sprzętów. Pośrodku, wprost drzwi, mieściła się pod ścianą mała kuchenka z wmurowanym kotłem do grzania wody. Na lewo w głębi stół w otoczeniu prostych drewnianych stołków, a pod ścianą — ołtarz przodków [1], rodzaj biurka ustrojonego tanimi rycinami, rzeźbionymi tabliczkami przodków oraz poszczerbioną porcelanową wazą z pawim piórkiem. Na prawo od kuchenki, tuż przy ścianie, szedł niski kanał ceglany, odprowadzający ogrzane powietrze, i ginął za rzędem jaskrawo malowanych papierowych parawanów.

Gdy Brzeski wszedł, Wań siedział przy stole, na którym stary i niezmiernie brudny sługa Czżan ustawiał małe miseczki z ryżem i smażoną wieprzowiną. Siań-szen powitał swego ucznia poważnym wzniesieniem rąk i podał mu własnoręcznie pierwszą filiżankę herbaty.

- Każdy kraj ma swoje obyczaje - zauważył ostrożnie w czasie przerywanej rozmowy o pogodzie, o porządku przyszłych ich zajęć i sposobach nauczania. - W naszym kraju na przy-

[1] Ołtarz przodków, bardziej lub mniej okazały znajdował się w każdym domostwie chińskim. Umieszczano na nim m.in. tabliczki z imionami przodków, przed którymi składano ofiary.

kład nawet ci, co płacą znaczne pieniądze, pierwsi kłaniają się swym nauczycielom!

Brzeski poczerwieniał, gdyż rozglądając się po izbie, zapomniał był tego uczynić. Stłumiony śmiech za parawanem zmieszał go bardzo.

- Lień... Lień... - usłyszał szept. - Ty za długo patrzysz w dziurkę... a przecież to ja ją znalazłem... Pozwól, niech ja teraz zobaczę...

Młodzieniec czul się przedmiotem obserwacji, a szelest kobiecego odzienia do reszty go wyprowadził z równowagi.

Pręciki do jedzenia, którymi nie władał jeszcze dość wprawnie, odmówiły mu ostatecznie posłuszeństwa; ziarenka ryżu uparcie umykały od nich i rozsypywały się po całym stole. Stary Czżan ze zdumieniem spoglądał na barbarzyńcę i kręcił głową a powstrzymywane śmiechy za parawanem groziły zamienić się lada chwila we wrzawę. Brzeski położył pałeczki, wstał głodny i zły od stołu, życzył dobrej nocy gospodarzowi i opuścił jego mieszkanie.

Zorza zgasła. Zmrok, zwiększony dżdżystymi chmurami, zmienił budynki w czarne niezgrabne ruiny, a drzewa - w pokręcone poczwarnie drapacze, w których wiatr gwizdał posępnie.

Brzeski wszedł do swej zimnej, wilgotnej izby, zapalił świecę i dopisał w liście:

...Tęsknię, mamusiu, tak tęsknię, że aż strach! Pisz często, jak można najczęściej, i o wszystkim: wszystko mię zajmuje, najmniejszej wieści od was ciekawy jestem... Kłaniaj się znajomym oraz Teodorowi i jego żonie... Kochający syn.

Janek

XII

W Chinach wstają rano. Brzeski budził się zwykle o wschodzie słońca. Przykre wilgotne zimno rychło wypłaszało go z izby, wystudzonej przez chłód nocy jesiennej. Narzucał pośpiesznie swój chiński kaftan i biegł do mieszkania Siań-szena, gdzie przez papier okien już błyskał płonący na kominie ogień i poruszały się wielkie cienie o płaskich profilach i długich, zwisających na plecy warkoczach.

- Szczęśliwego ranka łaskawemu panu! - witał go stary Czżan, pośpiesznie wycierając palcami swój wiecznie zakapany nos.

- Szczęśliwego ranka zgrzybiałemu kuchąrzowi Czżanowi - sakramentalnie odpowiadał Brzeski, podejrzliwie śledząc ręce Chińczyka.

Miał wrażenie, że wstrętny brudas wytrze je przez roztargnienie nie o swoje, lecz o jego ubranie. Rozbierając się kładł więc swój kaftan jak najdalej od dobrodusznego brudasa, ale ten zawsze brał kaftan do rąk i oglądając go pod światło na wszystkie strony zachwycał się według wszelkich prawideł grzeczności chińskiej.

- Co za cudowny ubiór!! Ciepło ci pewnie w nim, łaskawy panie?!

Brzeski bąkał coś niewyraźnie, zmieszany bliskim sąsiedztwem żebraczych łachmanów Czżana, przez które w wielu miejscach przeświecało brązowe ciało służącego. Znalazł wreszcie sposób na uwolnienie swego odzienia od lepkich palców Chińczyka i obłażących zeń pasożytów.

- Lepiej byś mi, stary, potrzymał miednicę i dzbanek!

Czżan zgodził się i od tej pory niby żywa umywalka trzymał przed nim miednicę i przypatrywał mu się uważnie zaropiałymi oczyma, podczas gdy Brzeski umywał twarz i ręce po chińsku kawałkiem flaneli, umaczanej w gorącej wodzie. Jednocześnie stary bawił młodzieńca rozmową:

- Zimna nadchodzą!

- O tak!

- Mój pan, szczodry „Władca Wrót Zachodnich”, już kazał mi wyszukać piecyk do pańskiego mieszkania...

O tym piecyku, który był wymieniony w umowie, Brzeski słyszał od pierwszego dnia, ale kupno jego wciąż trafiało na przeszkody: to znaleziony piecyk był za duży, to za mały, to był brzydki, to stary, to majstrowie, potrzebni do postawienia go, pracowali właśnie gdzie indziej...

- *Bo-na jou-ra* [1] - odzywał się wychodząc zza parawanu gospodarz. - Za parę dni będzie pan miał piecyk... Już ja sam wezmę się do tego! Ten niedołęga Czżan nie wie, gdzie szukać. A może łaskawy cudzoziemski pan wolałby fajerkę [2]?...

- O nie!... Wolę piecyk... Fajerka czadzi.

- Można znaleźć fajerkę, która nie czadzi! Ale wiem: zamorscy ludzie nie lubią fajerek. Niech będzie piecyk!...

Wań mówił z uczniem swym „gołębim” rosyjsko-angielsko-francusko-chińskim żargonem, do którego coraz częściej, stopniowo i bardzo umiejętnie wstawiał czysto chińskie wyrazy i zwroty. W ten sposób Brzeski uczył się niepostrzeżenie tubylczej mowy.

Tymczasem za parawanem szły inne sprawy, rozlegały się szepty i gadania, wybuchały głuche, gniewne pokaszliwania, przeplatane przyciszonymi napomnieniami, szelestem wdziewanych sukni, wreszcie wychodził stamtąd ośmioletni Ma-czży i zręcznie robił przed ojcem „jeden z ośmiu ukłonów”. Zwykle jednocześnie rozlegało się na podwórzu wołanie wędrownego piekarza:

Ko-lień u-cień!... Ko-lień... biń-tzy!... [3]

Ma-czży, Czżan, nawet sam Siań-szen śpieszyli do drzwi, a za parawanem odsuwała się rama w oknie. Po chwili wracał chłopiec uszczęśliwiony i wnosił górę gorących pszennych placuszków na drewnianej lakierowanej misie. Zasiadano do herbaty. Za parawanem robiono widocznie to samo, gdyż spoza skrzydła przylegającego do komina raz po raz wysuwała się ręka w zwisającym niebieskim rękawie i brała z ogniska fajansowy imbryk. Brzeski z głosów wnosił, że tam są dwie kobiety, ale spostrzegał zawsze tę samą rękę, młodą i zgrabną. Po śniadaniu Czżan udawał się z koszykiem na targ. Ma-czży znikał, a Wań zabierał się do lekcji z Brzeskim. Pokazywał mu kolejno rozmaite przedmioty, wymawiał ich chińską nazwę, tworzył zdania i kazał sobie powtarzać. Czasem, aby dobrze wymówić, Brzeski musiał kilka razy powtórzyć, ale cierpliwość Siań-szena nie znała, zdawało się, granic. Najgorzej było z akcentami [4], których istniało kilka i które tym samym dźwiękom najrozmaitsze nadawały znaczenia. Następnie Brzeski wprawiał się w pisanie tuszem i chińskim pędzelkiem odpowiednich znaków na czerwonych wzorach, a nauczyciel pod oknem na osobnym stoliczku przepisywał rozmaite papiery.

Chińczyk pracował starannie, grzbietu nie rozginał od rana do nocy, wypoczywając tylko przy jedzeniu, przecieraniu okularów lub przy rozrabianiu tuszu. Szczycił się bardzo swym pismem i nieraz wołał Brzeskiego, aby mu pod pozorem nauki pokazać jakiś piękny zakrętas:

- Niech mój doświadczony uczeń zobaczy: czy pozna, jaka to litera?!

- Wszystko to bardzo podobne do umaczanej w atramencie rozklapanej muchy! - mruczał po polsku Brzeski.

- Ten ruch [5] zowie się *szon* i znaczy: szczęście... Czy nieprawda, że piękny, że ponętny,

[1] Bo-na jou-ra (zniekszt. franc.) - dzień dobry.

[2] Fajerka - tu: naczynie na żarzące się węgle.

[3] Ko-lień u-cień!..., właśc. Ke lien wu cien!... Ke lien... pincy!... (chiń.) - Jedna porcja -pięć miedziaków!... Jedna porcja... placki!...

[4] Akcenty - chodzi o tony, którymi różnią się między sobą sylaby o identycznej budowie głoskowej.

[5] Ten ruch... - każde pociągnięcie pędzelka w kaligrafii chińskiej ma swoją nazwę; *szon* - ruch posuwisty.

że z samego jego kształtu można się domyślać, co wyraża?!

- Tak... cokolwiek?... - zgadzał się niechętnie Brzeski, z wolna przejmując się chińską grzecznością, która nie pozwala na stanowcze przeczenie.

W gruncie rzeczy owadokształtne litery nie podobały mu się, ale okazywał zainteresowanie, gdyż zrozumiał, że kaligrafia Wania jest źródłem dochodu rodziny. Waniowie byli bardzo ubodzy. Zjawienie się Brzeskiego stało się dla nich wypadkiem wprost opatrznościowym. Chłopak chciał być wspaniałomyślnym do końca i nie nalegał na kupno piecyka. Ale w jego izbie panowało wciąż tak nieznośne zimno, że spędzał dni całe w mieszkaniu Sień-szena, nasłuchując pilnie, co się dzieje za parawanami. Stanowiło to bez wątpienia miłą rozrywkę przy „kuciu" słówek angielskich, zgłębianiu mądrości chińskich hieroglifów, ułatwiało błąkanie się po labiryncie chińskiej historii i kanciastych stopniach ich niezmiernie cnotliwego światopoglądu. Zresztą młodzieniec brał wszystko bardzo serio i uczył się pilnie.

„Przecież i to jest nauka" pocieszał się, gdy łapał siebie na śledzeniu po suficie odbicia schowanych za parawanem postaci. „Aby poznać Chińczyków do gruntu, muszę poznać ich obyczaje domowe. Lepsza sposobność nigdy mi się nie nadarzy!..."

Pierwszego dnia dolatywały go stamtąd tylko przyciszone głosy oraz furkot wrzeciona, ale z dniem każdym dźwięki niesłychanie rosły i urozmaicały się. Przybywały stopniowo plucia, brzęki naczyń, westchnienia, i wreszcie przekleństwa:

- Cóż to znaczy!... Jak siedzisz?! Wystawiłaś, bezwstydnico, przed matką swoje wielkie łapy, jak gdybyś natrząsać się chciała z jej nieszczęścia... Ruszaj zaraz!... - chrypiał głos niski i zgryźliwy. - O doloż moja! Kiedyż zniknie sprzed moich oczu to kulfonogie czupiradło!... Ale kto ją weźmie? Kto?... pytam!... Przecież ci cnotliwi chrześcijanie twojego ojca też bez posagu dziewcząt nie biorą, choćby miały nogi dwa razy większe od twoich... O! wyrodne dziecko!... Nigdy nie postarasz się o nic dla twej matki starej!... Zapomniałaś!... Znów siedzę bez fajki!...

- Ależ, mamo, wyjść nie mogę: tam... cudzoziemiec!...

- Cudzoziemiec... ten rudy zbój?!...

- Mamo, on rozumie i... nie jest rudy...

- Więc widziałaś, bezwstydnico?!... Przyznaj się, że podglądałaś!...

Zwykle w chwilach takich Wań zaczynał głośną rozmowę z Brzeskim lub kazał mu czytać. Dni względnej ciszy zdarzały się za parawanem tylko wtedy, gdy w niedługich przerwach pykała tam miarowo fajeczka i mdły zapach opium rozpływał się po izbie.

XIII

Dni mijały jednostajnie, różniąc się zaledwie w szczegółach.

W pogodę wyraźniej dobiegał hałas z pobliskich handlowych ulic, słońce usiłowało wedrzeć się do izby przez ślepe błony okien, kramarze i wędrowni rzemieślnicy częściej zgłaszali się na podwórko, wykrzykując, dzwoniąc, grając na rozmaitych instrumentach.

W deszcz szmer lejącej się z dachu wody, klapanie w podmuchach wiatru mokrego papieru w oknach potęgowały jednostajnością dźwięków szarość barw i jednostajność życia tego ubogiego zakątka.

Jednego z takich dni zwykły szum miejski, który nieustannie grał w dali swą potężną pieśń tajemniczą, wzdął się i wyłonił z siebie niezwykłą wrzawę. Potężniała i szła szybko ku nim przez ciche zwykle zaułki. Wań położył pędzel i nasłuchiwał.

- To do nas! - rzekł i nieruchoma, żółta twarz jego bardziej jeszcze pożółkła.

Brzeski zdziwiony spojrzał na drzwi.

- Co to?!

- Idą...

- Kto?... Skąd?...

- Nie wiem!

Już byli na podwórzu, odgłos kroków i wrzawa głosów rozległy się tuż pod oknami. Wań znikł. Brzeski zmieszany wyszedł przede drzwi. Ciżba Chińczyków kupiła się przy bramie; na przedzie stał doktor i topograf z dwoma posługaczami z poselstwa. Dostrzegłszy go, skierowali się ku niemu radośnie.

- Pana właśnie szukamy!

- Co pan taki zmieszany?

- Nie spodziewałem się!

- Aha! Wyjeżdżamy, przyszliśmy się pożegnać...

- Wyjeżdżacie? Dokąd? Do Europy?

- Nie, dalej... w głąb Chin!

- Więc zdecydowaliście się... panowie? - powtórzył z pewnym rozczarowaniem Brzeski.

- A tak! Jak to... jak to mówi się, doktorze? *Timeo Danaos et dona ferentes*... [1]. Ogromnie lubię łacińskie przysłowia; skoro przeczytam taki dowód w gazecie, zaraz czuję się przekonanym. Ale że miałem do wyboru albo zadowolić ambicję własną i stracić śliczną mapę Chin wewnętrznych [2] mego własnego pomysłu, albo... poświęcić się, więc... poświęciłem się. Zawsze wychowywano mię w wielkim poszanowaniu dla poświęcenia... - gadał wesoło topograf.

- Więcej panu powiem: baron kazał panu powiedzieć... - zaczął doktor.

Młodzieniec pośpiesznie potrząsnął głową.

- Dlaczego? Niech pan posłucha do końca...

- Niechże panowie wejdą do mieszkania... - przerwał Brzeski i po pewnym wahaniu zaprowadził ich do swojej izby.

- Myślałem, że mieszka pan razem z Siań-szenem - rzekł topograf siadając na krześle i rozglądając się po zaniedbanym, zakurzonym pokoju.

- Właśnie!... Ale... tu sypiam.

Brzeski z przykrością poczuł, że rumieni się bez żadnego powodu.

- Hm!... hę!... Mieszkaj, gdzie chcesz, ale strzeż się... zakochania! - mruczał topograf rozglądając się w dalszym ciągu.

- Otóż baron bardzo się zmienił... - ciągnął doktor.

- *Barona e mobila!* [3] Ale co ważniejsza, że sam pojedzie do Szanchaju [4] morzem, a nas z doktorem puści lądem... - wtrącił topograf.

- Pozwolił mi zaproponować panu, abyś przyłączył się do ekspedycji w charakterze... mego pomocnika! - zakończył doktor tryumfująco.

Brzeski znów potrząsnął głową.

- Wuj...

- Puść pan w trąbę wuja! Wszystko w trąbę puść... Niech w powietrzu buja, co nie może róść... Nie zapuścisz korzeni w Chinach, o nie!... Nie łudź się... Albo jeszcze gorzej... zakochasz się w córce gospodarza... Widzieliśmy ją mimochodem... Ożenisz się i zostaniesz Chińczykiem... Wtedy nikt cię więcej nie zobaczy, nawet wuj!... Niebezpieczna to rzecz!... Lepiej zbieraj, kolego, manatki i ruszaj z nami! - namawiał topograf.

- Bez żartów. Do wuja zatelegrafujemy... - zaczął znów doktor. - Na pewno nie będzie stawiał przeszkód. Podróż od razu zapewni panu stanowisko. Dostaniesz z łatwością korzy-

[1] Timeo Danaos et dona ferentes (łac.) - Lękam się Danaów, nawet gdy przynoszą dary (cytat z Eneidy Wergiliusza).

[2] Chiny wewnętrzne, czyli Chiny właściwe.

[3] Barona e mobila (z wł.) - „Baron jest zmienny"; parafraza pierwszego zdania sławnej arii z opery Rigolleto Giuseppe Verdiego, zaczynającej się od stów La donna é mobile („Kobieta zmienna jest").

[4] Szan-chaj - dziś: Szanghaj.

stną posadę na pograniczu albo w samych Chinach. Gdybyś zechciał poświęcić się pracy naukowej, chętnie przygarnie cię Towarzystwo. Baron pomoże, my również postaramy się...

Brzeski pobladł z lekka. Topograf, który przyglądał mu się pilnie, znowu otworzył usta.

W tej chwili papier w oknie pęki przebity, a w otworze ukazał się gruby, brudny palec.

- Czyż nie jest to, zaiste... palec boży?! Czego ty chcesz nicponiu? Zima nadchodzi, a ty rujnujesz budowle! - wyrzekł poważnie topograf i schwycił za palec.

Szarpnięto go pośpiesznie, a w otworze natychmiast błysnęło czarne roziskrzone oko.

- Widzę, że nie pojedziesz... Dlaczego? Namyśl się. Przydałbyś się nam bardzo... We trzech byłoby raźniej. Gdyby jeden zginął, zostałoby dwóch jeszcze i mogliby dalej prowadzić przerwaną pracę... - mówił smutno doktor.

Brzeski stał z pochyloną głową i nie odpowiadał. Odbywała się w nim głucha wewnętrzna walka. Nęciły go przygody w nieznanych krajach, praca naukowa, mili towarzysze podróży, wesoła włóczęga z miejsca na miejsce w ciągu wielu miesięcy; równocześnie cała jego istota wzdrygała się na myśl o łaskach i usługach pochodzących od barona, bez których obyć by się naówczas nie mógł. Przyjmować je było nad jego siły. Milczał więc.

- Daj mu pokój, doktorze! - wyrzekł nagle poważnie topograf. - Gdybym był młodszy i lepszy, też bym nie pojechał. Bądź co bądź, zapraszamy go, aby wysługiwał się Schafskopfom [1], które go chciały powiesić. I w imię czego taka ofiara? W imię czego? Wszystko to psu na budę się nie zdało! Bystre masz oko, młodzieńcze! Jestem z ciebie zadowolony. Od razu dostrzegłeś, że z każdej jaszczurki doktora wygląda... snob, że na każdym moim „rumbie” stoi osieł! Ale co począć, skoro ja nie znam nic oprócz kształtów i wyobrażeń ziemi, a doktor ponad wszystko ukochał rozmaite płazy i gady! Zresztą... *Alles Wurst und Pomade* [2]. Więc pomimo wszystko odwiedź nas, kochanie... Za kilka dni wyjeżdżamy! A teraz gdyby tak herbaczen-ca... A co? Wszak powiedziałem wcale dobrze po chińsku?! Przyznać należy, iż zamieszkałeś daleko, panie Brzeski, i zmachaliśmy się idąc piechotą gruntownie... Nie piechotą gruntownie, ale... idąc gruntownie, to jest po błotnistym gruncie... Doktorze, uważasz: bajeczny kalambur! Muszę go sobie zapisać.

Topograf, gdy wpadł w swój żartobliwy, trochę wymuszony ton, mógł gadać bez końca.

- Bajesz! - wstrzymywał go doktor.

- Zazdrość ci? Niech sobie pobaję. Jedyna w życiu pociecha... - bronił się olbrzym.

Brzeski ruszył ku drzwiom. W samą porę zjawił się w nich „Władca Wrót Zachodnich” i powitał znanych mu z ambasady gości uroczystym:

- *Bo-na jou-ra!*

Za nim wszedł Czżan z imbrykiem i filiżankami na tacy.

- Co za pysz-na sta-ra wiech-cia! *Cin! Cin! Cin!* [3] - witał się uprzejmie ze sługusem topograf, potrząsając mu przed nosem pięściami.

Kucharz spojrzał nań z uśmiechem, postawił naczynia i wytarł nos palcem.

- A więc niech kolega pamięta, że pojutrze wyjeżdżamy, i niech przybędzie na pożegnalną ucztę wieczorem... Całe ciało dyplomatyczne uczcić nas zamierza i kazało przez ambasadora prosić i pana!... A więc czekamy... Miło nam będzie... - mówił trochę smutno, trochę żartobliwie doktor, gdy w godzinę potem, po spożyciu obowiązkowej herbaty, goście wyruszyli z powrotem do domu.

[1] Schafskopf (niem.) - barania głowa; głupiec.
[2] Alles Wurst und Pomade (niem.) - wszystko jedno.
[3] Cin!, właśc. Cing! (chm.) — proszę, zapraszam.

XIV

Odwiedziny dwóch ubranych w mundury Europejczyków miały przede wszystkim ten skutek, że rozmowy za parawanem stały się cichsze, że zasłony tam zaciągano staranniej, że ręka po imbryk wysuwała się lękliwiej i nikła szybciej.

Na podwórzu co chwila zjawiali się jacyś Chińczycy dla długich tajemnych narad z Czżanem. Niektórzy usiłowali nawet wedrzeć się do mieszkania, ale Wań ich nie wpuścił.

- Niech łaskawy zamorski pan przebaczy głupotę ciemnym ubogim sąsiadom, którzy nie posiadają nic prócz ciekawości... Minie czas i zapomnienie wszystko pokryje! Zapomnienie kryje i cnotę, i występek, i sławę, i miłość, i gniew... Zapomnienie podarunek bogów. Gdyby nie zapomnienie, świat pełen byłby smutków! - pouczał poważnie Siań-szen swego posmutniałego ucznia.

- Ale rozumie przecie mój dobry zamorski pan, że ciemnych Chińczyków musi dziwić, dlaczego on wdział brzydki strój krajowy i uczy się trudnego chińskiego języka... Nawet ja, jego nauczyciel, nie wiem przecie tego...

- Jak to, Siań-szen?! Mówiłem wszakże, że udaję się do plantacji i fabryki herbaty mego wuja w In-kou... Dlatego uczę się po chińsku...

- Ta-ak! Więc to istotnie prawda? Myślałem, że łaskawy pan tylko tak sobie odpowiedział, aby uspokoić trwożne serce swego Siań-szena, ale że w rzeczywistości jest urzędnikiem albo wojskowym...

- Ależ nie!... Zostanę kupcem lub przemysłowcem!

- Cóż, i to niezgorzej! Można zarobić dużo pieniędzy!... - odpowiedział protekcjonalnie Chińczyk i podniósł dumnie głowę w swej urzędniczej czapeczce.

Zamyślony Brzeski nie zauważył tego i nie zrozumiał na razie, do czego stosują się uwagi nauczyciela, ale uśmiechnął się, wdzięczny za jego życzliwość.

- Czy Ma-czży nie mógłby mię zaprowadzić jutro do katolickiej misji? - zapytał niespodzianie.

- Do misji katolickiej?! Tak daleko?... W takie błoto?!... Widzę, że pilny mój uczeń ważny musi mieć interes. Czy uczeń odebrał list z domu? - zapytał Wań przebiegle, a gdy Brzeski nic nie odrzekł, dodał ostrożnie: - Nie radziłbym obecnie daleko od domu odchodzić!... Ma-czży zajęty.

- Pójdę sam!...

Wań podniósł do góry rękę i brwi i już nie przeczył.

Propozycja barona wytrąciła Brzeskiego z równowagi. Opadły go wątpliwości różnorakie, myśli, pragnienia i różnorodne przeciwieństwa, z których sam nie był w stanie wybrnąć. Uczuł gwałtowną potrzebę pogadania o swych walkach z kimkolwiek i przypomniał sobie księdza Płońskiego.

Zastał go z książką w ręku w głębi misyjnego ogrodu.

Ksiądz przywitał go uprzejmie, radośnie prawie, i wypytywał pieczołowicie o szczegóły z życia. Brzeski odpowiadał z roztargnieniem i zerkał niespokojnie na budynek misji.

- Widziałeś ojca Paola?

- Nie!...

- To może pójdziemy przywitać się?!

- Nie, ojcze... Chciałem prosić przede wszystkim... Czy nie poszlibyśmy przejść się na mury miejskie?! Nie byłem jeszcze — dodał kiwając głową w stronę ciemnej ściany zębatej, widocznej za siatką ogołoconych z liści drzew.

- Ależ owszem! To moja ulubiona przechadzka!

Wejście na mury okazało się w pobliżu i wkrótce ksiądz z młodym swym gościem, poprzedzani przez Ma-czżego, szli środkiem powietrznej, szerokiej na kilkanaście łokci ulicy.

Gwar miejski tu nie dochodził, uroczystą ciszę naruszał tylko wiatr szeleszczący trawami, wyrastającymi ze szczelin pomiędzy głazami. Stada siwych gołębi długo biegły przed idącymi, nim wystraszone zrywały się i nikły z obu stron za niską balustradą, gdzie w głębokiej przepaści rozlewało się szerokie morze różnokolorowych, fantastycznie połamanych dachów. Ich żółta, purpurowa, sina, niebieska, zielona polewa, obmyta przez niedawne deszcze, lśniła obecnie w słońcu jak szmaty barwnej, srebrnej albo złotej lamy, wetkanej w brunatne tło bezlistnych, zimowych ogrodów. Chmury, przesuwając się między słońcem a miastem, rzucały w przelocie na ten dachów kobierzec delikatne cienie, a stada gołębi kołowały nad nim niby roje drobnych motyli. Z błękitnego szlaku mgły na skraju horyzontu strzelały w górę podobne do perłowych obłoków gmachy i rogate wieżyce świątyń Nieba i Ziemi.

Z przestworza dolatał chwilami dziwnie melodyjny świegot.

- To flety przywiązane do skrzydeł gołębich... Prawda, jakie to podobne do śpiewu naszych skowronków?

- W Mongolii też są skowronki... - wyrzekł Brzeski poważnie.

Ksiądz Płoński uśmiechnął się.

- Zdawało mi się, żeś mi chciał coś powiedzieć, mój synu?.

- Tak, proszę księdza. Nie mam się kogo poradzić. Ale opowiem chyba od początku? A może to będzie za długo? za... nudno? Może ksiądz czasu nie ma?

- Mów, dziecię moje! Jestem przecie z powołania doradcą i powiernikiem.

Brzeski spojrzał w młodą twarz księdza, z której biły jednak już przeżyte bóle wielkie. Głos kapłana brzmiał cicho i łagodnie, i dziwnie serdecznie. Zaczął mu więc młodzieniec opowiadać o matce, o domku na syberyjskim przedmieściu, i Teodorze, o wuju, o swym uniwersyteckim marzeniu, wreszcie o wyjeździe do Chin, o niepowodzeniach wyprawy, o fotografie, o doktorze, topografie, baronie... o sądzie, o ucieczce i uratowaniu wyprawy, i... o ostatniej propozycji barona.

- Odmówiłem. Ale może źle robię? Może nie mam prawa ze względu na matkę... Oni powiadają, że się to już nie powtórzy... że baron pierwszy się zwrócił, więc mi to ujmy nie robi.

Ksiądz patrzył na dachy obcego miasta błyskające w słońcu i słuchał uważnie.

- O jakiej mówisz przyszłości, mój synu? Chcesz więc pojechać z nimi, żeby zostać uczonym badaczem, członkiem ich rozmaitych towarzystw? Czy zrozumiałem cię należycie? O, nie rób tego, synu! Za taką cenę twoja matka nie przyjmie dostatku! To to samo, co samobójstwo!... Gdy zaczniesz pisać inaczej swe rodzinne nazwisko, umrze w tobie cząstka czegoś wielkiego, czego Bóg w nieprzewidzianych swych wyrokach uczynił cię dobrym wcieleniem... Myśl twoja, okuta obcymi dźwiękami, utraci skrzydła. Umrą uczucia oniemiałe, gdyż żyją one jedynie w wyrazach słyszanych w kolebce. Będziesz miał chwile strasznej tęsknoty albo gorzej jeszcze: staniesz się chodzącym grobem człowieka. Dużo mamy takich grobów i wciąż się mnożą. Prawda, że dzieje się im niezgorzej, że mają dostatek, uznanie, wygody, że praca ich jest łatwiejsza. Ale nie wierzę, nie wierzę w owocność pracy odszczepieńców. Synu mój, świat stoi ofiarą! Bóg stworzył ludy dla niewiadomych celów i zechciał, aby każdy przez lud swój służył ludzkości, a siła ludu w sercach jego obywateli. Nie szukaj cudzych progów, cudzych zaszczytów i cudzych bogactw! Zachowaj niepokalanymi cnoty przodków, oczyść z brudów, co się zbrukało w przeszłości, ale nie zamieniaj łachmanów własnych na łachmany cudze. Bądź sobą i nie wstydź się, żeś pozornie bezwładny! Cnotami staraj się górować nad innymi. Bądź czysty, bądź mężny, bądź dobry...

- O tak, ojcze, chcę być dobrym...

- Okoliczności zapędziły cię tutaj. Może z czasem zostaniesz naczelnikiem, dyrektorem fabryki wuja. Nie ciemięż krajowców! Niech imię twoich rodaków łączy się w wyobraźni cudzoziemców zawsze ze szlachetnym i wzniosłym obrazem. Był czas, kiedy tak było. Ale przede wszystkim, skoro tylko będziesz mógł, wracaj do swoich! Tam niwa twoja...

- A?... Aha??! - bąknął Brzeski, ale zmieszany nie skończył pytania.

Po bladych wargach księdza przewinął się smutny uśmiech.

- Domyślam się, o co chcesz się spytać, mój synu. Jam z Poznańskiego. My, duchowni, jesteśmy jak żołnierze. Nie chciałem pomagać niszczyć kwiatów Bożych i znalazłem się... tutaj. Bliżej czy dalej mała różnica, skoro nie wśród swoich. Gorzej, że nie wierzę w nawrócenie Chińczyków. Handel i polityka wykopały niezgłębioną przepaść między tymi duszami a nauką Chrystusa. Nie ma okropniejszej rzeczy nad stosunki, w których słowa miłości stają się narzędziem ucisku i zdzierstwa!

Szli wciąż przed siebie, spędzając po drodze czeredy siwych gołębi. Z małych budek strażniczych, stojących co paręset kroków, wychodzili żołnierze lub ich żony i uczciwszy przechodniów wstrząśnięciem pięści, przyglądali się im długo, uważnie.

Brzeski słyszał, jak szeptali:

- Cudzoziemcy... chrześcijanie... Co oni tu robią!

- Wracaj, chłopcze, wracaj...

- Istotnie, ojcze, wracajmy. Poznali nas i śledzą za nami...

- Nie o tym mówię powrocie. Ale... doprawdy idą za nami. Nigdy mi się to nie zdarzało.

- Tam, bliżej misji są oswojeni. Rozmawiając, zaszliśmy w odległą dzielnicę. Hej, Ma-czży, wracamy... - krzyknął po chińsku.

Chłopak, przewieszony przez balustradę, śledził pilnie, co się dzieje z rzucanymi przezeń kamykami, i nie słyszał wołania.

- Ma-czży... - krzyknął Brzeski raz jeszcze.

- Ma-czży!... - powtórzył uprzejmie idący za nimi żołnierz. - Przyjemną jest przechadzka na murach. Tu cicho i nie ma kurzu! - zwrócił się do Brzeskiego.

- O tak! - potwierdził młodzieniec i dał mu drobną monetę.

Ojciec Paolo przywitał ich na progu misji.

- Słyszałem, słyszałem, młodzieńcze... Winszuję i życzę powodzenia... Jedziesz z baronem?!

- Nie, ojcze, zostaję w Pekinie. Będę się uczył.

- Owszem, owszem... pięknie! Baron podobno daleko się wybiera?! Co? Mówiono mi, że mu polecono szukać drogi dogodnej dla wytknięcia kolei żelaznej, która przejdzie w krótkim czasie przez Tybet i Azję Mniejszą aż do Bosforu. Wspaniały pomysł! Mógłbyś, młodzieńcze, z czasem korzystną przy tej kolei uzyskać posadę, ale skoro przekładasz naukę...

- Nic nie słyszałem o żadnej kolei!

- Pojmuję i pochwalam... dyskrecję. A co to za mały Chińczyk?

- To syn mego gospodarza, Ma-czży...

- Duży już chłopiec. Słyszałem, że Wań ma dzieci, ale mi mówił, że małe... Czy chodzisz, chłopcze, do szkoły? — wypytywał dzieciaka, gładząc go po buzi.

- Chodzę...

- I czego się uczysz?

- Zacząłem „Księgę Trzech Wyrazów [1]".

- Oho! Sprytny, widzę, jesteś chłopaczek! A ojciec twój kiedy w domu bywa?

Ma-czży spojrzał na misjonarza spod oka.

- Ojciec... wciąż... pisze! - odrzekł z niechęcią.

Ojciec Paolo dał mu cukierek i odesłał do kuchni.

- Idź, idź!... Tam dadzą ci jeść!...

Brzeskiego poprowadził misjonarz do siebie, nawiązując przerwaną o kolei żelaznej

[1] Księga Trzech Wyrazów, czyli Księga trzech hieroglifów (San cy cing; San zi jing) -pochodzący z XII wieku pierwszy podręcznik, z jakim stykało się dziecko chińskie. Zawierała popularne wyjaśnienia podstawowych zasad moralności konfucjańskiej i głównych wydarzeń historycznych, których trzeba było nauczyć się na pamięć.

rozmowę.

Zauważywszy jednak, że młodzieniec niechętnie mówi o tym przedmiocie, zmienił natychmiast rozmowę.

- Jakże się pan urządził i co pan porabia?... Czy dobrze panu u starego grzesznika Wania?...

- Owszem, dobrze!... Jedynie, że mieszkanie zimne... Będę musiał całkowicie przenieść się do pokoju Siań-szena, co ma swe niedogodności...

- Zapewne. Mieszkać razem z Chińczykami nieprzyjemnie, zbyt są niechlujni...

- Prócz tego tam... kobiety! - wtrącił rumieniąc się Brzeski.

Ojciec Paolo spojrzał nań i zamyślił się. Zamyślił się i Brzeski. Przykro mu było, że Ma-czżego, którego lubił, nie wzięto do pokoi, lecz odesłano do kuchni. Nie śmiał jednak spytać o to.

- A Siań-szen?... Jakże on?... Co porabia?

- Siań-szen wciąż zajęty. Spokojnym i poczciwym wydał mi się człowiekiem...

- Istotnie spokojny on i poczciwy, i nawet... co ważniejsza... pobożny!... Ale ma bardzo wielką wadę: żonę pogankę!

- Jak to pogankę?

- A tak, pogankę, i nic na to poradzić nie można - westchnął misjonarz. - Pochodzi ona ze znakomitej rodziny i Wań boi się jej. W rzeczywistości ona całym domem zarządza. Czyż pan tego nie zauważył? Co chce, robi z Waniem, bałamuci go, a ten osieł słucha jej, wierzy i łże... łże wszystkim i na wszystkie strony... Na przykład wiedziałem, że ma syna i córkę... Córek Chińczycy nie posyłają zwykle do szkoły, uczą w domu, ale chłopca żądałem od dawna, żeby oddał do naszej szkoły misyjnej... Odmawiał stale: mały, zbyt mały... A teraz widzę, co to za „mały”... Chodzi do chińskiej uczelni i już „Księgę Trzech Wyrazów” wbijają mu do głowy... przeklęci poganie!

Brzeski spróbował bronić swego Siań-szena, że chodzić chłopcu do szkoły misyjnej daleko, że Siań-szen biedny i nie ma na odzienie, na strawę dla syna... Ojciec Paolo kiwał znacząco głową:

- Wszystko to prawda, ale poza tym dostrzegam tam i co innego. Twój Siań-szen stary grzesznik. Był on przed laty urzędnikiem, i to dość znacznym; zarządzał miastem powiatowym w Mongolii. Ale brał łapówki, kradł i wygnano go stamtąd. Wrócił do Chin, zamieszkał w stolicy w oczekiwaniu powrotu do łaski i urzędu... Czeka dotychczas... Bez pieniędzy trudno w Chinach o posadę... Tu za te rzeczy trzeba drogo płacić... Tymczasem Wań goły jak szczur... Nędza go żre!... A szkoda, gdyż pobożny i... posłuszny! - dodał w zamyśleniu misjonarz.

Brzeski nie odpowiedział. On nie znał się na tych sprawach i mało go obchodziły. Zrozumiał jedynie, że nawracanie Chińczyków rzecz dla rozmaitych powodów niełatwa.

Późno wieczorem wracali Brzeski z synkiem Wania do domu. Hojnie i uprzejmie podejmowano ich w misji cały czas. Mimo to obu im było jakoś nieswojo i obaj milczeli, rozważając w duszy usłyszane tam zdania.

- Jak myślisz, dobry mój panie: czy ten mnich nie będzie bił mego ojca? - zapytał niespodzianie Ma-czży już u wrót domu.

- Kto?... Ojciec Paolo? Niemądry chłopcze, toć on bardzo miły i dobry... Za cóż miałby was bić?

Ma-czży nie odpowiedział, ale podejrzliwie spojrzał na Europejczyka i czmychnął nosem.

XV

Baron odjeżdżał.

W ambasadzie skorzystano z okazji i urządzono na cześć wyprawy uroczysty obiad pożegnalny.

O wpół do siódmej biesiadnicy obsiedli duży stół podłużny.

Sześć ogromnych bukietów tworzyło pośrodku stołu śliczny przejrzysty żywopłot. Białe kielichy lilii mieszały się tam z płomiennymi językami dziwacznie podartych tulipanów, na wpół rozwiane korony żółtych i pąsowych róż wychylały się z bladych azalii, strzępiaste złocienie i ogromne goździki splatały się w uroczy deseń z drobnolistnym kwiatem pomarańczowym i aksamitnymi ząbkami tuberoz. Dzieliły je nikłe wytryski traw i kłosków, a łączyła żywa zieloność podszycia z paproci i wawrzynu.

Półkola bladoróżowych wstążek, zwisających z trzech wysokich srebrnych kandelabrów, łączyły w jeden rząd kwiaty i światło.

Z obu stron kwiatowej przegrody ciągnęły się szeregi karafek i smukłych amfor o tęczowych błyskach, wznosiły się podstawki z piramidami żółtych, rumianych i fioletowych owoców; wreszcie przed każdym przyborem kupił się tłum różnobarwnych i różnokształtnych kielichów, stały szklanki z wachlarzami serwet, wstawionych w nie jak bukiety.

Obok talerzy, słabo odrzynających się od śnieżnego obrusa połyskiem i nitką złocenia, lśniły się w równych odstępach srebrne sztućce jak kawałki polerowanego lodu. Każdy biesiadnik miał przed sobą ślicznie emaliowaną solniczkę japońską, podobną do liścia, na którym nocą usiadły świetlaki: przed każdym leżała wiązka goździków, tuberoz i bladych bławatków. Pachniało kwiatami i drogim winem. W seledynowej poświacie elektrycznej wysoko podniesionej lampy, kładły się od przedmiotów na stole niepewne drżące cienie, podobne do cieni zimowego dnia. U stropu, powyżej lampy, wisiał nieruchomo wieniec z ogromnych wachlarzy w bambusowych obręczach, powiewnych jak skrzydła bajecznych motyli.

W dole pod nimi, w blaskachześrodkowanego światła, w lekkich, wonnych oparach, unoszących się z roznoszonych półmisków, wianek jasnych kobiet i czarno ubranych panów gwarzył wesoło i brzęczał srebrną zastawą.

Z mocno wyciętych sukien pań wyłaniały, się jak pąki z twardych łodyg okrągłe piersi, ramiona i szyje jak marmur białe, miękkie jak aksamit, ciepłe jak przepojony słońcem owoc brzoskwini. Na różowych twarzach drgały w uśmiechach oczy i usta, podobne do płatków kwietnych, zwilżonych rosą, podczas gdy mężczyźni z poważną elegancją wznosili myślące twarze nad sztywnymi gorsami swych krochmalonych koszul. Gwar rozmów angielskich, francuskich, niemieckich, włoskich krzyżował się w uprzejmej mieszaninie. A z tyłu, poza plecami biesiadników, w głębi pokrytej chłodnym zmierzchem jadalni, snuła się cicho i zręcznie służba chińska w białych ubiorach. A jeszcze dalej spod ścian wyzierały kanciaste pudła ciemnych kredensów, bielały smukłe wazy porcelanowe, błyskały starożytne, dziwaczne, pokręcone brązy chińskie na hebanowych podstawkach; płonęło złoto i purpura jaskrawych malowideł krajowych.

Brzeski siedział obok topografa milczący, chmurny i skubał zawzięcie rąbek obrusa. Na co on tu? Komu potrzebna jego obecność? Zmagał się z własną nieśmiałością, która go drażniła, ale uczucie silniejsze od rozumowania chwytało go za gardło.

Europejski surdut, od którego był odwykł, i fałszywy warkocz zwinięty w krążek na ogolonej głowie, wytrącały go do reszty z równowagi. Dostrzegł kilka spojrzeń ciekawych, rzuconych dyskretnie w jego stronę, i bał się, że lada chwila zwróci się do niego ktokolwiek z szeregiem zapytań w obcym, niezrozumiałym języku. Gdy więc zagadał do niego topograf, chrapliwy bas poczciwca wydał mu się anielską muzyką.

- Chmurzysz się, chłopcze!... Taki odważny, a boisz się ludzi jedynie dlatego, że są

lepiej od ciebie ubrani!... Wstydź się! Spójrz na nich śmiało jak w stepie!... Bierz za miarę serce, ono wszystkich równa. A najlepiej pluń jak ja, gdyż nic na to nie poradzisz. Pokochaj jakiś hieroglif chiński, jak ja pokochałem ziemi wypukłości...

Brzeski nie wiedział, czy śmiać się, czy gniewać.

- Pan bo zawsze... - zaczął z wyrzutem.

- Zdrowie twoje! Pij!... - przerwał już swoim głosem topograf. Warteś zbawienia. Dzięki tobie w łeb wzięły „prawa stepowe" i czeka nas świetna mapa. „Sas" skapcaniał zupełnie. Doktorowi pozwolił zabrać górę bibuły i morze spirytusu. O ile go nie wypijemy, dostanie się wszystkim zwierzętom, po parze każdego posadzimy do słoja, jak Noe w arce... Pij, chłopcze, nie żałuj: wino poselskie. Zamiast żeby je wypił jaki... ornament, niech je lepiej wypiją ludzie. Zdrowie twoje! Zostań, o ile się da, takim, jakim jesteś, i módl się czasem za moją duszę, Chiny badaj... do gruntu. Wiedzie ci się. Widziałem ślicznego buziaka w oknie twego gospodarza. Ale nie daj się uwikłać... Wracaj... - gadał stary włóczęga z tkliwością.

- O, wrócę! Stanowczo wrócę!... Wiem, co pan chce powiedzieć: przez lud swój dla ludzkości! - żywo wstawił Brzeski.

- Co? Dla ludzkości?! Ach, nie! To jakaś głęboka filozofia! Nie mój towar. Wracaj, gdyż... podłe tu życie! W sekrecie ci powiem, że choćby ci się działo jak najlepiej, tęsknić będziesz, jak pewien twój znajomy a umierając żałować będziesz, że nie własnym żyłeś życiem. Był pies, łapał pies, zdechł pies, nie ma psa... Na domiar... o zgrozo!... szelmy Azjaci... nie myją się nigdy i źle życzą... nieprzyjaciołom swoim! Każdy potrzebuje co najmniej łut mydła i funt cnoty. Ze względu na ogromną ich liczbę utworzy to wcale pokaźną sumę... Dostawców aż nadto! Gotowi by dołączyć wiele innych rzeczy, ale... *keine Civilisation und...* [1] wcale wdzięczności! Zostaw to innym. Wszystko proch marny i w proch się obróci. Pamiętasz tego Mongoła w piaskach z wyszczerzonymi zębami? Wszyscy pomrzemy... Więc pijmy tymczasem wino poselskie, abyśmy mieli co w łzy zamienić... Krokodyle gody w Kanie Galilejskiej!... Rozchmurz, chłopcze, buzię, pij i gadaj... o sobie!

Brzeski poweselał i rozczulił się. Poczuł gwałtowną potrzebę wyrażenia życzliwości, popieszczenia choćby słowami tego ogromnego, steranego, samotnego mężczyzny.

- Może już nigdy nie... - bąknął wzruszony.

- O sobie, o sobie, kawalerze... - przerwał wesoło topograf.

Brzeski uśmiechnął się, wypił kielich wina i zaczął opowiadać o swym gospodarzu, o Ma-czżym, o Czżanie z wiecznie brudnym nosem, o głosach za parawanem i pykaniu fajeczki.

Topograf słuchał uważnie.

- Źle! - rzekł wreszcie.

- Co złego? - przestraszył się Brzeski.

- Nic nie mówisz o... dziewczynie!

- Nic nie mówię, bo nic nie wiem. Nie widziałem jej!

Zarumienił się wszakże pod wzrokiem topografa jak wiśnia. Szczęściem, zaczęto wstawać od stołu. W zamęcie zawładnęły topografem jakieś panie, które jednocześnie okazały ochotę i na Brzeskiego. Przez chwilę groziło mu niebezpieczeństwo, że stanie się „punktem ciążenia" poselskiego obiadu, mnogie pary ciekawych oczu zwróciły się ku niemu, ale zdążył wymknąć się w porę.

Wywołał doktora i topografa do przedsionka, uściskał ich serdecznie za szyję i ruszył do domu kryjąc łzy.

Towarzyszył mu sługa Chińczyk z latarnią. Miasto spało już, pogrążone w wilgoci i mroku. Woda chlupała idącym pod nogami, lgnęli w błocie co krok, choć doświadczony przewodnik pilnował ścieżki, umiejętnie wyszukując jej przy mdłym świetle latarni, wśród

[1] Keine Civilisation und... (niem.) - brak cywilizacji i ... (przyp. aut.).

czarnych jak atrament kałuż. Szli jeden za drugim, przesuwając się ostrożnie pod ścianami wzdłuż zamkniętych sklepów i opuszczonych straganów. Czasami nad głowami ich w błędnych promieniach latarni zaiskrzył się złocony szyld lub wypłynął z mroku czerwony znak handlowy.

Czasami mignęła gdzieś żółta gwiazda latarki spóźnionego jak oni przechodnia. W miarowych przerwach głucho klekotały w oddali drewniane gongi stróżów nocnych. Czym kierował się sługa Chińczyk w wyborze drogi, Brzeski nie wiedział, gdyż z wyjątkiem niewyraźnych czarnych plam budowli i jaśniejszego od nich zachmurzonego nieba, oko jego nic nie rozróżniało przed sobą.

Nagle przewodnik zatrzymał się, podniósł latarkę do góry i krzyknął. Przed nim stała mara, kościotrup ubrany w pęki słomy, zwisającej od szyi wzdłuż ciała jak strzecha.

Nim Brzeski zdołał mu się przyjrzeć, wysunął się z ciemności drugi kościotrup zupełnie nagi i uchwycił we wstrętne swe piszczele węzełek z jego europejskim ubraniem, po czym obaj znikli.

- Żebracy... pewnie trędowaci! - szepnął z przerażeniem Chińczyk. - A co? mówiłem, że lepiej nie chodzić po nocy! Doprawdy, nie wiem, jak wrócę do domu!

- Zanocujesz u nas. Trędowaci?... To tu są trędowaci? - spytał z odrazą Brzeski.

- A są. Tylko im nie wolno wchodzić do miasta. Mieszkają na cmentarzach. Dobrze, że nie poznali cię, że nie spostrzegli, żeś cudzoziemiec, bo jeszcze by nas wysmarowali swym gnojem. Myślą, że w ten sposób oddadzą swą chorobę innym, daleko...

Nazajutrz dowiedział się Brzeski, że w czasie jego nieobecności był u Wania ojciec Paolo. Wań ze skromnie zesznurowanymi ustami pisał skwapliwie przy swoim stoliczku; za to za parawanem dzień cały rozbrzmiewały mamrotania i przekleństwa. Długa zgrabna rączka nie ukazała się już wcale, gdyż parawany przesunięto w ten sposób, że można było przejść do płyty kuchennej nie ukazując się zupełnie oczom siedzących przy stole.

XVI

Deszcz i mokre śniegi z porywczymi wiatrami zrobiły swoje. Dach w mieszkaniu Brzeskiego zaczął gęsto przeciekać, rozmokły papier w oknie też w wielu miejscach popękał. „Władca Wrót Zachodnich” nie myślał wcale o reparacji.

- O, w naszym mieście w zimie bywa zimno! — przytakiwał, gdy lokator skarżył się mu na chłód i wilgoć po nocach. - Cóż dopiero musi się dziać w waszych północnych krajach?

Na opowieści Brzeskiego o urządzeniu i ogrzewaniu mieszkań europejskich odpowiadał stale z wyszukaną grzecznością:

- Wysoki umysł zamorskich ludzi umie zapobiegać nieszczęściu!

Ale ani o piecyku, ani nawet o fajerce już nie wspomniał. Gdy wreszcie doprowadzony do ostateczności Brzeski powiedział mu stanowczo, że nie myśli dłużej mieszkać w mokrej i zimnej dziurze, i zażądał od niego, aby poszedł zobaczyć, co się tam dzieje, Wań wszedł do mieszkania, pokiwał głową, jak gdyby ujrzał rzecz zupełnie niespodziewaną, i zaproponował młodzieńcowi, żeby... tymczasowo, nim poprawią dach i postawią... fajerkę, przeniósł się do nich... do kuchni.

Chłopiec już dawno wpadł był na ten pomysł i nie podał go sam jedynie ze względu na podejrzliwość Chińczyka. Nie chciał zmieniać nauczyciela i wątpił, czy znajdzie innego, który by z wykształceniem chińskim łączył pewną znajomość języków i obyczajów europejskich. Niezwłocznie więc przeniósł swe łóżko i umieścił w kącie względnie najsuchszym i najcieplejszym, niedaleko pieca. Lepszy znajdował się chyba za parawanem, dokąd odprowadzała ciepło duża rura gliniana.

Brzeski był ciekawy, co poczną teraz kobiety; przypuszczał, że nareszcie pani i panna Wań będą zmuszone ukazać się jego oczom; ale one nie ukazywały się i tylko parawan, przesunięty jeszcze dalej ku środkowi pokoju, ogarnął pół pieca i połowę drzwi. I nic nie zmieniło się w obcowaniu z nim krajowców, prócz tego chyba, że obecnie wciąż miał uszy pełne chińskiego gwaru, że nie miał się gdzie przed nim schować. Robił więc szybkie w języku postępy, tym bardziej że Wań mniej pisał, a więcej mu czasu poświęcał.

Za parawanem rozlegały się te same szmery, ostrożne kroki, brzęk naczyń, śmiech tłumiony, furkot wrzeciona, opryskliwe wykrzykniki, łagodne odpowiedzi i ciche pykanie fajeczki, a niekiedy tajemnicze narady z Czżanem w nieobecności Wania.

- Co to jest kucharzu? Dlaczego tak mało grochu? Mięsa wcale nie widać? Przecie pieniędzy dałem ci tyle, co zawsze?... — gniewał się na Czżana „Władca Wrót Zachodnich” wobec niezwykle skąpego obiadu.

- Grochu kupiłem na miarę dosyć, ale... szelma sklepikarz namoczył go wodą. Okazał się napęczniały - tłumaczył się Czżan.

- Dlaczego kucharz kupił? Czy kucharz nie ma oczu?...

- Ogromnie wszystko podrożało na rynku. Przyjechał pewnie do dworu jaki znakomity wasal i wielka jego świta wykupiła produkty.

- Proszę kucharza, żeby nie kupował nic tam, gdzie kupują znakomitości.

- Zgoda! — odpowiadał pokornie sługa.

Ale po niejakim czasie rozmiary obiadów znowu stopniowo malały.

- Cóż to? Znowu jaki znakomity wasal?...

Czżan bezradnie wznosił ramiona.

- Co wy ze mną wyrabiacie?! — krzyczał Wań. — Nowy Rok nadchodzi, roboty coraz mniej, żadnych oszczędności, pieniądze płyną jak woda. I nic nie ma, nic w domu nie ma! Jak u najbiedniejszego tragarza!

- Przestań, gdyż od tak wielkiej liczby słów w głowie mi się mąci! - . odpowiadała mu chrapliwie zza parawanu pani Wań.

- Okradacie mię do spółki z tym starym diabłem, którego, widzę, będę zmuszony wypędzić.

- Okradacie?... O dolo moja!... O nieszczęście mojego życia!... Czyż nie jestem panią, córką wysokiego rodu? Czyż bracia moi nie bywali gubernatorami? Niewdzięczniku, czy bez ich pomocy zostałbyś, czym byłeś?... Już zapomniałeś! Przecież w nadziei, że siostrę ich a matkę twego syna otoczysz należytym dostatkiem, wyrobili ci miejsce w Mongolii. A teraz!... „Okradacie!” Kogo okradamy? Okradłeś mię z młodości, z wdzięków! Wszak nie ja, lecz ty byłeś wypędzony ze służby za bezmierny rabunek. Ściągnąłeś podejrzenie na moich braci i zmuszasz teraz siostrę ich żyć w nędzy, odmawiasz jej wszystkiego! Nie mam męża, nie mam dzieci, inaczej nie cierpiałabym tak strasznie... Oni znaleźliby możność ulżenia swej starej matce oraz żonie z wysokiego rodu!... O, nie, ja nie mogę znieść tego dłużej i gotowa jestem na tysiąc śmierci wszelkiego rodzaju!

Po tej groźbie Wań milkł zwykle i zwracał się do Brzeskiego z żałosnym uśmiechem:

- *Fem-me... viei-lle... méch-an-te...* [1] - mruczał mocno schińszczoną francuszczyzną, a najczęściej wynosił się niezwłocznie za drzwi.

Ale kiedy w domu dawał się czuć znaczniejszy przypływ pieniędzy, słodki dym opium rozpływał się w. miarowych odstępach po mieszkaniu i następowały okresy błogiego spokoju. Wtedy „Władca Wrót Zachodnich” brał wieczorami książkę z półki i czytał przy świetle nafcianej lampy Brzeskiego opowieść o przygodach „bohaterskiego studenta Tie Czżun-ju i pięknej, wiernej Szuj Pin-siń”.

Mały Ma-czży opierał się łokciami na stole i nie spuszczał z ojca rozgorzałych oczu;

[1] Fem-me... viei-lle... (zniekszt. franc.) - Kobieta... stara... zła...

stary Czżan przysiadał na piętach pod ścianą, skąd robił niekiedy cnotliwe, pełne zdrowego rozsądku uwagi, wreszcie parawany odsuwały się nieco i do jednostajnego furkotu wrzeciona przyłączały się niekiedy tłumione wykrzykniki zachwytu lub oburzenia kobiet.

Koło Bożego Narodzenia Brzeski odebrał list od matki.

Synu mój, dziecko ukochane! — pisała staruszka. - Jakże strasznie daleko odbiegłeś ode mnie! Co porabiasz i gdzie się obracasz? Co za męka tak długo nic nie wiedzieć o tobie! Wyglądam listu jak zbawienia a skoro przyjdzie, to zawsze taki króciuchny, i tak mało piszesz o sobie. Pisz wszystko, mój gołąbku, mój sokole...

Spłakałam się, kiedym przeczytała, że musiałeś przebrać się za poganina i nawet warkocz przyczepić. Jakże łatwo w takim kraju duszę zgubić! Podkrada się to jak złodziej. Z początku czujemy wstręt do obcych obyczajów, potem wszystko nam jedno, a wreszcie sami ich nabywamy. Czy aby, synu, modlisz się choć raz na dzień? Pisałeś, że nauczyciel twój jest chrześcijaninem, ale wyznaję, że nie wierzę w chrześcijaństwo człowieka, który nosi kobiecy ubiór i zaplata warkocze. Nic mi też nie piszesz, czy ma córkę i jaką ma żonę: stara czy młoda, brzydka czy ładna?...

Drogie dziecko, wróć czysty, nieskalany. Modlę się zawsze o to do Pana Boga. Chwilami czuję straszny żal do wuja, że taki projekt dla Ciebie obmyślił. Wracaj, ach, wracaj, wracaj, jak można najprędzej. Już ja myślałam nad tym, co ci ksiądz Płoński powiedział, i umyśliłam, że po przyjeździe do kraju kupimy gdzie pod miastem kawałek ziemi i uwijemy gniazdko już na stałe. Ożenisz się i będą wnuki moje małymi nóżkami wydeptywać dróżki w sadzie, jak ty wydeptywałeś w tym ogródku, który teraz uprawiam. Teodor pije i za mieszkanie nie płaci, ale poczciwy jak zawsze...

List był długi, pełen szczegółów, wzruszył i rozmarzył Brzeskiego. Miał ochotę pobiec z nim do księdza Płońskiego, ale musiałby zmarnować dzień cały, więc odłożył do świąt. Uczył się pilnie po chińsku - po angielsku - studiował dzieła o Chinach, o ich handlu i uprawie herbaty.

Czas ubiegał jednostajnie, cicho, ale chyżo. W domu Wania oswojono się z nim z wolna; zza parawanu znowu migać zaczęły ręce i nawet głowy kobiece.

Zbliżał się Nowy Rok, największe z chińskich świąt narodowych. Przygotowywano się do niego i w domu Wania. W wigilię pierwszego nowiu pierwszego zimowego miesiąca wymieciono starannie izbę, starto wszędzie kurz i wszystko pięknie ubrano żywymi kwiatami; sam gospodarz przyniósł ich z targu cały kosz. Na ołtarzu przodków umieszczono w wazach pęki róż, kamelii i rozkwitłych gałązek kwiatu pomarańczowego, dostarczanych do stolicy z odległego Południa.

Wśród bukietów stanęły półmiski z owocami i jadłem ofiarnym, kolorowe świece z drzewnego wosku i duże pachnące trociczki. Całą noc płonął ogień w kuchni i syczał tłuszcz, w którym smażono placuszki, mięsiwo rozmaite, ryby i warzywa; kobiety nie kładły się spać wcale. Dzień świąteczny rozpoczął się odczytaniem kilku ustępów z księgi familijnej Waniów, spaleniem kadzideł i świec ofiarnych oraz długich, złoconych papierków z rysunkami różnych przedmiotów. Na ową chwilę parawan się rozsunął i w przejściu stanęły kobiety. Brzeski słyszał ich ruchy i szepty, ale w czasie obrzędu nie śmiał się obejrzeć, a gdy to później uczynił, one już znikły.

Dzień był śliczny. Słońce złotą falą zalewało papierowe okno mieszkania. Spadły śnieg potęgował blask słońca.

Po obiedzie mężczyźni nałożyli na uszy futrzane futerały i wyszli na miasto. Ma-czży, rozumie się, towarzyszył ojcu. Na ozdobionych flagami ulicach roiły się tłumy ludzi; płynęły one przeważnie w jednym kierunku niby skłębione potoki niebieskiego nankinu, unosząc na swej powierzchni tysiące uśmiechniętych, wrzeszczących głów, czerwonych wachlarzy,

pstrych parasoli, dziwacznych kolorowych latarni i znaków. Głosy dzwonów i głębokie dźwięki olbrzymich gongów miedzianych głusząc wrzawę ludzką płynęły górą ponad miastem, gdzie wiał lekki wietrzyk, gdzie trzepotały się niezliczone chorągwie i przelewał się blask słońca.

Brzeski utonął z towarzyszami w tym tłumie. Rozweselił się i ze szczerą przyjemnością uczestniczył w procesji „Wielkiego Smoka Powodzenia", tańczył, śmiał się, krzyczał na równi z innymi i potrząsał girlandami kwiatów, które kazano mu trzymać. Wieczór spędzili w teatrze, gdzie dziwadła „Ziemi, Wody i Nieba" przeszły przed nimi w przedziwnym korowodzie. Gdy wracali do domu o północy, ulice oświetlone latarniami i buchającymi w rozmaitych miejscach bengalskimi ogniami, pełne kołyszących się chorągwi i festonów, wyglądały jak bajeczne szpalery z ogromnych płomienistych kwiatów, miotanych wiatrem. Co chwila tryskały nad tłumem i ginęły wśród gwiazd sypiące iskry rakiety, a pod nogami co krok pękały hałaśliwe petardy.

Śmiech, wrzawa, śpiew, głośna muzyka nie milkły noc całą.

Przez ten czas pani Wań wraz z córką przyjmowały odwiedziny przyjaciółek i krewniaczek. Zjedzono góry słodkich ciastek, konfitur, cukierków i wypito niezliczoną moc filiżanek herbaty.

Brzeski poczuł, że nigdy jeszcze nie zlał się do tego stopnia z otoczeniem, jak w czasie tych uroczystości. I to, co uważał za śmieszne i niemądre w zwyczajach Chińczyków, wydało mu się właściwym i poetycznym.

XVII

Wkrótce po świętach odwiedził ich ojciec Paolo.

Przybył znużony i przemokły na ulewnym deszczu.

- Pogańska pogoda! A przecie, gdy wyszedłem, było ładnie... Gdzie Wań? - spytał rozglądając się po mieszkaniu i siadając ciężko na krześle.

- Nie ma go; wyszedł na miasto od samego rana.

- Hm! A często tak wychodzi?

- Wychodzi. Obecnie często. Przedtem pisał.

- Pan, widzę, mieszka razem z nimi w tym samym pokoju? I od dawna? Czy tu panu wygodnie? - zwrócił się do Brzeskiego.

- W moim pokoju dach zacieka...

- To co innego! Aa... to co? ... Jakże pan znosi te ich... obrządki? - kiwnął głową w stronę ołtarza przodków. - Jak pan czas spędza?... Co pan robił w święta? Dlaczego nie byliście z gospodarzem w kościele?

Brzeski zmieszał się. Nie przyszło mu to do głowy, ale czuł, że i matka zadałaby mu to samo pytanie, i było mu przykro.

- Daleko... - próbował tłumaczyć się.

- Daleko?!... Do Pana Boga daleko?! *Sapristi!* [1] - krzyknął Włoch błyskając oczyma. - Myślałem, że mi pomożesz w nawróceniu tych pogan, że kiedy zamieszkasz u nich, pociągniesz ich swoim przykładem, ale widzę, że sam jesteś jednym z nowoczesnych bałwochwalców i może nawet nie modlisz się co dzień...

Zła francuszczyzna ojca Paola, którą Brzeski ledwie na wpół rozumiał, bardzo osłabiła siłę jego przemowy. Ale pytanie z listu matki: „czy aby modli się choć raz na dzień?", powtórzone przez misjonarza, wzruszyło chłopca. Wierzył w Boga, kochał słodki obraz Chrystusa,

[1] Sapristi! (franc.) - Do licha!

ale nigdy nie był nabożnym. W domu spełniał wzorowo praktyki religijne przez miłość dla matki; po wyjeździe... modlił się istotnie raz tylko: w ową noc pamiętną... wśród piasków Mongolii. Nie czuł potrzeby modlitwy, a modlitwę ustami uważał za uwłaczającą pojęciu Przedwiecznego.

Dzięki listowi matki może udałoby się ojcu Paolemu nawrócić go do przyzwyczajeń dzieciństwa, gdyby zakonnik nie był oszołomił od razu młodego grzesznika zbyt szczegółowym opisem rozmaitych pułapek, stawianych przez diabła duszom niewinnym oraz nie znużył go wyliczaniem malowniczych, ale przykrych okoliczności, towarzyszących pobytowi w piekle potępieńców.

- Czy ksiądz Płoński już wyjechał? - przerwał porywczo młodzieniec długie włosko-francuskie kazanie.

- Czy wyjechał?!... - odpowiedział mnich, zdumiony niespodziewanym pytaniem. - Widzę, że nie mam tu co robić. Niech Wań przyjdzie do mnie w tych dniach!... - dodał, pożegnał się głośno i wyszedł.

Brzeski chciał go zatrzymać, ale nim znalazł odpowiedni wyraz, już sandały misjonarza dudniły po kamiennych płytach podwórka.

- Poszedł... Skrzyczał go i poszedł... Bardzo machał rękoma... Okropny bonz!... [1] - szeptano za parawanem.

Brzeski był szczerze zmartwiony wypadkiem. Po wyjeździe topografa, doktora i księdza Płońskiego nieporozumienie z ojcem Paolem zrywało ostatnią nić żywszą, łączącą go z kolonią europejską. Postanowił pójść razem z Waniem i księdza przeprosić.

- Co się stało? Co się stało? Co za wielka nieprzyjemność? - pytał zaniepokojony opowiadaniem żony i córki „Władca Wrót Zachodnich”.

- Nic się nie stało. Ojciec Pa chce się z Siań-szenem zobaczyć.

Wań uderzył się rękoma po biodrach i znikł za parawanem, gdzie półgłosem jął coś żonie wyrzucać. Rozmowa skończyła się kłótnią.

- Choć jesteś stary, ale pod wpływem zabobonu Je-su stajesz się zupełnym bydlęciem. Zapominasz o czci dla przodków, przeszłości i pochodzenia. Któż będzie modlił się za nas i czcił nasze imię rodowe, jeżeli jedynego syna naszego uczynisz takim niedowiarkiem, jakim sam jesteś?... Jeżeli chcesz koniecznie ginąć bez śladu, to giń sobie, ale ja... Czyż nie z wysokiego wziąłeś mię rodu? Czyż bracia moi nie byli gubernatorami?! Chcesz, abym udała się do tego katolickiego mnicha i pogadała z nim sama? Mówisz, że on tego żąda!... Śmiesz przypuszczać, że ja, wnuczka człowieka, który własnym kosztem wybudował most na rzece Chuan-cho, będę rozmawiała z obcym mężczyzną?! Potworze!... Zostałam wychowana według starych, zacnych prawideł i nie złamię ich, nie!... A ty, ty!... Nie tylko nie dostarczasz mi należnych żonie wygód, ale lżysz i chcesz pozbawić nawet mą duszę opieki i modlitw syna... Nie... Wolę ponieść wszystkie rodzaje śmierci, niźli oddać dziecko do przeklętej ich szkoły!... Patrzysz z zimną krwią, jak straszna choroba żre me stare ciało i kości... Wiesz, że mała fajeczka opium może mi ulżyć, ale skąpisz mi jej, wykręcasz się od tego wydatku pod rozmaitymi pozorami...

- Nie mów tego: wcale ci nie żałuję, to nieprawda!... Ale czasami, sama wiesz, że po prostu nie ma co włożyć do garnka... A przecież musimy karmić i cudzoziemca, a on daje na to pieniądze!...

Aha! Mówiłam!... Wszystkich ci żal, dla wszystkich jesteś dobry i wyrozumiały oprócz twojej starej żony i matki twoich dzieci!... Nic z tego!... Nie oddam jedynego mego syna do przeklętej katolickiej szkoły... Nie chcę zgubić ani swojej, ani jego duszy!... Dość już, dość tego, że Lień ma ma przez nich duże nogi!... Powiedz im, powiedz, że powinni ci dać za to wiele, bardzo wiele pieniędzy. Dziewczyna wygląda jak poczwara i za mąż nie wyjdzie!...

[1] Bonz, bonza (z jap.) - mnich; europejskie określenie mnicha buddyjskiego.

Słyszysz? Tyś ją zmarnował! Teraz chcesz sprzedać syna! Nie, nic z tego! Raczej zniosę wszystkie rodzaje śmierci, albo zaniosę niezwłocznie skargę przed Czży-fuego [1]! - krzyczała Chań-Wań.

„Władca Wrót Zachodnich” cofnął się zwyciężony zza parawanu. Minę miał bardzo smętną.

Kilka dni pilnie pracował, a w przerwach rozmyślał. Wreszcie zwrócił się do Brzeskiego i lękliwie spoglądając na parawan opowiedział mu o swych kłopotach.

- Taka jest sprawa! Święty ojciec z misji nie chce mi więcej dawać roboty, że ja jestem zły, że ja chłopca nie posyłam do ich dobrej szkoły... Ja chcę, ale moja stara baba nie chce... Ona mówi, że będzie skarżyć się do sędziego Czży-fu... wtedy będzie wielki skandal, zupełnie stracę zarobek, we wszystkich biurach odmówią mi pisania!... Co będzie?... Będzie wielka bieda!... A ja mówię, że my oba - moja i twoja razem - pójdziemy do świętego ojca i powiemy, że chłopaczek Ma-czży słaby, że do szkoły daleko, że ty będziesz go, dobry panie, uczył w domu... Wtedy wszystko będzie dobrze, będzie cała zgoda!... Czy dobrze powiedział stary osieł Wań?... Co?!

Brzeski pomyślał i zgodził się.

Nazajutrz Brzeski z odświętnie ubranym Siań-szenem udali się do misji. Chińczyk chciał widocznie uniknąć otwartego zerwania ze swymi katolickimi przyjaciółmi.

Pogoda sprzyjała im. Wrzawa tysiącznych głosów i roje ruchliwych przechodniów wypełniały ulice. Ludzie korzystali z przerwy w słocie, aby załatwić swe sprawy; szli, biegli wśród tłumów wrzaskliwych przekupniów, mijali się, jechali konno, na osłach lub rozpierali się w lektykach, niesionych przez czeredy półnagich, wykrzykujących jękliwie tragarzy.

Ryczały wielbłądy, przybyłe z dalekich stepów, krocząc niezręcznie po miejskim błocie; woźnice klęli i kłócili się z sobą. Na moście sparło się wszystko: olbrzymi bawół wprzężony do wozu padł pośrodku i ruszyć się nie chciał. Siań-szen z Brzeskim nie mogli się przedrzeć przez ciżbę, stanęli w środku i czekali cierpliwie, aż się ruszą przednie szeregi. Wtem rozległy się dzikie okrzyki i zaczęto ich od mostu silnie naciskać. Zamęt rósł i zbliżał się. Wkrótce dostrzegli pośrodku ulicy kawalkadę Europejczyków, która biła niemiłosiernie tłum szpicrutami i parła go bez ceremonii końmi.

Brzeskiemu zapłonęły oczy. Skończyłoby się jednak na oburzeniu, gdyby Anglik nie najechał był osłem na stojącego przed nim starca i nie uderzył go laską w zęby. Krew popłynęła z rozciętych warg Chińczyka, którego całą winą było, że się nie dość pośpiesznie usunął. Brzeski schwycił osła za uzdę i w tej chwili dostał sam kijem przez głowę. Wtedy stracił przytomność i tak silnie pociągnął Anglika za nogę, że ten spadł z siodła. Wszczął się zamęt, motłoch zaczął bić obu zapaśników, aż rozpędzili go europejscy jeźdźcy i uzbrojeni w bambusy policjanci. Zbrukanych i pokrwawionych winowajców zaprowadzono do ambasady.

XVIII

Kochany wuju!

Stała się nieprzewidziana historia. Anglik uderzył mię w głowę, a ja ściągnąłem go z siodła. Ambasador, choć przyznał mi w zasadzie słuszność, ale robił wymówki, że postąpiłem nieoględnie, że wywołałem międzynarodowy zatarg i że pewnie będzie zmuszony wydalić mię z miasta. Dzienniki angielskie i niemieckie rozgłaszają, że jestem ajentem, najętym przez inne mocarstwo dla podburzania przeciw nim chińskiego pospólstwa. Tego przecież znieść nie mogę i proszę wuja, żeby mi pozwolił natychmiast opuścić miasto. Umiem już tyle po chińsku,

[1] Czży-fu, właśc. czyfu (chiń.) naczelnik okręgu.

że mogę się niezgorzej rozmówić. Zresztą mój Szań-szen zgadza się jechać ze mną, jeżeli wuj raczy mu obiecać miejsce w swej fabryce. On stracił wskutek tej historii zarobek w poselstwach, gdzie przepisywał papiery chińskie. Ojciec Paolo też odmówił mu pomocy. Kiedym go prosił, powiedział, że mają dosyć na swej pieczy biedaków chrześcijan, a mój Siań-szen ani do kościoła nie chodzi, ani syna do szkoły nie posyła. W bardzo ciężkim więc znalazł się mój Siań-szen położeniu. Jest on biedny, ale cnotliwy i bardzo sprytny. Doskonale zna życie swoich Chińczyków. Doprawdy wuj będzie zadowolony, jeżeli zgodzi się go przyjąć. Ponieważ on wpadł w kłopot z mojej przyczyny, więc ja mu dam na drogę z moich oszczędności i przejazd nic firmę kosztować nie będzie. Starczy nam; myśmy już to wszystko razem obliczyli. Niech kochany wuj odpowie, jak można najprędzej, na przykład telegraficznie, bo jeżeli mię wcześniej z miasta wypędzą, doprawdy nie będę wiedział, co z sobą robić... Niech wuj mi przebaczy, że tyle mu sprawiam kłopotu. Ale niech sam wuj pomyśli, czy mogłem Anglikowi nie oddać... Wiem, że wuj pragnie mojego szczęścia, i postaram się za to wszystko wujowi odsłużyć.

Kochający Jan Brzeski

Po wyprawieniu tego listu młodzieniec uspokoił się trochę. Życie znów poszło swoim trybem. Przybyły tylko wieczorem gawędy o przyszłej podróży i przyszłym pobycie na dalekim Południu.

Kupimy wóz kryty, dwa muły uprzężne i jednego muła pod wierzch dla wielce szanownego I.

- Ja bym też pojechał konno — wtrącił Ma-czży.

- Nie przeszkadzaj, za mały jesteś, pojedziesz w budzie z matką i Lień... Wzdłuż Kanału Wielkiego [1] dostaniemy się w miesiąc do Czen-czian [*]...

- Zamiast bić powietrze, postarałbyś się, stary, lepiej o robotę... - mruczała za parawanem Chań-Wań.

- W In-kou poszukamy na mieszkanie domku z ogródkiem, gdzie będziemy mogli hodować własne kwiaty... Ze sprzedaży kwiatów też można mieć dochody... Lień miałaby zajęcie...

Za parawanem cicho, lękliwie wzdychano.

- Fu.

- Głupia, prędzej zginiemy od tysiąca śmierci... Nie wzdychaj i nie zawracaj sobie głowy... Słyszana rzecz, aby obcy barbarzyńca uczynił co kiedy dla Chińczyka... Trzeba nieroztropności twego ojca, aby oddawać się wspaniałym marzeniom, kiedy zostawioną bez należnych wygód żonę trapią czarne myśli...

Następowała zwykle długa litania małżeńskich występków „Władcy Wrót Zachodnich”, która zabijała w obecnych ochotę do wszelkich wywnętrzeń.

Zły humor pani domu stał się zjawiskiem stałym od chwili, gdy oddalono Czżana i Wań sam zaczął co rano chodzić z koszykiem na rynek.

A jednak niekiedy pykała za parawanem fajeczka i trawiona gorączką dusza palaczki uspokajała się na krótko. Brzeski nie mógł zrozumieć, skąd te kobiety dostawały pieniądze, aż spostrzegł, że znikały z domu stopniowo drobne przedmioty i że obiad malał do komicznych rozmiarów, gdy Wań w przyrządzaniu jego nie brał udziału, że właściwie dawano wtedy jeść jedynie jemu i Ma-czży.

Tymczasem Wań przesiadywał w domu coraz krócej.

- Cóż list? - pytał zwykle, wróciwszy z targu.

- Nie ma i nie może przyjść wcześniej niż za dwa miesiące... Bądźcie spokojni, jak tylko przyjdzie, powiem. W każdym razie nie rzucę was w nędzy. Obmyślimy coś razem -

[1] Wielki Kanał (ok. 1500 km długości) łączył w Chinach Wschodnich deltę rzeki Huanghe z deltą rzeki Czangciang (Changjiang) zwanej często poza Chinami rzeką Jangcy.

[2] Czen-czian, właśc. Czangciang Wielki Mur Chiński.

silił się przekonać go Brzeski.

Chińczyk kiwał głową, ale smutniał, lekcje odrabiał pośpiesznie i znikał.

- Żona krzyczy, kiedy jestem... To przeszkadza w pracy memu Wysoce Pilnemu Uczniowi... - mówił z lękliwym uśmiechem, gdy spotykali się z Brzeskim za drzwiami.

Żona istotnie nie krzyczała, gdy go nie było, ale natomiast mieszkanie ogałacała z wolna z potrzebnych nawet sprzętów. Dopiero gdy zginęły znaczniejsze przedmioty, imbryk miedziany i waza porcelanowa z ołtarza przodków, Wań zrobił awanturę i obsypał córkę wymówkami, że pomaga matce. Chań-Wań, pogrążona naówczas w błogim półśnie, mruczała niewyraźnie. „Władca Wrót Zachodnich” mógł więc do woli się wyburzyć, gdyż ciche szlochanie córki nie stanowiło uniesieniom jego wielkiej przeszkody.

- Listu nie ma i roboty nie ma!... - zwrócił się żałośnie do Brzeskiego, jakby tłumacząc swoje uniesienie.

- Jutro pójdę do ojca Paolo... - odpowiedział ten.

- Idź!... Ja już tam byłem... On nic nie da!... - westchnął Wań.

Nazajutrz Brzeski poszedł sam do misji.

- A! Witam!... Bardzo proszę!... Dawnośmy się nie widzieli!... grzecznie zapraszał misjonarz młodzieńca.

Trochę zdziwiony Brzeski skromnie wyłuszczył swą prośbę. W miarę jak mówił, dobrodusznie uśmiechnięta twarz kapłana zasępiła się.

- Trudno!... Myślałem już o tym... Wań przychodził już sam... Ale nic zrobić nie mogę.

- Dlaczego! Oni są bardzo biedni.

- Wiem. Są biedni, gdyż uporczywie przebywają w grzechach.

- Lecz dzieci... Cóż winne dzieci?

- Właśnie, właśnie!... Nie tylko, że sami uchylają się od spełniania obowiązków religijnych, lecz i dzieci niewinne gubią, nie posyłają ich do szkoły, do kościoła...

- Słabi są, daleko...

- Już to słyszałem. Do Boga zawsze daleko, a do ambasady albo teatru, wreszcie do domu gry blisko... Już ja wiem coś niecoś... Mamy swoich biedaków, dobrych, prawowiernych chrześcijan... Nie możemy pozbawiać ich chleba dla pogan!... Proponowałem Waniowi, aby oddał syna i nawet córkę do naszego przytułku, miałyby co jeść i Boga blisko. Ale uparł się... Tymczasem... miejsce w przytułku jest, a roboty nie ma... Niech mu to pan jeszcze raz powtórzy!

- Stanowczo więc nie ma nadziei!

- Stanowczo. Żadnej a żadnej, gołąbku mój... Nie mogę... gdyż inaczej zginęlibyśmy, poganie by nas zjedli...

Brzeski zwiesił głowę. Wkrótce odszedł, choć ojciec Paolo zatrzymywał go uprzejmie na wieczerzę.

List nie przychodził.

Brzeski ze wzrastającym niepokojem śledził przebieg domowego nieszczęścia. Z bólem przysłuchiwał się tajemniczym za parawanem naradom, gniewnemu syczeniu starej, nieśmiałym uwagom córki, wreszcie przekleństwom, groźbom i rozkazom, po których zwykle dziewczyna wychodziła z węzełkiem za drzwi. Nikt tego nie widział prócz niego i one wkrótce przestały się go wstydzić i kryć przed nim, pewne, że ich nie zdradzi. Chłopak czuł głęboką litość dla młodej Chinki. Wań coraz mniej zwracał uwagi na to, co się w domu działo. Wracał późno, a z rana, jeżeli nie miał nic do pisania, uciekał niezwłocznie. Czasem też sam zabierał jakiś przedmiot i już go nie przynosił...

- Graj, graj!... Może przegrasz syna, córkę i mnie komu, kto lepiej nas uszanuje!... Nic już w domu nie zostało! - krzyczała nieraz stara spostrzegłszy przez okno, że rzecz jaką wynosi.

Ale wszystko ma swój kres. W mieszkaniu zostały tylko stoły, ławki, parawan, kocioł

wmurowany w kuchni, ołtarz przodków i... rzeczy Brzeskiego.

Był pogodny wiosenny dzień. Słońce zalewało światłem ogołoconą ze sprzętów brudną ruderę; ciepły wiatr przenikał do niej przez dziury podartego papieru w oknie i przynosił z dala spotężniały gwar miejski i świeże, ożywcze podmuchy budzącej się przyrody. Brzeski był sam, Ma-czży dzień cały spędzał w szkole, a Wań wyszedł jak zwykle. Chłopak nie mógł czytać, wiosenne powiewy wzburzyły go, wsparł głowę na ręku i zatopiony w marzeniach zapomniał prawie, gdzie się znajduje, nie słyszał za sobą szeptów, przechodzących w gwałtowną sprzeczkę. Ocucił go łoskot porywczo odsuniętego parawanu. Obrócił się. W przejściu stała młoda Chinka z opuszczoną głową. Pierś jej wznosiła się gwałtownie pod niebieską, w dwa półkola od szyi zbiegającą suknią. Zgrabne ręce zwisały wzdłuż ciała. Opuszczone rzęsy, gęste i wygięte, rzucały długie cienie na śniade pobladłe policzki; usta świeże, delikatne jak rzut pędzlem umoczonym w karminie, drgały.

- Ruszaj... Idź natychmiast!... Bliżej!... - syczała poza nią stara kobieta, popychając ją z lekka.

Była niższa od córki; miała przysadzisty korpus, długie ręce wychudłe, żółtą twarz kościstą i pomarszczoną, oświeconą parą mętnych, zaropiałych oczu. Wpiła się krzywymi palcami w ramię córki, podobna do wstrętnego pająka, który schwytał i dręczy motyla.

- Bliżej!... Proś, ukłoń się, niech da!... Oni bogaci, ci barbarzyńcy. Proś!...

Brzeski milczał zdumiony.

- Co to jest? Czego chcecie? - spytał wreszcie, gdy gwałtowniej pchnięta dziewczyna postąpiła krok ku niemu.

- Pieniędzy... Srebra... Otwórz oczy, cudzoziemcze... Przypatrz się dobrze, do czego jestem podobna!... Tyle dni już nie paliłam! Daj choć na jedną fajeczkę... Nie paliłam tyle czasu... Umrę... Głowa płonie... Pękają kości... Serce skacze we wnętrznościach... Daj, o daj choć kilka sapeków [1]...

Brzeski drżącą ręką wyjął z woreczka srebrnego dolara i położył go na stole. Oczy starej zabłysły, pchnęła córkę po pieniądze, a gdy ta schwyciła się za parawan i nie ruszyła z miejsca, sama, kulejąc na swych okaleczonych nóżkach, podeszła do stołu.

- Dzieci winny troszczyć się o starych rodziców. Tego chce Niebo i żądają prawa. Tzitzin nakarmił własnym ciałem chorą matkę. Chciałam obronić od obmowy ludzkiej me dzieci... Posłałam wbrew obyczajom córkę... tylko tak sobie... aby wypróbować wspaniałomyślność twoją, cudzoziemcze!... Lień! On dobry! poznaję z oczu jego. On wszystkim nam dobrze życzy. Cudzoziemiec sam poczuł litość dla biednej starej kobiety, tylko nie wiedział, co jej trzeba... Ty, Lień, jako młoda łatwiej mu mogłaś wytłumaczyć. Młody łatwiej zrozumie młodego!... Chodź już i zasuń parawan, bo cię jeszcze kto zobaczy...

Brzeski spojrzał mimo woli na dziewczynę i ta jednocześnie podniosła powieki.

Fala krwi spłynęła jej z czoła na twarz, szyję i dalej na piersi.

Chłopak zmieszał się i głowę opuścił.

Od tej pory regularnie co jakiś czas powtarzały się napaści na woreczek Brzeskiego. Dawał choć miał wyrzuty sumienia.

- Opium trucizna!... Źle robię dostarczając nań pieniądze... On pani szkodzi! - próbował się bronić.

- On szkodzi tym, co używają go za dużo, ale ja mam go tyle co nic. Starczy ledwie na uśmierzenie pierwszych boleści. Dlaczego bogaty Zamorski Pan troszczy się o los ubogiej kobiety ze Środkowego Państwa [2]? On odjedzie i wyrzuci Czarnogłowych [3] ludzi z pamięci jak spalony popiół z fajki. Nie proszę przecie darmo! Dzieci oddadzą za mnie... Mam syna... I Lień też gotowa oddać, jeżeli tylko zechcesz!... Dobre dzieci chińskie same sprzedają się w

[1] Sapek - zachodnioeuropejska nazwa dawnych miedziaków chińskich.
[2] Środkowe Państwo, czyli Państwo Środka (Czungkuo; Zhongguo) - Chiny.
[3] Czarnogłowi - chińskie pogardliwe określenie pospólstwa.

niewolę, aby zabezpieczyć życie i wygody rodziców... Tak napisano w starych księgach. Czy nieprawda, Lień?... Powiedz, że czytałaś... Twoje pieniądze, cudzoziemcze, nie przepadną!... A skoro mi dużo ich dasz, sprzedam ci tę brzydką dziewczynę za niewolnicę!... Nie, to nie! Po cóż się gniewasz?! Mogę ją sprzedać komu innemu, a tobie oddam pieniądze. Każdy ją kupi; ona zręczna, usłużna, umie rysować, haftować, prać po europejsku bieliznę, gotować chińskie i europejskie potrawy... Jest cicha, skromna, posłuszna... Kupi ją chętnie i Europejczyk... Namyśl się więc... O! po cóż gniewasz się zaraz, Wielki Zamorski Człowieku!... Nie chcesz?... Zgoda!... Widzę, że masz dosyć, nawet bardzo dużo wspaniałomyślności i przezorności oraz że doskonale znasz świat... Daj więc srebrną monetę, którą doliczę do dawnego długu... Masz pewny zastaw: słowo kochającej matki! Włos jej z głowy nie spadnie bez twego pozwolenia... Jesteś jej panem! - dodawała pośpiesznie, dostrzegając zmarszczkę na czole Brzeskiego.

Brzeski nie śmiał odmawiać w obawie, że istotnie stara spełni swą groźbę i sprzeda cichą i piękną córkę jakiemu złośliwemu Chińczykowi, który będzie ją dręczył i pracą przeciążał. Stara w lot to zrozumiała. Ilekroć zamierzała go o pieniądze prosić, podsuwała mu zawczasu córkę, posyłała ją po to lub owo do ogólnego pokoju lub odsuwała parawan tak, aby młodzieniec mógł widzieć dziewczynę, aby obudzić w nim litość, jak to robią żebracy.

Czy Wań wiedział o tym, Brzeski nie mógł odgadnąć. Kobiety kryły się przed panem domu i zmuszały Brzeskiego do podzielania swej tajemnicy. Raz tylko stary Chińczyk zapytał go z drwiącą miną:

- Aj, aj! Nie starczy, myślę, pieniędzy memu Pilnemu Uczniowi. Listu nie ma i nie ma! A co będzie, jeżeli wcale nie przyjdzie?!...

- Przyjść musi, ale co przyniesie... nie wiem! - odpowiedział szczerze chłopak.

Sam niepokoił się, gdyż oszczędności jego topniały, i rozumiał, że jeżeli wyjazd pójdzie w odwlokę, to mu istotnie nie starczy na drogę pieniędzy. Zmniejszył datki starej Chań-Wań; nie pokazywała mu czas jakiś córki, a gdy to nie pomogło, zaczęła mruczeć coś o grubym sklepikarzu i lżyć Lień szkaradnie. Chłopak przestraszył się.

- Zrobi jeszcze w obłędzie jaką rzecz, której potem strasznie będzie żałowała! - powiedział sobie i dał jej kilka sapeków.

Wreszcie list przyszedł. Ma-czży, który spotkał posłańca na drodze do szkoły, wrócił wołając:

- Idzie!... Jest!... Biały i duży, zupełnie jak żałobne ogłoszenie!

Wkrótce ukazał się posłaniec z ambasady z kopertą w podniesionej ręce; towarzyszyło mu kilku sąsiadów i gapiów ulicznych. Wszedł i ostentacyjnie list Brzeskiemu podał. Wuj krótko telegrafował.

Zgoda. Siań-szen potem. Jedź parostatkiem. Pisałem dyrektorowi. Pieniądze bankier Baj-suń-tzie, ulica Stu Wnuków. Anglika należało. Błogosławię. Śnietycki

Chociaż wuj bardzo niewyraźnie odpowiedział względem Siań-szena, ale nie mogłem zostawić go na ofiarę nędzy. Nawet byłem obowiązany zatroszczyć się, gdyż długo łudziłem go obietnicą i dlatego nie szukał roboty. Zresztą nie będzie to kosztowało drogo. Podróż pocztą do morza i parostatkiem pochłonęłaby znacznie więcej pieniędzy. Staram się wszystko robić praktycznie, wszystko zapisuję i liczę. Nie mam wprawdzie dotychczas oszczędności, co mię bardzo boli, gdyż nic mamuni nie mogę posłać, ale za to poznam w podróży spory kawał Chin, co też w przyszłości przedstawia znaczny kapitał. Gdyby Siań-szen nie mógł znaleźć zaraz po przyjeździe do In-kou zajęcia, to mu dopomogę. Czy dobrze, mamusiu? Odpłaci mi nauką. Oni mnie przygarnęli jak swojego i są mi tu ze wszystkich najżyczliwsi. O lepszego nauczyciela trudno! Jedziemy więc w piątkę: ja, Siań-szen, pani Wań, panna Wań i Ma-czży... - pisał Brzeski do matki w wigilię odjazdu.

XIX

Kupili starożytny wehikuł, budę na ogromnych nabitych gwoździami kołach, obszyli ją matami z bambusowego włókna, nabyli trzy muły, część meczy sprzedali, część naładowali na wóz i ruszyli na południe ku słońcu i rozkwitającej wiośnie.

Droga roiła się od podróżnych, jeźdźców, piechurów, tragarzy. Co krok spotykali przekupniów z owocami, z jadłem, z napojami, piekarzy z ciastami na tacach, chłopów z włoszczyzną, mięsem, żywym drobiem. Całe karawany osłów i mułów, objuczonych górami siana, drzewa, mąki lub towarów, szły wolnym miarowym krokiem. W miarę jak posuwali się w głąb kraju na południe i zachód, ruch wzrastał. Droga wyglądała jak ulica, a okolice jak ogrody. Łagodnie sfalowane pola zieleniły się odcieniami zbóż i jarzyn. Osypane kwieciem drzewa owocowe bielały wśród nich niby zapomniane przez słońce krzewy w sadzi zimowej. Winnice pięły się po stokach. Kuliste krzaki herbaciane opasywały wzgórki foremnymi rzędami. W dole ciemne trzciny cukrowe rosły ścianą wzdłuż kanałów; palmy i bambusy powiewały swym powietrznym uliścieniem. Wszędzie szumiała woda. Blade jej lustra przeświecały spod jasnej runi młodych pól ryżowych, srebrne jej żyłki połyskiwały wśród warzywnych zagonów, szerokie migotliwe obręcze opasywały wyniosłości. Biegła ze wzgórka na wzgórek wysoko nad dolinami w kamiennych korytach, na sklepionych arkadach. Wszędzie błyskała, perliła się, lała kaskadami, kapała ognistymi kroplami. Razem z nią mienił się tęczowo cały krajobraz niby obrzucony siatką z drogich kamieni i metalu.

Tu i ówdzie na krawędziach jarów machały szarymi skrzydłami wiatraki do czerpania wody [1].

W ogrodach, otoczonych kamiennymi murami, niby w gniazdach z kwiatów i drzew kędzierzawych, kryły się białe fanzy.

Podróżnicy poruszali się wolno. Ruszali przed świtem; za to długo wypoczywali we dnie, unikając południowej spiekoty. Mijali liczne wsie, mijali handlowe, brudne, hałaśliwe miasta, mijali miasta klasztorne lub urzędnicze - ciche, czyste, bogate, gdzie piętrzyły się wysokie domy o ciężkich rzeźbionych dachach, gdzie z ocienionych starymi drzewami ulic szerokie kamienne schody wiodły do malowanych bram. Wybierali na noclegi oberże ustronne, gdzie gwar przejezdnych nie przeszkadzał wypoczynkowi. Kobiety spały zwykle w budzie, zasunąwszy firanki, mężczyźni albo pod wozem, albo koło mułów w najemnych stancyjkach przy stajni.

Podróż bardzo zbliżyła Brzeskiego z rodziną Wania. Kobiety przestały się go wystrzegać, nie unikały z nim rozmów i w jego obecności swobodnie odkrywały twarze. „Władca Wrót Zachodnich” zdawał się z tym godzić zupełnie.

Pani Wań, odświeżona ruchem na otwartym powietrzu, mniej paliła opium i kłóciła się rzadziej.

XX

Fabryka towarzystwa „Śnietycki i Spółka” leżała już poza murami handlowego In-konu, w miejscu, gdzie przerzedzone budowle północnego przedmieścia ginęły w gęstwinach ogrodów. Otoczona białym kamiennym ogrodzeniem, ponad którym wystawały spiczaste karbowane dachy szop, żelazne rury kominów i upstrzony mnóstwem okien główny korpus fabryczny, pozbawiona w murze wszelkich okien i mająca jedynie pośrodku dużą bramę okutą,

[1] Chodzi o koła wodne służące do nawadniania pól, poruszane siłą mięśni ludzkich.

wyglądała jak pilnie strzeżona twierdza warowna. Poza nią wznosił się dość wysoki pagórek uwieńczony rdzawą skałą, a pokratkowany na stokach równiuchno rzędami niewysokich szarych krzewów herbacianych. Plantacje herbaciane ciągnęły się i dalej na północ, po pochyłości, aż do jaru, skąd wystawały kędzierzawe wierzchołki ciemnozielonych drzew i złocone dachy buddyjskiego klasztoru. W stronie przeciwnej, na południu, czerniła mglista plama ogromnego In-kou, zamkniętego niby w pudle bez wieka w kwadracie wysokich zębatych murów. Potężna rzeka sunęła środkiem doliny niby olbrzymi srebrnołuski wąż. Wokoło zamykały widnokrąg wzgórza o łagodnie załamanych liniach, usiane na zboczach białymi domkami, pomalowane plamami pól jasnych i ciemnych sadów.

Brzeski zapukał do furtki fabrycznej.

- Gdzie dyrektor? - spytał stróża Chińczyka.

Ten przyjrzał mu się uważnie i wskazał prawy pawilon.

Młodzieniec przeszedł dziedziniec wyłożony kamiennymi płytami i wstąpił po szerokich jak podmurowanie schodach na werandę, ocienioną wspartym na filarach okapem. W oszklonej chińskim obyczajem ścianie było przebitych drzwi kilkoro. Zatrzymał się nie wiedząc, do których wejść. Wreszcie usłyszał głosy i klamkę nacisnął.

Znalazł się w obszernej, chłodnej sali, przedzielonej w poprzek drewnianą galeryjką. Przy biurkach siedzieli urzędnicy z piórami w rękach.

- Pan dyrektor?...

Na dźwięk mowy europejskiej wszyscy podnieśli głowy i spojrzeli nań ze zdziwieniem.

- Co pan sobie życzy?

- Mam interes osobisty.

- A może pan jest panem Brzeskim? - spytał wysoki szpakowaty jegomość z kozią bródką.

- Właśnie.

Zmierzył młodzieńca chłodnymi szarymi oczyma i rzekł niedbale:

- Z werandy drzwi na prawo.

Brzeski wyszedł uderzony niemile jego obejściem. Nim jednak zdążył rozważyć, co by ono miało znaczyć, znalazł się wobec wskazanych drzwi i wszedł do wytwornie umeblowanego salonu. Oddał bilet wizytowy służącemu i czekał stojąc nieśmiało pośrodku.

Po chwili ukazał się niewysoki barczysty mężczyzna z piegowatą twarzą i rudą, krótko przystrzyżoną brodą. Ukośne niebieskie oczy biegały mu niespokojnie pod ściągniętymi brwiami; niepozorną bródkę szczypał porywczo.

- Aha, to pan! Przyjechałeś nareszcie... Proszę siadać, proszę wypocząć bez ceremonii. My, Europejczycy, otoczeni barbarzyńcami, żyjemy tu wszyscy jak bracia. Co tak długo pana widać nie było?

- Przyjechałem lądem...

- Lądem?! Sam?... I nie bał się pan?... Aha, rozumiem, chciał pan użyć oryginalnych i niezwykłych wrażeń... Wspaniale! Pięć tysięcy kilometrów w lektyce! Ale to musiało szalenie drogo pana kosztować. Zresztą rozumiem, rozumiem: wuj nie szczędzi pewnie wydatków, skoro chodzi...

- Ależ nie! Wybrałem ten sposób podróży właśnie dla jego taniości. Odbyłem ją zupełnie bezpiecznie wozem z rodziną mego Siań-szena...

- To i on przyjechał?

Wyraz uprzejmości znikł z twarzy dyrektora.

- Pisał mi wprawdzie pan Śnietycki o nim, ale... Dla pana miejsce znaleźć się musi... ale... W ogóle miejsc wolnych nie mamy!

Brzeski przebierał niespokojnie palcami.

- W ogóle... zaprowadzenie zmian w personelu... z daleka jest rzeczą ze wszech miar niedogodną... Pisałem właśnie o tym do pana Śnietyckiego.

- Więc i na przyszłość nie ma nadziei?

- No, no, tego nie mówię. Może w zimie, przy fabrykacji herbaty cegiełkowej. Zobaczymy. Teraz nie ma ani miejsc, ani czas nieodpowiedni na takie sprawy! Głównie czas: koniec sezonu. Dla pana z trudnością wyspekulowałem pokoik. Mały, ale da się urządzić, tylko, ot, mebli...

Brzeski milczał chwilkę.

- Dziękuję, ale zamieszkam pewnie z moim nauczycielem...

- Co? Z Chińczykami zamieszka pan?... Żartuje pan sobie?!

- Mieszkałem z nimi rok prawie.

- Aha! Czy wygodnie panu? Czy on żonaty, ten pański Siań-szen? Czy ma stopień naukowy?

- Był urzędnikiem. Żonaty, ma córkę dorosłą i syna.

Hm! Syna, pan powiada, i córkę, dorosłą. Czy pan zawsze tak chodzi?...

Kiwnął głową na ubiór Brzeskiego.

- Zawsze. To znacznie taniej kosztuje i dogodnie.

- Więc dla taniości! Dobrze! doskonale! Niech pan przyjdzie jutro z rana o godzinie ósmej do biura. Zapoznam pana z przyszłymi towarzyszami i wskażę zajęcie. A teraz niech pan po podróży wypocznie. Tylko proszę nie spóźniać się, bo ja tego nie lubię. Gdzie pan mieszka?

- W In-kou, w oberży!...

- Tak, tak... to trochę daleko.

Dyrektor wstał i skinął głową z miną zwierzchnika, uspokoił się zupełnie i niebieskie jego oczy patrzały już nieruchomo i surowo spod wyrównanych brwi.

Gdy Brzeski wszedł do oberży, dowiedział się przede wszystkim od posługacza, że Siań-szen jeszcze nie wrócił z wycieczki do miasta. Pani Wań zdążyła już jednak wypalić swoją fajeczkę i mruczała uprzejmie z błyszczącymi jak węgle oczyma:

- Piękne miasto... przyjemne miasto... można dostać wszystkiego...

A Ma-czży opowiadał:

- Jest rzeka. Na rzece pływają duże i małe statki z wielkimi oczyma. Oczy malowane różnymi kolorami, a boki i ogony jak u ryb, ale dobrze widzą, bo gęsto płyną, a żadna nie zawadzi. Cały czas, kiedy stałem we wrotach, wciąż płynęły. Teraz wierzę, że one rodzą się z gór u źródeł rzeki. Niech Lień powie czy nieprawda? Ona też przyglądała się.

- Po co chodziłaś? Ani mi się waż! Oka spuścić z nich niepodobna. Nieznośne dzieci! - skarżyła się matka.

- Spuściłaś, mamusiu, oko, bo właśnie spałaś. A przechodzień jeden powiedział tymczasem Lień: „Oto piękna dziewczyna, pocałowałbym ją chętnie..."

- Ma-czży! To nieprawda! Nikt nic nie mówił! Nie słyszałam! - krzyknęła dziewczyna.

- A mówił... mówił!... Dobrze ci tak: nie pokazuj twarzy! - upierał się chłopak.

Lień, cała w pąsach, spojrzała spod oka na Brzeskiego. Ale ten roztargniony nie uważał, czy nie słyszał sprzeczki. Za to Chań-Wań napadła na córkę w cnotliwym oburzeniu.

- Widzę, dziecię moje, że będę zmuszona ostro wziąć się do ciebie. W drodze straciłaś resztę skromności. Zachowujesz się jak tragarz. Nie przystało dobrze wychowanej panience wyglądać na ulicę. A powodem wszystkiego - twoje duże nogi. Wiedzieli starożytni mędrcowie, dlaczego potrzeba bandażować stopy małym dziewczętom, dlaczego kobieta z nogami jak „złote lilie" więcej warta niż kobieta z gęsimi łapami. Na „złotych liliach" nie można chodzić ani prędko, ani daleko... Kobieta ze zdrowymi nogami nie siedzi w domu. Ty również zbyt szybko się poruszasz. Zbyt śmiało chodzisz. Aby żyć z ludźmi w zgodzie, trzeba szanować obyczaje...

Westchnęła i sięgnęła po nową kulkę opium.

Wań wrócił późno wieczorem. Brzeski opowiedział mu o swej wizycie i dodał, że

nazajutrz o ósmej ma stawić się w fabryce dla ostatecznej rozmowy.

- Czy i ja mam pójść? - spytał Wań nie doczekawszy się zaproszenia.

- Nie... nie radzę. To jest, niech Siań-szen poszuka lepiej mieszkania - odrzekł wymijająco młodzieniec. - Mieszkanie trzeba wynająć w pobliżu fabryki. Osobno domek. Pieniądze dam. Niech Siań-szen weźmie 20 liangów [1] na pierwsze wydatki... Trzeba kupić trochę mebli... — mówił pośpiesznie i wtykał Chińczykowi srebrne pieniądze.

Ten przypatrzył mu się uważnie i już o nic nie pytał, ale nazajutrz rano powiedział stanowczo do żony:

- Ich trzeba rozdzielić...

- Kogo?

- Nie udawaj: cudzoziemca i Lień.

- Jestem chora, stroskana ciągłym niedostatkiem i nie mam sił na żadne zmiany.

- A jednak trzeba ich rozdzielić. On umyślnie miejsca mi nie znajdzie, aby trzymać nas w ręku i robić z nami, co mu się spodoba. Udaje przyjaciela. Ale jeszcze się nie urodził taki zamorski diabeł, co by oszukał Chińczyka. Od jutra rozdziel ich i nie pozwalaj im nawet rozmawiać. Niech cudzoziemiec zostanie sam, niech się nudzi, niech tęskni... Zbyt mu dobrze z nami... Pieniądze na opium od jutra będziesz dostawała ode mnie!... — dodał przebiegle.

- A skąd pieniądze?

- W tym moja głowa.

Chań-Wań pomyślała chwilkę i kiwnęła głową na znak zgody. W razie potrzeby wszakże mogła znowu zwrócić się do dawnego źródła, a nawet czerpać jednocześnie z obu.

- Wań się myli. Chań nie jest głupia. Cudzoziemiec był bardzo grzeczny i skromny; nie spuszczałam z nich oka! - dodała znacząco.

- Tym lepiej. Niech się ożeni z Lień. Powiadają, że będzie kiedyś panem fabryki, że będzie bogatym, wtedy będzie nam dobrze jako ojcu i matce jego żony!

XXI

Po długich poszukiwaniach znalazł Wań miluchną willę piętrową w ogrodach klasztornych, odnajmowaną na lato przez mnichów zamożniejszym mieszkańcom In-kou. Właśnie opustoszała z nadejściem jesieni i właściciele chętnie zgodzili się na roczną dzierżawę i potrzebne ku temu przeróbki. Otaczał ją niewysoki mur, przez który przelewały się jak piana zielona gęste zwoje pachnącego wina. Miała głęboką cienistą werandę, a przed nią maluchne, wyłożone piaskowcem podwórko z wazonami wiecznie zielonych kwiatów po rogach. Ogromne, stare drzewa klasztornego parku szumiały z południowej strony tuż nad jej dachem. W dole pluskał strumień mijając omszałe głazy. Od wrót lekki mostek łukowy wiódł przez wodę ku ścieżce, pnącej się wśród krzewów obwieszonych szklanymi dzwonkami, po zboczu urwiska, ku miastu i fabryce. Z jednej strony przez konary i uliścienia drzew błyskały złocone głowice klasztoru, z drugiej ujście jaru otwierało rozległy widok na błękitną rzekę, na kolorowe dachy miasta i mgliste pagórki.

Jedyną wadą domku było nieznośne dzwonienie w świątyni co dzień: rano, w południe i wieczorem.

Brzeski zajął pokoik na górze, dokąd wiodło z werandy osobne wejście po schodach krytych galeryjką. Dom, zbudowany w czysto chińskim stylu, pozwolił rodzinie Wań wrócić do chińskich obyczajów. Brzeski przestał prawie widywać kobiety. Tylko szelest ich sukien i szczebiotliwe ich głosy dobiegały go czasem wskazując, że tam żyją, rozmawiają, bawią się...

[1] Liang - ówczesna podstawowa chińska jednostka monetarna sztuka srebra o wadze ok. 35 gramów.

Było mu coraz nudniej i tęskniej bez gawęd i żartów z Lień, nawet bez gderania starej, do której przyzwyczaił się z wolna. Gdy jednak raz spróbował zawołać na Lień, przechodzącą w głębi domu, obecny Siań-szen zauważył stanowczo:

- Musimy oględniej przestrzegać chińskich prawideł, gdyż żyjemy wśród obcych, którzy nas osądzą z pozorów. Łuk mocno napięty pęka; dziewczyna widziana przez mężczyznę nie znajduje męża.

Brzeski przyznawał słuszność przestrogom, których zresztą nie mógł naruszyć. Nie potrzebował po nic chodzić w głąb domu i nie znał wcale jego wnętrza, oprócz pierwszej sali, gdzie urządzono ołtarz przodków i gdzie jadano w czasie słoty. Spójnia jego z rodziną „Władcy Wrót Zachodnich" zmalała nagle do wspólnych śniadań, obiadów i krótkich lekcji wieczornych. Jedynie świeże kwiaty, zjawiające się niekiedy w jego izdebce, przypominały mu, że tam na dole, w ciemnych alkowach i dusznych korytarzach, żyje pamięć o nim. Dawno już nie czuł się tak osamotnionym.

Stosunki w fabryce układały się dla niego rozpaczliwie. Nie wiedział dlaczego, ale towarzysze innych narodowości stronili odeń i odsuwano go systematycznie od zajęć poważnych. Zamiast do fabryki, naznaczono go do biura, gdzie dano mu do przepisywania jakieś nieciekawe rachunki i rejestra. Nie potrzeba było po to ani przyjeżdżać tak daleko, ani uczyć się po chińsku, ani studiować uczonych ksiąg o uprawie herbaty. Lecz doświadczenia nauczyły Brzeskiego cierpliwości, milczał więc, pełnił swe obowiązki i czekał.

- Och, och!... Znacznie łatwiej być siostrzeńcem bogatego wujaszka niż prowadzić należycie księgi handlowe!... - dokuczał mu przy lada sposobności buchalter z kozią bródką, który go szczególnie nie lubił.

Przyczepiał się do najmniejszego drobiazgu, do niewłaściwie postawionego przecinka, kropki zapomnianej nad literą.

- Kropka i przecinek też mają swoje znaczenie. Źle użyte mogą pozbawić człowieka nie tylko czci, ale i życia nawet...

- Wielka rzecz postawić je, skoro pan zauważył ich brak... Przecie po to przegląda pan moją robotę...

- Proszę mi uwag nie robić. Siedzę tu już dwanaście lat, niejedno krzesło wysiedziałem i wiem, co do mnie należy!... Proszę na przyszłość uważniej przepisywać papiery!...

- Czego on chce ode mnie!?... - skarżył się Brzeski jedynemu towarzyszowi, z którym zaprzyjaźnił się. Był to młody, rumiany, kędzierzawy blondyn, przezywany z francuska Serge.

- Boją się ciebie... Każdy troszczy się o to, żebyś go z miejsca nie wysadził. Więc chcą odwlec, ile się da, twe obeznanie z fabrykacją!

- Skądże takie przypuszczenie?

- Przypuszczenie? Wiem na pewno. Wuja masz w Zarządzie Głównym, do pracy się rwiesz, po chińsku umiesz... Mógłbyś łatwo za parę lat zostać... dyrektorem fabryki. To się innym nie podoba. Sami mają na to ochotę. Obecny dyrektor myśli, że go chcesz wysadzić... A ty pluń!... Przestań pracować, zabiegać... Zacznij hulać, grać w karty jak my... Udawaj, że cię nic nie obchodzi, a po trosze wszystkiego się dowiesz... Niewielka mądrość! Łatwo poznasz wszystko doskonale, wyuczysz się, zbadasz.. A wtedy... wyrzucimy nicponiów, zrobimy porządek i zaczniemy rządzić po swojemu... Rozumiesz? co?!...

Brzeski rozumiał, ale nie zgadzał się z przyjacielem.

- Ja tak nie mogę... Nie mogę... Nie mogę kłamać i udawać... Uważam za poniżenie dla siebie... W dodatku nie znoszę wódki, kart! - mówił z podnieceniem.

- Szkoda. Bez tego tu bardzo nudno. Co zaś do udawania i kłamstwa, ja również ich nie lubię i tak tylko powiedziałem... Ale kontent jestem, żeś się nie zgodził... Jeszcze więcej za to lubić cię będę... Jednak z nimi bez tego trudno dać sobie radę... Ja mogę nie kłamać i nie udawać, bo to dla mnie nie ma znaczenia, nie dbam o nic, nie staram się o nic... Dlatego oni

boją się mnie... Szkoda, żeś się z Chińczykami związał... Stancję ci koło mnie przygotowali. Nie wiem za co, ale polubiłem cię. Z tobą to bym się nie bał pójść do najdzikszej nawet herbaciarni w mieście. Trzepiesz po chińsku jak młyn... Psa zjadłeś!... I z oczu ci patrzy, żeś pewnie śmiały! Rzuć Chińczyków i przenieś się do mnie!

- Nie mogę. Ten Chińczyk z mojej namowy tu przyjechał. Muszę go utrzymywać do czasu.

- Taak! A to trzeba mu znaleźć miejsce. Niech on przyjdzie do mnie, to ja z nim pogadam i nauczę. Tylko już ty go nie proteguj. Nawet niech imienia twego nie wspomina, gdyż wtedy: żegnajcie, nadzieje!

- Czyż tak są na mnie rozżarci?

- Wcale nie, ale... usypka, ususzka i szkody... Nie rozumiesz?! No, to ja ci nie wytłumaczę!... Pożyjesz, zobaczysz!

- Ususzka, usypka... - powtórzył zdziwiony Brzeski, przypominając sobie podobne rubryki w księgach rachunkowych. - Cóż to ma wspólnego z miejscem dla Wania?...

- A to, że miejsce się znajdzie! Wiem nawet, że ono jest na pewno, lecz przyjaciel twój przez te właśnie usypki, ususzki i myszy nie dostanie...

- Nie rozumiem!...

- O głowo kapuściana, jeszcze ci mało?!... Przyjaciel siostrzeńca właściciela fabryki nie może dostać miejsca, skąd łatwo śledzić, czy są... myszy... czy są szkody... Jeszcze nie rozumiesz?... Albo może i w myszy nie wierzysz?... Więc jakże zostaniesz dyrektorem, bo przecież wszyscy o tym wiemy, że wuj pana chce tego?... Tymczasem bez myszy w rachunkach ani rusz... Gdy brak pieniędzy albo towaru, natychmiast: myszy, usypka, ususzka... Nareszcie pewnie zrozumiałeś!... Mają rację, że się ciebie boją... Ty byś swoją uczciwością i ścisłością wszystkich zadręczył...

- Głupstwa gadasz!... Przecież nie wszyscy oszukują i kradną... Przecież ty nie kradniesz...

- Nie kradnę. I dyrektor też pewnie nie kradnie... Ale większość tutaj kradnie, albo przez palce na kradzież innych patrzy... Takie tutaj obyczaje!... Nie przerobisz ich... Trzeba na wiele rzeczy oczy zamykać... Inaczej nie wytrzymasz: zjedzą cię i zrujnują do szczętu... Dobrze, gdy udaje się te kradzieże i nadużycia w pewnej utrzymać granicy!

- Nigdy!... - oburzał się Brzeski.

Długo sprzeczali się przyjaciele i nie mogli zgodzić co lepiej: nie ustępować ani na krok od prawdy i swoich przekonań czy też z wolna zwalczać zło, prostować nieprawdę, wprowadzać w życie czystość, porządek, sprawiedliwość, prawdomówność, szczerość.

- Już dobrze, niech będzie, jak chcesz! Z duszy i serca życzę ci powodzenia! A tymczasem przyślij Chińczyka. Zdaje się, że opróżniło się miejsce nadzorcy nad plantacjami. Albo wiesz co? Sam przyjdę do ciebie, aby się z nim poznać... Czy zgoda? - zakończył Serge.

Brzeski nie wiedział, co powie na gościa Wań, i nie bardzo przyjaciela zapraszał, ale Serge zdawał się tego nie spostrzegać.

- Przyjdę w niedzielę rano, to może potem pójdziesz ze mną do miasta. Są tam rozmaite ciekawe do widzenia rzeczy. Tylko chodzić boimy się, gdyż poznają nas nawet w chińskim przebraniu i... dokuczają. Ty zaś zupełnie jak Chińczyk wyglądasz... Mówiłbyś, a ja bym milczał...

Przyszedł w niedzielę. Zjedli razem obiad, potem spacerowali po parku klasztornym. Szklane dzwoneczki na krzewach, potrącane wietrzykiem, grały melodyjnie i błyskały jak wpięte w gęstwinę brylanty. Otyli mnisi w żółtych opończach kłaniali im się przy spotkaniu i grzecznie pytali:

- Czy z tęsknotą oczekiwani przez nas goście jedli już swój ryż doskonały?

Brzeski tłumaczył Serge'owi, co mówią, a ten rozbawiony potrząsał uprzejmie przed mnichami pięściami i wołał:

- *Cin! Cin!* powiedz im, Jasiu, żeśmy jedli ryż, i gniazda jaskółcze, i pijawki suszone, i szarańczę z miodem, i trzyletnie jajka, i psy, i koty, i wszelkie przysmaki, jakich zapragnie dusza chińska. Żałujemy bardzo, że nie mamy już apetytu i nie możemy zjeść po kawałku pieczonego mnicha! Wiesz, bracie, że wszyscy oni w głębi duszy podejrzewają Europejczyków o ludożerstwo. Doprawdy, nie żartuję.

Brzeski wyliczał, opuszczając żarty towarzysza, a mnisi kiwali poważnie głowami i mówili skromnie:

- Umiarkowany pokarm nie szkodzi cnocie!

- Pyszni, brachu! A patrz, jak się od nas bronią! - krzyknął wskazując Brzeskiemu na szczyt jednej pagody [1], skąd mały, przeraźliwie wykrzywiony diabełek drewniany celował z łuku w stronę kominów fabrycznych.

- To ich feng-szuj [2] wiatr-woda! Czary przeciw naszym czarom! Podoba mi się tu! Cin! Cin! Szkoda, Janku, żeś sam... jak mnich! *Cin! Cin!* - śpiewał Serge melancholijnie. - Nie wytrwasz... Bez tego, bez hulania... nie wytrzymasz! Tęsknica cię pożre! Nieraz taka człeka bierze sztuka, że choć się utop!

- Ale powiedz mi, dlaczego mię nie zapoznałeś z rodziną Wania: z jego żoną i córką?!

- Tego uczynić nie mogę, gdyż jak wiesz, Chinki nie ukazują się obcym mężczyznom...

- A ty?... Widujesz się z nimi przecie? - spytał Serge spoglądając nagle na Brzeskiego. Ten poczerwieniał.

- Nie, nie widuję się!

- Dziwne; Hm, powiedz lepiej otwarcie, że nie chcesz mi ich pokazać... słyszałem, że jesteś u nich jak u siebie.

- Bynajmniej. Dawniej tak było, kiedy mieszkaliśmy w ciasnym mieszkaniu w Pekinie... Teraz nie widuję ich wcale - dodał cicho Brzeski.

- A widzisz: czy nie świnie!? Taka to chińska wdzięczność!... Nie broń ich!... Świnie, wszyscy mówią, że świnie!

- Każdy lud ma swe dziwactwa! - przekładał przyjacielowi Brzeski. - Mają dziwactwa i Polacy, i Anglicy, i Niemcy, i wy.

- Co prawda, to prawda! Mają dziwactwa!... Co kraj, to obyczaj!... My na przykład lubimy pić i dopiero podpiwszy sobie stajemy się wesołymi, rozmownymi, towarzyskimi. A gdy dobrze upijemy się, to zaraz... bitka! „Chinarze” tymczasem nawet trzeźwi bawią się wesoło jak dzieci, a bijatyk między nimi prawie nie bywa!

Cały dzień spędzili przyjaciele razem, rozprawiając o różnych przedmiotach. Było im dobrze obojgu, smutek opuścił na chwilę Brzeskiego, a Serge po raz pierwszy nie zrobił w święto awantury.

W parę dni potem odebrał Brzeski list od matki:

...Co to za kobiety? Nic przedtem nie wspominałeś o nich. Dziecię moje, jakże strasznej nabawiasz mnie trwogi! Trzymaj się z dała od tych cudzoziemek. Nie ma cięższych łańcuchów nad takie związki. Kopią przepaście pomiędzy najbliższymi sobie osobami. Szerzą wokoło cierpienia i lekkomyślność rodziców opłacają nieszczęściem dzieci. Rozpacz mnie ogarnia, gdy myślę, że... ach!... nie mam odwagi napisać. Zaklinam cię na wszystkie świętości, na pamięć ojca — wróć sam...

Brzeski czytał ten list kilka razy, wzruszał ramionami i szepnął:

- Może się mamusia nie obawiać!

[1] Pagoda (z hindu) - wieża; europejskie określenie świątyń i wież w Azji Południowej, Południowo-Wschodniej i Wschodniej.

[2] Feng-szuj, właśc. fengszuej (chiń.) - rodzaj geomancji i radiestezji szeroko niegdyś stosowany w Chinach celem wybrania odpowiedniego miejsca pod dom, grób, także fabrykę itp.; uwzględniał ukształtowanie terenu, kierunki wiatrów i cieków wodnych.

Przez otwarte okno leciały ciepłe zapachy nieznanych kwiatów, na dalekim niebie mrugały obce gwiazdy... Brzeski spojrzał w tę stronę i nagle serce ścisnęła mu straszna tęsknota. Zapragnął z bolesną siłą towarzystwa ludzi dobrych, wykształconych, pokrewnych, zapragnął dźwięków mowy ojczystej, zatęsknił do ojczystych pól, do zimna śniegów zimowych, do całokształtu rodzimego życia, nawet do razowego, czarnego, polskiego chleba, którego tu wcale nie znają.

Tęsknił do tych czasów i miejsc odległych, kiedy wolno mu będzie kochać bez przeszkód, kogo serce wybierze, gdzie będzie mógł puścić korzenie na wieki, zróść się tysiącem włókien z macierzą całością, aby z nią razem pracować i cierpieć...

„Nie to, co tu! Ślęczę nad przyrządzaniem nieciekawej herbaty, co i sami Chińczycy równie dobrze zrobić by mogli!...” - rozmyślał młodzieniec, wspominając swe niemądre rachunki w biurze i cały tłum majstrów i robotników chińskich, codziennie zalewających fabrykę.

XXII

Na pogodnym dotychczas niebie ukazały się nareszcie chmury.

Z początku rozstrzelone, srebrzyste płynęły wysoko, ale wkrótce nadbiegły nieprzejrzane ich wały, ciężkie, szare, i nisko opadły. Gwałtowne wichry spędziły resztki upałów letnich. Zaczęły mżyć deszcze.

Ostatni ładunek herbaty odpłynął w dół rzeki. Ruch na przystani ustał. Po falach wzburzonej wody przesuwały się nieliczne dżonki, ciemne i przemokłe. Ulice wyludniły się, znikły pułki najmitów, umilkły żałosne wołania tragarzy.

Ciężkie wrota fabryczne zawarto.

Życie, niby żar w popiołach ogniska, ukryło się do wiosny w budowlach. W obszernych zabudowaniach fabrycznych zabrzęczały słabe szmery rozpoczętego remontu. Ożyła nieczynna w czasie lata prasownia. W podmurowaniu jej szopy kamiennej krwawo zapałała pośrodku dziedzińca czeluść wielkiego pieca i zamajaczyły przed nią czarne sylwetki robotników. Wewnątrz wrzało jak w ulu. Pozostałe z sezonu odpadki, śmiecie herbaciane, sprzałe, przepalone liście przebiegały przez długi łańcuch rąk zręcznych i niestrudzonych. Okruchy herbaciane przesiewano na ogromnych rzeszotach, mieszano z sadzą w długich zgrzebnych workach, prażono w płóciennych serwetach nad parą kotłów, wreszcie zsypywano do płaskich form, w których ruchome wieka kolejno uderzał tłok prasy. Starożytna ta machina, pamiętająca pewnie pierwszego człowieka Panku [1], trzeszczała, jęczała, hukała niemiłosiernie jak stara, wystraszona baba. Jej ogromna dźwignia, niby ogon lewiatana, to opadała na dół pod ciężarem kilku wieszających się na niej jak małpy robotników, to puszczona przez nich wznosiła się raptownie do góry. Dzięki szalonej sprawności Chińczyków robota szła do taktu nawoływań i pieśni z prawidłowością zegarka. Co minuta rodziła się brunatna cegła herbaty, aby razem z milionami towarzyszek pójść z czasem do odległych koczowników w zamian za srebrne pieniądze, złoty piasek, futra lub piżmo.

Brzeski często odwiedzał pracownie, gwarzył z robotnikami i wkrótce znał wszystkich z imienia, nazwiska, wiedział, skąd są i kogo zostawili w swych wioskach.

- *Cin! Cin*, dobry panie zamorski! — witali go z poufałą wesołością' prostaków.

- Cin! Cin, Czarnogłowi! Co słychać?!

- Pracujemy, śpiewamy i liczymy dni, kiedy znów wrócimy do swoich.

- Wracajcie! Wśród swoich najlepiej!... Czy nieprawda?

[1] Panku - w mitologii chińskiej twórca świata z chaosu.

- *Aj! aj!* Wśród swoich życie płynie jak powietrze!
- Ojczyzna jest jak kielich kwiatu dla motyla!
- Cnoty wyrastają bujnie tylko na zagonie uprawnym przez praojców...
- O! Człowiek wśród obcych jest grajkiem bez fletu...

Powtarzali jeden przez drugiego i wyciągali do niego ręce po dawki tytoniu. Ale był między nimi silny, rześki parobczak Szuń Tzi z prowincji, który nigdy o nic nie prosił, nic nigdy nie mówił, tylko uśmiechał się i kiwał głową na prawo, na lewo, jak porcelanowa figurka. Dziecięce, szeroko otwarte oczy, skromne zachowanie oraz pociągająca, miła twarz chłopaka zwróciły nań uwagę Brzeskiego. Z początku obserwował go z dala;

Chińczyk również nie spuszczał go z oka nęcąc i zaciekawiając dziwnym oczu wyrazem.

- Cóż powiesz, Szuń Tzi? Z czego się śmiejesz? - zagadnął go wreszcie raz Brzeski.

Twarz robotnika w mgnieniu oka spoważniała.

- Szuń Tzi nie śmieje się - wypierał się.
- Jak to? Przecie dopiero co się śmiałeś?!
- Szuń Tzi... nie śmieje się! Szuń-Tzi... się boi! - wyrzekł po chwili wahania.
- Czegóż Szuń Tzi się boi? Czyż zrobiłem mu coś złego?
- *Cza-i!* Nie słuchaj go, zacny panie zamorski. Szuń Tzi niedawno z gór przybył. Szuń Tzi dziki, nie wie, że cudzoziemcy lubią biedaków i dają im zarobek, tytoń, pieniądze, co kto chce... - bronili go towarzysze.

Szuń Tzi patrzał trwożnie i milczał.

Brzeski wrócił zamyślony do kancelarii.

„Co to znaczy? Dlaczego ci ludzie nie wierzą mi?... Dlaczego starają się oszukać mię pochlebstwami?... Przecież nie uczyniłem im nic złego!...” - rozważał zasmucony.

W kancelarii liczono zyski, układano pospiesznie bilans roczny.

Stukały gałki desek rachunkowych, skrzypiały pióra, a w przerwach wybuchały głośne rozmowy i śmiechy, gdyż plon zapowiadał się nadspodziewanie obfity. Co chwila wpadał dyrektor, wydawał rozkazy, sprawdzał roboty lub usiadłszy na poręczy drewnianej bariery, puszczał się w przestworza polityki bieżącej.

- Czas, aby Chiny odzyskały siebie... - prawił dyrektor. - Ten kraj klasycznego zastoju żył przecież, rozwijał się niegdyś, póki bonzowie i mandaryni nie zakuli go w potrójny pierścień nędzy, ciemnoty i fanatyzmu. Obecnie obraca się on w błędnym kole: fanatyczny, gdyż nieoświecony - nieoświecony, ponieważ fanatyczny. Znowu wybuchły zaburzenia w Wań-Wań. Pospólstwo przecięło druty telegraficzne i pobiło telegrafistów, którzy chcieli je zaciągnąć. Na miejsce rozruchów wysłano oddział piechoty morskiej. Europa naturalnym rozwojem swej cywilizacji jest powołana do rozerwania błędnego koła nieszczęśliwego ludu. Przecież nie podobna dozwolić, żeby tu nie było nigdy telegrafistów i żelaznych kolei! Lud dobry i wart zachodu, gdyż nie ma lepszych robotników niż Chińczycy. Zręczni, sumienni, niewymagający, traktują pracę jak modlitwę. Tylko trzeba trzymać ich w ryzach: żadnych ustępstw, żadnych czułości! Lud rdzennie wschodni musi wciąż czuć nad sobą przewagę siły, inaczej... demoralizuje się. Musi uważać białego za istotę wyższą...

- Właśnie. Zawsze twierdziłem i twierdzę, że najszkodliwsi dla postępu tu na Wschodzie są ci fałszywi chinofile, co przebrani w suknie krajowe szukają wśród prostaczków taniej popularności, prowadzą mądre rozprawy z bonzami i mandarynami, udają, że wierzą w ich brednie, i spełniają nawet niektóre obrządki... - wtrącił znacząco buchalter.

- Owszem, i ja jestem przyjacielem prostego ludu, szanuję jego obyczaje i dobrze mu życzę - oponował dyrektor - ale... tu nie ma wyboru: albo Chiny zostaną Europą, albo Europa Chinami. Zresztą lud prosty nie jest wcale patriotyczny. Umiera z głodu i wszystko mu jedno, czy istnieje, czy nie istnieje państwo chińskie, byle miał co jeść! Zaśniedziałymi, zastarzałymi Chinami są właściwie: mandaryni, uczeni, bonzowie - pijawki ludu, Dwór... Oni niecą niena-

wiść wśród prostaczków i wywołują antyeuropejskie hece... Lud w gruncie rzeczy przychylny jest europejskiej cywilizacji, która otwiera mu nowe źródła zarobku... A co to byłby za kraj, co to byłoby za państwo, gdyby...

- A przede wszystkim potrzebna im żelazna dłoń Europejczyka... porządek, porządek i jeszcze raz porządek!... - dorzucał buchalter.

Brzeski, który czytywał szanchajskie gazety, z łatwością odnajdował w tej dyrektorskiej liryce i uwagach buchaltera urywki ze wstępnych artykułów ostatnich dzienników.

- Czego on chce? On do ciebie pije... Przedtem co innego gadał - pytał Serge Janka.

- A niech pije!... Zbrzydło mi tu wszystko! Nie widzę, aby Europejczycy wnosili do Chin jakieś ożywienie albo nawet lepsze porządki! W tym olbrzymim państwie obecność kilkunastu tysięcy białych ginie bez śladu. W dodatku Europejczycy, których dotychczas widziałem, starają się wyłącznie o swoje zyski i korzyści...

- Rozumie się! Pal ich sześć!... Nudzi mi się... Wiesz co, pójdziemy lepiej dziś do teatru!... Co nas obchodzą te wszystkie sprawy!... - odpowiadał ziewając Serge.

Deszcze już nie mżyły, lecz lały jak z wiadra. Wilgoć przenikała wszystko, pleniąc wszędzie brud, pleśń i senną niemrawość. W gęstym wilgotnym powietrzu nawet głosy dzwonków klasztornych brzmiały głucho jak zakatarzone. Na ścieżkach błotnistych, pod arkadami nasiąkłych wodą gałęzi, Brzeski idąc do fabryki nie napotykał już wesołych żółtych mnichów z uprzejmym pytaniem o „kaszy”. Za to co dzień towarzyszył mu Siań-szen, który dzięki staraniom Serge'a dostał miejsce nadzorcy na plantacjach, gdzie robota nie przerywała się rok cały.

W domu pracował Brzeski w dalszym ciągu nad językami nowożytnymi i historią Chin. Zwolna z tych kart, pełnych krwi, łez, bohaterskich wysiłków i okrucieństw niesłychanych, wyłaniały się przed nim odrębne, znamienne rysy tajemniczego narodu. Dowiedział się, ceną jakich niezmiernych wysiłków, przez jaką walkę z przyrodą i drapieżnymi sąsiadami osiągnęli Chińczycy ten stopień wysokiej kultury i obyczajności, jaki dostrzegał wśród całej ich masy. Zrozumiał Brzeski, że taki naród nie mógł wyrzec się ani samoudoskonalenia, ani postępu, lecz szedł ku nim inną niż Europejczycy drogą, drobnymi powolnymi kroczkami, ale za to w całej swej wielkiej objętości... Że nowe pojęcia zwolna przesiąkały do głębi prostego nawet ludu, który cały, jak nigdzie na świecie, miał wielką ogładę, wielką ciekawość wiedzy i umiał cały czytać i pisać. Myśl jego nawykła wzlatać na wyżyny, skąd oglądał wieki i ludy; w sercu zapanował spokój. Zapalił się do historii i etnografii. Zapragnął stworzyć nową gałąź wiedzy, szukać praw społecznych rządzących ludami i odkryć samą istotę narodowości. Zdanie księdza Płońskiego - „przez lud swój dla ludzkości” - grało mu w duszy coraz dobitniej.

Krótka zima minęła chyżo wśród zajęć. Ulewy osłabły i chmury rozproszyłby się. Z błękitu znów spojrzało na mokrą i rozmiękłą ziemię promienne słońce. Zmizerniała i pobladła w strugach zimnej wody roślinność strzeliła bujnie nowymi liśćmi. Kwiaty roztwarły kielichy; białe wonne puchy pokryły drzewa owocowe i mocny zapach kwiatu pomarańczowego spoił tysiące rozmaitych zapachów w jeden upajający aromat. Dzwony buddyjskiej świątyni znowu zahuczały wesoło i wyraźnie. Złocone kopuły klasztoru przeświecały spoza obrzednich [1] konarów wiosennych jak zachodzące tam słońca.

I znowu nastał gwarny, radosny Nowy Rok chiński. Powietrze zafalowało od grania dzwonów, dźwięku gongów, salw armatnich, huku pękających rac, krzyków ludzkich, muzyki i śpiewów. Brzeski wyszedł z Siań-szenem i Ma-czżym, aby jak w roku zeszłym podzielić radość ogólną. Wspólna wyprawa nie powiodła się jednak tym razem. Ma-czży spotkał szkolnych towarzyszów i porzucił ich pierwszy. „Władcę Wrót Zachodnich” zaczepili jacyś wielce poważni kupcy. Brzeski poczuł, że jest zbyteczny w ich kole, zmieszał się z tłumem i wrócił... do domu. Ostrożnie przemknął się do siebie na górę i okno otworzył. Widział stąd

[1] Obrzedni (staropol.) - rzadkawy.

doskonale okolicę majową, tonącą w słońcu, rzekę z nieruchomo tkwiącymi na niej dżonkami o smukłych masztach, dalekie miasto z ciężkimi dachami. A nad wszystkim roje barwnych chorągwi, trzepoczących się jak stado różnopiórych, zawisłych w powietrzu ptaków. Wiatr ciepły niósł mu aromaty wiosny i koncert dźwięków świątecznych. Pod oknami co chwila stukały o kamienie podwórka drewniane podstawki chińskich bucików kobiecych, szeleściły jedwabie i cienkie głosy śpiewne powtarzały monotonnie:

- Czy Czcigodna, Zgrzybiała Pani Chań-Wań raczy przyjąć życzenia nieprzebranej pomyślności od nędznej swej sługi?

Widocznie „Władca Wrót Zachodnich” porobił w In-kou obszerne znajomości i zdołał zaskarbić sobie wśród ziomków uznanie, gdyż procesja gości nie miała końca. Brzeski widział doskonale ze swego ukrycia figury młodych i starych kobiet, podobne ze wzorzystych sukni fałdzistych, z uróżowanych twarzy, z dużych szpilek tkwiących we włosach, z oczu czarnych, błyszczących, z kolorowych w rękach wachlarzy i kwiatów - do ogromnych barwnych owadów. Przysiadały w zabawnych głębokich ukłonach niby dworskie damy.

Słyszał głos Lień, która odprowadzała gości często aż na podwórko. Raz poszła do wrót i wracając podniosła oczy do góry. W pstrej sukni, przepasanej szeroką pąsową wstęgą związaną z tyłu w ogromną kokardę, ubielona, uróżowana, z uczernionymi brwiami i ogromnymi szpilkami w wysoko zaczesanych włosach, była również podobna do kolorowej muchy. Spostrzegła go, zmieszała się bardzo.

- Pan... w domu?... Pan... sam?...

- Siań-szena zabrali przyjaciele, Ma-czży figluje z towarzyszami...

- Panu pewno tęskno?... Dlaczego pan nie pójdzie do swoich rodaków?...

- Nie ma ich tutaj.

- Co za szkoda... Szkoda, że pan nie może przyjść do nas... jak dawniej!

- O tak, Lień, wszystko się zmienia! Widzę na przykład, że jesteś uróżowana i brwi zeszpeciłaś sobie farbą. A pamiętasz: „Ani słońce, ani powietrze nie przyćmi blasku kwiatu, który czerpie swe ozdoby z przyrody... Ona nie potrzebuje różu...” — zadeklamował wiersz z powieści „o bohaterskim studencie Tie Czżun-ju i pięknej, wiernej Szuj Pin-siń”.

Dziewczyna zarumieniła się, a potem pobladła.

- Tak trzeba!... Chinka jestem - rzekła głucho. - Chce pan, poślę panu herbaty i słodyczy... Prędzej czas przeleci!...

Obejrzała się na wrota, gdzie znowu zaszumiały jedwabie.

- Czy Niezwykle Stara, Szlachetna Pani Chań-Wań raczy...

Brzeski cofnął się w głąb pokoju.

XXIII

Zbliżał się czas majowego zbioru liści herbacianych. Są to niby żniwa herbaciane, kiedy zbierają młodziutkie listeczki, dostarczające najlepszych gatunków herbaty, tak zwanej kwiatowej. Suszą je bardzo starannie, przeważnie na słońcu. Bladoróżowy kwiat herbaciany ma słaby herbaciany zapach i nieprzyjemny smak. Nie jest wcale używany do fabrykacji herbaty i nie zbierają go nawet. Herbatę sprzedażną przyrządzają wyłącznie z liści.

Na plantacjach uwijały się tłumy robotników w niebieskich koszulach i wielkich jak parasole kapeluszach słomianych. „Władca Wrót Zachodnich” wydawał rozkazy i napędzał do pośpiechu najgrubszym swym głosem. W budce koło bramy postawiono wagę, stolik i posadzono tam starego, otyłego Chińczyka, doświadczonego odbiorcę towaru. W fabryce wymiatano i wietrzono starannie sklepione zasieki, gdzie poddawano fermentacji przeznaczone do Europy gatunki. Reperowano fajerki i bambusowe koszałki do prażenia świeżych liści.

Strugano deski, zbijano pudła.

Wszędzie życie, ruch, gwar, uderzenia młotków, siekier i zgrzyty pił. Na ulicach roiło się od tragarzy, roznoszących towary i ludzi w lektykach.

Ich wołania: *Tzou!... Ocho-cho-o! Ech! ich-i!... A choli!...* - rozbrzmiewały jękliwe od rana do nocy.

Rzeką gromadnie płynęły statki, rozpuściwszy ogromne, bambusowe żagle.

W gabinecie dyrektora godzinami przesiadywali kupcy, dostawcy, ajenci, dyskutując i popijając herbatę z małych filiżanek.

Próbki towaru w blaszanych pudełkach odsyłano co chwila do próbiarni, gdzie próbiarz Irlandczyk, chmurnym mierzył je wzrokiem.

Do pomocy wyznaczono mu Brzeskiego.

- Abyś lepiej zapoznał się z fabrykacją herbaty. W dodatku przyda ci się tam... język chiński! — ironicznie objaśnił mu Serge.

W próbiarni było cicho, chłodno i mroczno. Wielkie okno, zakryte z dołu drewnianą, malowaną sadzami żaluzją, przepuszczało mało światła. Na półkach wzdłuż ścian błyszczały pudełka z próbami; pośrodku stół, na nim księga, klepsydra piaskowa, ważki, duża waza do zlewania wody oraz szereg porcelanowych filiżanek z dzióbkami i pokrywkami. W rogu pokoju na brązowej fajerce tlały nieustannie węgle i kipiała woda w imbryku.

Brzeski odbierał pudełka z próbami, zapisywał je do księgi, odważał z każdej jednakową ilość herbaty, zsypywał do filiżanek, zaparzał, nakrywał i przewracał klepsydrę. Cichutko szeleścił piasek w klepsydrze, bulgotała w imbryku woda, Irlandczyk sapał w swym krześle, a z dala dolatywała głucha wrzawa życia i słońce złociło górny brzeg czarnej żaluzji. Po niejakim czasie próbiarz wstawał, oglądał nastój pod światło, płukał nim usta, spluwał do wazy, oglądał uważnie pod oknem suchą herbatę i gardłowym głosem dyktował Brzeskiemu znaki i numery. I tak dzień cały od 4 rano do 5 wieczorem.

Gdy o tej godzinie znużony Brzeski wychodził na świat boży, życie tam wrzało w najlepsze. Patrzał na pracujące mrowie ludzkie z zazdrością jak wypuszczony z więzienia.

Ziemia, niebo, rzeka, białe mury i kamienne dziedzińce fabryki płonęły od słońca. Robotnicy, półnadzy lub w nankinowych króciuchnych kurtkach, żwawo uwijali się wśród naczyń, pudeł i kup burozielonej herbaty. Co chwila we wrotach fabrycznych zjawiały się nowe postacie z pełnymi liści nosidłami na plecach, a inne wracały wesoło z próżnymi. Wszędzie herbata, herbata... aromatyczny jej zapach i jej kurz brunatny.

Brzeski chętnie by się wmieszał w ciżbę, zajrzał do suszarni, do sortowni, na plantację, gdyby nie wielkie wyczerpanie i strach, że jeśli nie wypocznie, to jutro omyli się w zapisach do księgi lub niezręcznym ruchem wywoła szorstki wybuch gniewu u zdenerwowanego strasznie próbiarza.

- Niech pana Bóg strzeże, żebyś miał go czym rozgniewać! Żółć mu się uleje, smak odmieni i... straty nieobliczone! - ostrzegał go dyrektor.

„Nie wiem, po co naznaczyli mię tutaj. Serge skłamał. Wcale a wcale język chiński nie jest tu potrzebny” - rozmyślał Brzeski w prostocie ducha.

„Próbiarzem nie zostanę; na to potrzebny szczególny smak i powonienie. Czyżby istotnie Serge miał rację, że umyślnie wyznaczają mię do robót, które tylko przeszkadzają mi poznać przyprawę i fabrykację herbaty... Potem przedstawią mię wujowi jako niedołęgę i głupca, który niczego się nie nauczył w ciągu tak długiego czasu... Pięknie będę wyglądał!... Otóż nie!... Mimo wszystko, poznam, co mi wiedzieć należy, bez waszej pomocy!” - odgrażał się w duchu.

Ostrożnie, nieznacznie zwiedzał w czasie roboty wszystkie zakątki fabryki, rozmawiał z robotnikami i dzięki znajomości chińskiego języka dowiadywał się wiele takich rzeczy, o których pan dyrektor nie wiedział. W pracy niepostrzeżenie mijał mu czas. Ale w święto bardzo mu się przykrzyło, gdyż dawnych serdecznych stosunków z rodziną Wania nie udało mu się

nawiązać. Nudził się więc w chwilach wolnych od zajęć.

Wracał do domu, zjadał swój obiad spóźniony i szedł na górę. Ale niedługo mógł wytrzymać w pustym i równie cichym jak próbiarnia pokoju. Zbiegał więc znów na werandę i gdy nie zastawał tam nikogo, gdy Siań-szen nie zjawiał się, gdy Ma-czży nie przychodził, biegł do parku pełnego zapachu kwiatów i długich, głębokich cieni zachodzącego słońca. Tam odnalazł śliczne miejsce, gdzie we wnęku skał, uwieszonych pnączami i bluszczem, stał posąg zadumanego Buddy. Spotykał się tu często z sędziwym mnichem, świętym ascetą Szań-jao, i siedząc na kamiennej ławeczce gwarzyli w ciszy nadciągającej nocy o wzniosłych kwestiach. Przy słabym świetle lampy, płonącej przed bóstwem, żółty habit i żółta pomarszczona twarz duchownego majaczyły w cieniu zwieszających się gałęzi jak dziwadło, a głos przyciszony pouczał młodzieńca:

- Droga przed każdym otwarta. Ale przede wszystkim trzeba zapragnąć celu. Zapragnąwszy celu, należy wybrać środki. Wybór środków darzy umysł spokojem. Spokój umysłu pozwala osiągnąć spokój ducha, którego nic już zmącić nie może. W niezmąconym spokoju ducha można już rozważać i sądzić o istocie rzeczy. Rozważanie zaś istoty rzeczy prowadzi do doskonałości...

- Tak, właśnie, ale cel? Jaki cel tego?

- Poczuć w sobie Boga.

- To dla mnie, a dla innych?

- Każdy może, droga otwarta.

Młodzieniec trząsł głową.

- Nie, nie każdy...

- W samym dążeniu jest rozkosz.

- Oni są słabi, ciemni i... bardzo ubodzy...

- Ci są bliżsi Boga niż inni...

- Tyle bliżsi, co nieme, usychające drzewo... Odejść od nich nie wolno.

- Wasz Je-su słusznie słynie jako Wielki Nauczyciel, ale był tylko młodszym bratem Boskiego Fo [1]...

- Po co, ojcze, zaczepiasz Je-su?!

- Bo zamyka oczy na prawdę. Niesie niepokój zamiast wyzwolenia.

- Je-su?... Je-su sam jest Bogiem!

- Bóg jest jeden dla ciebie, dla mnie i dla najmniejszego robaczka!

Brzeski wstał.

- Późno już, gwiazdy płoną na niebie.

- O tak, świat jest o wiele większy, niż widzą nasze oczy... Gniewasz się?... Nie przyjdziesz już?... A więc chciałbyś, abym mówił ci to, czego nie myślę?

Młodzieńcowi żal się zrobiło stosunku z buddystą.

- O, nie! Owszem... przyjdę.

Mnich przyglądał mu się uważnie.

- A czy ty wiesz, jak wybawić od mąk tych, co umierają niby drzewo usychające? .

- Nie wiem...

- I ja nie wiem. Wiem tylko, jak zbawić siebie... Fo oddał swe ciało na pożarcie głodnym tygrysom, ale nie uważał za słuszne zamieniać je w gołębie...

Rozstali się na pozór przyjaźnie, ale gdy nazajutrz Brzeski przyszedł do posągu, nie zastał na ławeczce starego Szań-jao. Uderzony niemile, czekał i rozmyślał, czym mógł dotknąć staruszka. Następnie rozważał, czy w ogóle człowiek ma prawo narzucać innym to, co uważa za dobre albo za zbawienne.

„Każdy powinien sam dojść do wszystkiego. Wtedy będzie miał trwałe przekonanie. I

[1] Fo - chińskie imię Buddy.

nie tylko ludzie ludziom, lecz i ludy ludom winny dostarczać jedynie pożądanych przez nich przedmiotów, urządzeń, idei. A dowiadywać się o tym można będzie chyba przez... powszechne głosowanie!”

I znów długo rozważał, czy jego postanowienie nie czyni czasem w czymkolwiek szkody ludzkości.

Myśli ciemne, zawiłe, przestrzelone krótkimi lotnymi wyrazami bez związku, urywki przeczytanych lub posłyszanych zdań, własne, trochę przydługie i naiwne pomysły oblegały umysł chłopca jak chmury jesienne. Siedział skupiony, zadumany pod festonami zwisłych nad ławeczką pnączów i silił się ustawić rozumowania w porządne, zwięzłe szeregi. Nie było to rzeczą łatwą; raz wraz któraś z przesłanek płatała figla, wysuwała się z rzędu jak szydło, kłuła sąsiadki lub odskakiwała w stronę zupełnie przeciwną, psując i wywracając wszystko po drodze, jota w jotę jak tam w Mongolii, lecz myśli jego były jednak teraz i dłuższe, i porządniejsze, i lepiej trzymały się przedmiotu niż dawniej. Zrozumiał, że rozmyślanie jest ciężką, mozolną pracą, że mózg ludzki jest narzędziem niedoskonałym; ale jednocześnie poczuł wielki urok tego zmagania się z sobą, z tłoczącym myśl ciężarem materii.

Rozmowy z Szań-jao nie przeszły jednak bez śladu. Młodzieniec nie ustąpił, nie zniechęcił się, postanowił rozmyślać dalej samodzielnie i sięgnąć do źródła:

„Określmy przede wszystkim, co to jest przemoc. Z określenia wysnujemy wnioski. One wyprowadzą nas z labiryntu. A więc zaczynajmy. Co to jest przemoc?”

- Przemoc jest to narzucenie komuś gwałtem wstrętnych mu czynów, pojęć, uczuć lub obowiązków... — powiedział po namyśle.

Powtórzył określenie głośno raz i drugi, ale wniosków nie śpieszył się robić. Wydało mu się jakieś długie, gadatliwe i w dodatku... nieścisłe.

„Na przykład, jeżeli ktoś mię kocha i nie może wytrzymać, jeżeli do niego nie mówię, a ja zaczynam milczeć, odwracam się od niego za to, że on zrobił coś, co mi się nie podobało. Czy to będzie przemoc czy nie? Chyba nie, bo przecież nie użyłem siły, bo w takim razie nawet spory i dysputy są niemożliwe, niczego dowodzić i nikogo przekonywać nie wolno...” Znowu dokoła spiętrzyły się chmury sprzeczności.

„Przypuśćmy więc, że dla jasności wyrzucamy z określenia wyrazy: uczucie i pojęcie. Czy w takim razie wydanie kogoś gwałtem za mąż będzie przemocą?”

Odrzucił w końcu całe pierwsze określenie i szukał starannie innych.

„Jest to podporządkowanie wszystkiego poglądom osobistym!”

„Zupełny zanik poczucia istnień odmiennych!”

„Dążenie do jednostajności!”

Żadne z określeń nie zadowalało go; wszystkie były martwe, blade, płytkie w porównaniu z ogromem cierpień, których wyobrażenie budził w nim krótki, streszczający je wyraz.

Wstał z ławki zniechęcony. Stanowczo za mało jest doskonałym, aby rozmyślać o istocie rzeczy!

- Ciekawym, co mi odpowie Szań-jao! - wyrzekł i poszedł do domu.

Ale zakonnik nie ukazał się już w ustroniu. Brzeski widział go kilkakroć z daleka i słusznie przypuszczał, że mnich go unika.

Został sam na sam ze swymi myślami. Uraza zakonnika ubodła go mocno. Postanowił zamknąć się w sobie, uchylać od wszelkich starć z otoczeniem, przemknąć jak cień niepostrzeżenie przez teraźniejszość, nie zostawić po sobie żadnych śladów i nie unieść ich wcale na sobie.

„Nikt temu nie winien, że się tu znalazłem, ale i ja również nie czuję się winnym. Niezdolny jestem do życia! Będę myślał, będę się doskonalił! Zostanę mędrcem!”

Okazało się wszakże, że trudniej mu uciec od życia, niźli przypuszczał.

Życie - jak powietrze lub światło - było wszędzie i nieuchwytnymi drgnieniami potrącało wciąż o jego duszę młodą i czułą.

Nawet w ciche noce upalne, gdy zmęczonemu bezsennością zdawało się, że on tylko czuwa na całej ziemi, spostrzegał przez otwarte okno daleko na czarnej rzece kolorowe ognie pływających herbaciarni-ogrodów i dolatywały go dźwięki muzyki cichej jak westchnienia.

Te słabe, nikłe muśnięcia potęgowały tylko gorączkę nieukojonej, wciąż wracającej tęsknoty, a przerwały ją wrażenia pełne grozy, które legły na jego wspomnieniach straszną, nigdy nie blednącą purpurową smugą.

Nadeszło lato suche i gorące. Deszcze wiosenne wcale nie spadły. Gromady wychudłych, ogorzałych wieśniaków napłynęły do miasta, zaległy przystanie i ulice. Podaż pracy wzrosła niesłychanie, wzrosła liczba żebraków, wzrosły w mieście kradzieże, zwady i bójki. Powszechnie mówiono o głodzie i zaburzeniach. Brzeski, przeciskając się co dzień przez ten tłum hałaśliwy i cuchnący, odzwyczaił się od litości. Słyszał klątwy i jęki, spostrzegał błagalnie w sobie utkwione spojrzenia, ale poczucie własnej niemocy zakuwało go coraz szczelniej w pancerz obojętności.

„Cóż ja mogę?" - myślał z rozdrażnieniem, zbywając natrętnych żebraków drobnym datkiem.

Pewnego dnia wpadł do próbiarni wystraszony Serge i wezwał go do dyrektora. Cała „kancelaria" stała na schodach werandy i z przerażeniem patrzała na wrota, poza którymi huczały mnogie głosy. Stróże z bambusami w ręku przytrzymywali bezradnie zapory i oglądali się na „panów".

- Niech pan idzie i rozmówi się z nimi. Pan najlepiej z nas mówi po chińsku i pana lubią. Niech pan uspokoi ich, że wszystko będzie zrobione... Niech wybiorą delegatów i wyłuszczą żądania. Zresztą niech pan mówi, co pan chce... Niech pan zwlecze, ile się da... Niech pan się niczego nie boi... już posłałem po policję...

- Więc... po co ja?...

- Jak to?... Tu chodzi o nasze życie!... Niech pan zwlecze, ile się da... A może uda się panu namówić ich, żeby sobie poszli!... Tym lepiej dla nas i dla nich!

Wzruszony, wyszedł Brzeski za furtkę, która się za nim natychmiast zawarła. Owiał go zapach czosnku, potu i polowych kompostów. Setki błyszczących oczu i wykrzywionych twarzy zwróciły się ku niemu. Nie czul jednak strachu; wielu z obecnych znał dobrze, ci umilkli i poproszeni przezeń innych próbowali uciszyć, ale w dalszych szeregach długo wrzask nie ustawał.

- Otwórzcie bramę! - wyli. - Niech oddadzą pieniądze... Gdzie najstarszy... Nie chcemy Wania!... Precz chrześcijańskie psy!

Z tych krzyków i dorywczych opowiadań dowiedział się Brzeski, że głównie niezadowoleni są z... Wania, że obwiniają go o pobory, łapówki, oszustwa przy rachunkach i ucisk. Zrozumiał od razu, dlaczego dyrektor obdarzał szczególnymi względami w ostatnich czasach „Władcę Wrót Zachodnich" i skąd brały się środki na wygody, które ten zaprowadzał w swym domu. Brzeski sam z nich korzystał i stał obecnie zmieszany tą myślą przed oskarżycielami.

„Splamił mnie i siebie, zgubił wszystkich. Gdzie się podzieje z rodziną, skoro go wypędzą? Nie będę go już bronił, nie!" - rozmyślał.

- Niech płacą od sztuki jak dawniej!... Niech wydają jak dawniej co dzień pieniądze!... Niech wypędzą Wania!... Niech zrzucą rury kominów, suszące niebo!... Ziemia spłonie od waszych ogni! - wołali z tłumu.

- Wybierzcie kogo! - krzyknął Brzeski wybierzcie kilku... Niech idą i opowiedzą wszystko dyrektorowi. Tylko śpieszcie się, śpieszcie... póki czas...

- Niech sam wyjdzie... Albo niech otworzą wrota, pójdziemy wszyscy!

- Przecież wszyscy nie będziecie na raz mówili...

Umilkli na chwilę.

- Prawda, ale... boimy się osobno... Nikt nie pójdzie!

- Nie bójcie się, zostanę z wami jako zakładnik. Tylko śpieszcie się. Jestem pewny, że dyrektor na wiele rzeczy się zgodzi!

Spoglądał z trwogą przez głowy tłumu w stronę miasta. Wielu również zwróciło oczy w tym kierunku. Drogą pędził co koń wyskoczy oddział mandżurskiej kawalerii.

- Uciekajcie! Bij! Zdrada!

W powietrzu świsnęły kamienie, brama zadudniła od uderzeń. Nim Brzeski zdążył umknąć do furtki, powalony na ziemię stracił przytomność.

. . . .

Oprzytomniał dopiero w mieszkaniu dyrektora. Głowę miał obwiązaną mokrym ręcznikiem i czuł w niej ból nieznośny. Dokoła stali biurowi towarzysze.

- Cóż się stało?

- Źle. Straty nieobliczone... Dziesiątki tysięcy... Suszarnia rozbita, połowa zbioru herbaty zniszczona. Ale Bogu niech będą dzięki, że pan odzyskał przytomność. Wyglądało, jakbym pana wysłał na zabicie. Jakże się pan czuje? - pytał troskliwie dyrektor.

- Wszystko boli.

- Ee, to nic! kości całe... Młodość swoje zrobi. Baliśmy się, czy krew z pana nie uszła... Nie mogliśmy się dotrzeźwić pana. Szelmy zbóje! Tanio ich się pan zbył. Trzech stróżów i Serge'a zabili - pocieszał go buchalter.

- Serge'a?

- A tak, chciał bronić pana. Gdyby nam nie przyszło do głowy polewać ich wodą z sikawek, nie wiem, do czego by doszło. Motłoch uliczny przyłączył się do nich. Strach, jak ci poganie boją się wody.

- A... Wań... żyje?

- Żyje. Będę musiał go wygnać. Szkoda, sprytny... Nie przyniósł nam pan szczęścia, panie Brzeski - wtrącił dyrektor.

- Serge... Serge - powtarzał ranny zataczając oczyma.

- Uspokój się pan. Szkoda, żeśmy panu powiedzieli. Do licha, wrażliwe masz pan usposobienie. Śmiały jesteś, a taki słaby. Zapewne, że biedny chłopak, ale w Chinach myśmy do tego przyzwyczajeni. Za to pensję większą pobieramy, Matce Serge'a Chińczycy zapłacą grube odszkodowanie. Będzie miała staruszka spokojny kawałek chleba do samej śmierci. To pewna!... Od czegóż są posłowie i konsulowie, cala służba dyplomatyczna... - gadał buchalter.

XXIV

Przyjechał konsul z Szan-chaju dla zbadania zaburzeń, a wicekról [1] przysłał jednocześnie swego dao-taja [2] i urzędników śledczych.

Wielu Chińczyków aresztowano, w ich liczbie i Wania. Brzeski zaopiekował się opuszczoną przez wszystkich rodziną swego starego nauczyciela, a jego samego nawet odwiedził w więzieniu. Ledwie poznał dumnego „Władcę Wrót Zachodnich” wśród gromady brudnych złoczyńców, obdartych i obrosłych jak dziady. Siedział na ziemi zakuty w łańcuchy, w głębi ciasnej i ciemnej sali, oddzielonej od podwórza kratą z grubych bambusowych pali.

Gdy Brzeski zbliżył się, nie podniósł opuszczonej na piersi głowy, choć z dala już dostrzegł był gościa. Wtedy Ma-czży na rozkaz młodzieńca podał ojcu przyniesiony węzełek i

[1] Wicekról - zapożyczony przez autora z systemu brytyjskiej administracji kolonialnej termin na określenie chińskiego wielkorządcy prowincji - cungtu.

[2] Dao-taj, właśc. taotaj (chiń.) - dawny chiński tytuł naczelnika regionu.

pozdrowił go. Chińczyk drgnął i zabrzęczał kajdanami. Ze starych, zaropiałych oczu polały się łzy rzęsiste.

- Synu... nie zapomnisz mię... nie zapomnisz i nie dasz ciała mego psom na pożarcie - szeptał przyłożywszy twarz do kraty.

- Ojcze, ojcze, wszyscy w domu łzy lejemy. Było już tak dobrze!

- Nie jest jeszcze tak źle... Siań-szen! Staramy się, aby was oswobodzić.

- Po coś mię tu przywiózł?... Biją mię tu, katują - odrzekł stary ponuro.

- Będziemy przychodzili do ciebie, zostawimy ci trochę pieniędzy.

- Nie ma ratunku. Wszyscy mię nienawidzą!

- Będziemy się starali, aby cię wypuszczono za poręczeniem.

- Niesiecie zgubę synom tej ziemi.

- Zastanów się, Siań-szen, co mówisz! Sam jesteś przyczyną swego nieszczęścia. Uciskałeś robotników, swych braci, wymagałeś od nich datków...

- U, wcale nie o to poszło! I przedtem nieraz tak robiłem. Wszyscy tak robią. Nikt tego nie uważa za złe. Każdy chętnie zapłaci, skoro ma zysk. Ale dyrektor kazał obliczać zarobek dziennie. Mówiłem, że będzie źle, bo nikt wtedy nie wie, ile mu się należy. W dodatku nastał rok nieszczęśliwy. Kominy wasze do reszty wysuszyły niebo, smok w podwalinach ziemi obudził się od łoskotu waszych machin, wylały rzeki, cienie waszych drutów poprzecinały nieboszczyków. Za was cierpię i ginę, przeklęte diabły zamorskie!

Więźniowie zaczęli szemrać. Nadzorca prosił Brzeskiego, aby skrócił swój pobyt, gdyż więźniowie się burzą, i młodzieniec uprowadził płaczącego Ma-czżego z więziennego podwórza.

- Synu, synu, przyjdź! Przyjdź z Lień - wołał Wań.

- Cudzoziemcze, wielki cudzoziemski panie, uwolnij i nas! Myśmy niewinni. Nawet w tłumie nie było nas. Cudzoziemcze, my znamy cię, słyszeliśmy, żeś dobry. Ulituj się! Przecież wasze kominy wyssały deszcze! Rodziny nasze umierają z głodu! - krzyczeli niektórzy więźniowie, gdy już odchodził.

Brzeski robił starania, aby złagodzić dolę nieszczęśliwych. Ale konsul opierał się wszelkim ulgom.

- Panie, Europejczyk został zabity!... Gdyby im to uszło płazem, pan nawet nie wyobraża sobie, do jakich by doszło powikłań. Według ich pojęć krwią płaci się za krew. Przebaczenia nie przypisaliby naszej wspaniałomyślności - oni jej nie znają, lecz słabości i tchórzostwu. Rozgłaszaliby, że rząd ich pochwala zabójstwo, że każe tępić cudzoziemców. Mandarynom w to graj! Co by to było! Co by to było! Owszem, muszę nalegać, aby kary były jak najsurowsze. Jednego Wania zgadzam się ratować. Dyrektor również mówił mi o nim. Czy on chrześcijanin? Nie wie pan?

- Chrześcijanin, a co najważniejsza, wcale w zaburzeniach nie brał udziału.

- Ba! Chińczycy podają go za głównego winowajcę, ponieważ z jego powodu wybuchły zaburzenia... Co się zaś tyczy winy, to bardzo wierzę, że większość ich istotnie jest niewinna. Winowajcy pewnie dawno uciekli. Gdzie ich szukać? Ładnie byśmy wyglądali, gdybyśmy czekali, aż ich złapią! Zresztą nie o to chodzi. Tu w Chinach inaczej się zapatrują na zbrodnię i karę. Tu chodzi przede wszystkim o uroczysty akt zemsty, o zobrazowanie sprawiedliwości. Bogaci przestępcy najmują tu za siebie zastępców i nikogo to nie gorszy. Chińczycy są zawsze i wszędzie komediantami, krętaczami i jeszcze raz komediantami. O, znam ich! Mam z nimi dwadzieścia lat do czynienia. Dusza Chińczyka to taka, panie, otchłań łgarstwa, okrucieństwa, zdrady i łotrostwa, że kto by z europejską miarą chciał się tam zagłębić, zginąłby w labiryncie sprzeczności. Nie ma wyboru: należy albo wyrzec się z nimi stosunków, albo nie folgować im ani na jotę, ani na włos!

- Więc wyrzec się!... - szepnął Brzeski.

Konsul spojrzał nań zdumiony.

- To niech pan napisze do wuja, żeby zaczął od swojej fabryki. O co chodzi? Przecież ja tu mieszkam i trudzę się nie dla własnej przyjemności - odrzekł ostro.

Z wielkim zachodem udało się Wania ocalić. Dostał sto bambusów i kazano mu być obecnym przy egzekucji współwinowajców.

Wychudły, skatowany, opuszczony przez wszystkich taką wzbudzał litość, że Brzeski przemógł wstręt i poszedł z nim na plac egzekucji, aby starego wesprzeć i pokrzepić.

O szarym świcie, ruszyli od bramy więziennej na końcu orszaku, poprzedzani przez oprawców z błyszczącymi mieczami. Tłumy ludu stały w milczeniu z obu stron drogi. Skazańcy szli ze spętanymi rękoma i śpiewali pieśń, która wychwala męstwo Chińczyków, piękność ich kraju i wyrażała pogardę dla barbarzyńskich cudzoziemców, „przeklętych *Jan-guj-tzyj!*”. Ale w miarę jak skazani zbliżali się do fatalnego pola, głosy ich rwały się i milkli.

- Powiedzcie, żeśmy zuchy! Pochwalcie nas! — wołali do tłumów.

- Czy twarze nasze pobladły? Czy kroki zawodzą nas?

- Nie, nie! - odpowiadano im. - Niech Niebo Wysokie błogosławi was!

- Pochowajcie nas, jak przystało — mężnych.

Obrzucono ich kwiatami, a gdy przyszli na miejsce, podano im z ciżby chłodzące napoje. Pili długo pobladłymi usty, aż kaci zniecierpliwieni wytrącili im z rąk czasze. Zmuszono ich uklęknąć szeregiem.

Wtem jeden wyrwał się i zaczął z pachołkiem szamotać.

- Nie chcę... Puśćcie mię!... Pójdę... Boję się!... - ryczał.

Brzeski poznał w nim wesołego jak dziecko Szuń-Tzi z prowincji Chu-bej. Pokonano go wkrótce; padł jak byk na kolana.

W powietrzu różowym od zorzy mignęła sina błyskawica stali. Zginął pierwszy. Inni czekali kolei z wyciągniętymi szyjami, mocno trzymani przez pachołków za długie warkocze. Okrwawione głowy zawleczono do kosza i odniesiono do miasta, gdzie miały być wystawione na murach na widok publiczny.

Pomocnik konsula, obecny z urzędu przy egzekucji, podszedł do Brzeskiego.

- Pan pieszo? Chciałem panu ofiarować muła mego sługi. Taki pan blady...

Chłopak odwrócił się do niego plecami.

- O, tak! To nie należy do rzeczy przyjemnych. Był pan podobno przyjacielem Serge'a... Miałeś więc do pewnego stopnia satysfakcję.

- Ach, przestań pan!

- Na mnie to już nie działa, widzę coś dziesiątą...

Brzeski schwycił Wania pod rękę i odszedł pośpiesznie. W mieście najął dla niego i dla siebie dwa palankiny, gdyż czuł się za słabym, by dojść do domu. Pragnął ciszy i samotności. Miał wstręt do ludzi i zarazem litował się nad nimi:

„I po co, po co to wszystko?” — rozważał wstrzymując rozsadzające piersi łkania.

A w mieście życie zwykłym biegło trybem. Kulisi [1] z wołaniem do jęków podobnym znosili na przystań towary. Ze sklepów wyglądały przebiegłe twarze kupców, straganiarze zaczepiali przechodniów. Niebieski tłum ludzi zbity i wrzaskliwy przewalał się po ulicach. Obłoki kurzu wznosiły się wysoko i kołowały w promieniach słońca. Szyldy sklepowe, znaki, złote napisy, rzeźbione frontony domów, polewane kolorowe dachy tworzyły z obu stron szerokie, barwnie malowane wstęgi, podziurawione czarnymi wylotami wejść, okien i plamami cieniów. Roje ludzi żółtych, kosookich, odzianych w niebieskie i szare chałaty - braci straceńców - żartowały, śmiały się, wrzeszczały, klęły... Fale życia zawarły się nad zamordowanymi, a pamięć o nich pozostała jedynie w sercach ojców, matek, żon i osieroconych dzieci.

W fabryce i na plantacji też wrzał ruch. Ślady spustoszenia dawno już tam znikły. Poprawiano stare budowle i wznoszono nowe za pieniądze zapłaconego przez rząd chiński

[1] Kulis (chiń.) europejskie określenie chińskich niewykwalifikowanych pracowników fizycznych.

odszkodowania.

Od czasu zaburzeń dyrektor bardzo zmienił się w swym obejściu z Brzeskim. Wykazywał mu wiele życzliwości i był dlań bardzo dobry. Czy chciał w ten sposób załagodzić przed nim swą winę, czy bał się, że Brzeski napisze list do wuja ze skargą - nie wiadomo. Prawdopodobnie było w tym wszystkiego po trochu, a głównie stary filut czuł szczerą dla Brzeskiego wdzięczność, że uratował jemu i reszcie urzędników życie, że ocalił fabrykę od zupełnego zburzenia. Rzecz prosta, iż zechciał Brzeskiego mieć bliżej koło siebie, ocenił nagle jego znajomość chińskiego języka i obyczajów.

XXV

Przeniesiono więc Brzeskiego z próbiarni do biura. Dostał posadę po Serge'u. Traktowano go tam o wiele przychylniej. Ale mimo to z twarzy chłopca nie znikał cień cichego smutku.

- Wie pan, radzę panu szczerze, niech pan rzuci swojego Siań-szena i przeniesie się do pokoiku nieboszczyka Serge'a. Gdy się trochę uciszy, dam Waniowi miejsce, niech sobie zamieszka gdzie na ustroniu. Ale pan niech raz z nim skończy. Najlepiej, gdyby się stąd rodzina cała wyniosła - radził mu dyrektor poufnie.

- Pomyślę o tym. Teraz nie mogę. Stary chory.

- Właśnie teraz! Łatwiej się pan od niego odczepi! Niech mu pan da trochę pieniędzy. Ogromny z pana... idealista. To w koloniach nie uchodzi. Musi pan zostać praktycznym, inaczej będzie źle z panem.

- Pomyślę o tym, pomyślę.

- Niech pan napisze do wuja, może on weźmie Siań-szena do Kiachty. Tutaj nienawidzą go istotnie - radził dyrektor.

- Owszem. Mogę napisać, choć wątpię, czy Chań-Wań zgodzi się na wyjazd do nienawistnej Mongolii!... - odrzekł Brzeski.

Napisał wkrótce list, gorąco polecając wujowi starego nauczyciela i opisując mu jego hańbę, jego skruchę i cierpienia całej rodziny.

Nie ma dla nich innego ratunku jak wyjazd do miejscowości, gdzie ich nikt nie zna, i zaczęcie życia na nowo. Niech kochany wuj też daruje i urządzi jakkolwiek Siań-szena... Przecież to ja go tutaj przywiozłem, jestem więc trochę winien jego nieszczęścia.

Ale zanim przyszła od wuja odpowiedź, Siań-szen sam rozwiązał wszystkie trudności i załatwił porachunki z losem: znikł bez śladu.

Wyszedł i nie wrócił. Czekano nań w domu dzień cały, nazajutrz przeszukano ogród klasztorny, rozpytano się mnichów i sąsiadów. Nikt go nie widział. Zdarzało się i przedtem, że Siań-szen wychodził z domu i na noc nie wracał. Ale było to w czasach powodzenia. Teraz nawet Chań-Wań, skłonna zawsze o najgorsze podejrzewać męża, nie przypuszczała, żeby on, chory i sponiewierany, zechciał szukać rozrywki w domach gry i herbaciarniach.

- Oni go zabili! - rzekła krótko i posępnie.

- O mamo, mamo, nie mów tak! - krzyknęła Lień. Niech pan nie wierzy!... Ojciec był smutny i chory... i może gdzie zabłądził. Niech pan poszuka - zwróciła się do Brzeskiego.

Dziewczyna jeszcze przy ojcu objęła ster gospodarstwa domowego i z głębi pokojów w razie potrzeby wychodziła na rozmowę nawet do cudzoziemca.

Brzeski natychmiast zaczął energiczne poszukiwania. Odwiedził znajomych Wania, sklepy, gdzie ten robił zwykle zakupy, herbaciarnie, gdzie przesiadywał, bliższe podmiejskie

miejsca spacerowe nigdzie nie widziano starego i nie umiano nic o nim powiedzieć. Istniały jednakże wskazówki, że Wań istotnie nie zabił się ani nie został zabity, lecz że uciekł, gdyż wraz z nim zniknęła z domu nieduża suma pieniędzy, nowe buty starego i jego naukowy dyplom.

Wszystko to martwiło i niepokoiło Brzeskiego, parę dni stracił na własnych zachodach, ale gdy stracił nadzieję znalezienia Wania, musiał o jego zniknięciu powiedzieć dyrektorowi; ten przeraził się nie na żarty:

- Źle! Stara ma rację: sprzątnęli go krewniacy straconych. Krajowcy są bardzo mściwi, w wielu miejscach uprawiają zemstę rodową... Ponieważ uważali Wania za przyczynę śmierci buntowników, nie mogli znieść, że pozostał przy życiu... Na pewno zabili go! Panu również nie radzę włóczyć się po rozmaitych kątach, przeciwnie, radziłbym przenieść się co rychlej na mieszkanie do fabryki... Postaramy się tymczasem przysposobić ją do obrony... na wszelki wypadek... Możliwa rzecz, że ci sami łotrzy, co zabili Wania, aby odwrócić od siebie uwagę i nam zaszkodzić, rozpuszczą wśród pospólstwa pogłoskę, że to myśmy go zamordowali... Mogą wyniknąć z tego powodu nowe zaburzenia i wszystkich nas za tego gałgana wyrżną... Pieniądze, buty i dyplom mogły być zabrane dla zmylenia śladów. O, znam ich dobrze! koso-okich diabłów!... Bez żartów radzę panu przenieść się do nas niezwłocznie, a o zniknięciu starego do czasu... milczeć!

Brzeski przyznał w duchu słuszność tych rozumowań, opartych na bezgranicznej nie-ufności do cudzoziemców właściwej Chińczykom. W swych dalszych poszukiwaniach Wania starannie unikał napomykania o możliwości jego śmierci; lecz przebiegli krajowcy od razu domyślili się, o co chodzi, i sami zaczęli go rozpytywać:

- Co porabia wasz czcigodny Siań-szen?... Dawno już go nie widzieliśmy!...

- Nie ma go, wyjechał!

- Hu!... Wyjechał?... Iii!... Dokądże on wyjechał w takie upały?! Wszak płomień z nieba pada!...

- Udał się w pielgrzymkę do... świętych miejsc.

- Do świętych miejsc!... Aj, aj!... Dziwna rzecz, że nikt go nie widział w zbornych miej-scach pielgrzymów!... Czyżby poszedł samotnie?! - kiwali głowami i udawali, że wierzą, ale po mieście rozeszły się głuche, tajemnicze plotki. Nawet Ma-czży wyraził pewnego rodzaju powątpiewanie:

- Gdyby ojciec udał się na pielgrzymkę, toby zabrał z sobą wachlarz! - zauważył zupeł-nie słusznie i spojrzał wyczekująco na Brzeskiego. Ten spuścił oczy zmieszany. Nie umiał kłamać. Nie wierzył w pielgrzymkę starego; dawno już, pochował go w myślach. Nawet Lień straciła nadzieję, nie wybiegała już na stuk furtki i w milczeniu patrzała łzawymi oczyma na wracającego z poszukiwań Brzeskiego.

Młodzieniec z rewolwerem w rękawie włóczył się dalej po rozmaitych wertepach, ale nie zdawał sobie wyraźnie sprawy, po co to robił. Zaprzestanie poszukiwań wydawało mu się po prostu okrucieństwem względem rodziny starego Siań-szena; to to samo, co powiedzieć: odszedł, porzucił was i nigdy nie wróci!

Tymczasem plotka robiła swoje. Brzeski zauważył, że sąsiedzi i znajomi Chińczycy jakoś dziwnie zachowują się i trzymają odeń z daleka, że spotykani w ogrodzie kościelnym mnisi pośpiesznie uchodzą.

- Czas samemu uciekać!... Ale co zrobić z rodziną Wania?... Dokąd oni się podzieją?

Brzeski wiedział, że według obyczajów chińskich kobieta może istnieć jedynie jako dodatek do mężczyzny w charakterze żony, matki albo siostry, że położenie porzuconych przezeń kobiet stanie się bardzo przykre, że wszyscy, co mieli jakąkolwiek złość do Wania, zaczną je krzywdzić, aby się zemścić. Ma-czży mały, nie będzie w stanie ich obronić; na domiar z Brzeskiego odejściem kobiety stracą jedyne źródło utrzymania. Ta trocha pieniędzy, którą mógł im dać, nie wystarczyłaby i na dwa miesiące. Prócz tego czuł, że Lień wierzy mu

bezgranicznie, że uważa go za jakąś wyższą, dobrą istotę, która nie tylko wybawi ich z wszelkiego nieszczęścia, obroni i ochroni, lecz nawet wróci im zaginionego ojca. Bolesnym byłoby dlań zawieść nadzieje dziewczyny, zwłóczył więc z dnia na dzień.

- Później, trochę później, gdy się wszystko wyjaśni!... Nie mogę przecież opuścić ich teraz!... - mówił sobie i odkładał stanowczą rozmowę.

Mieszkali więc razem jak dawniej w małym domku, w jarze klasztornego ogrodu, gdzie zieleń dzikiego wina niby piana szmaragdowa przelewała się przez mur ogrodzenia, gdzie w dole wśród omszonych głazów szemrał srebrny strumień, a w górze ponad dachem szumiały konary potężnych drzew wiekowych...

Nie wiedzieli, że w mieście i okolicy błąkają się potworne wieści, spotęgowane burzliwymi prądami, rozlewającymi się od obu stolic państwa po całym jego obszarze... Nie wiedzieli, że sąsiedzi źle sobie tłumaczą przyjaźń Brzeskiego do kobiet, że tysiące oczu śledziło nieprzychylnie każdy krok przebranego za Chińczyka cudzoziemca!...

- Udaje przyjaciela, aby poznać nas i łatwiej zgubić!

Młodzieniec nie domyślał się tego. On czuł tylko, że jest jedynym obrońcą i żywicielem osieroconej rodziny, jej rdzeniem i słońcem. Dostrzegał jedynie w pięknych oczach Lień niezgłębioną wdzięczność i wschodnią zaiste cześć, pokorę, wierność i przywiązanie...

- Nie, nie teraz!... Nie mogę!... Z czasem, gdy wszystko szczęśliwie się ułoży, gdy dużo zarobię pieniędzy, aby im dopomóc!... - powtarzał sobie i miał już jedną tylko troskę, jak o tym do matki napisać.

Wtem pewnej czarownej wonnej nocy letniej, gdy zmęczony usnął przy otwartym oknie, obudziło go lekkie dotknięcie ciepłej ręki.

- Wstawaj, cudzoziemcze!... Zbudź się!... O n i przyszli!... Uciekaj!... Oto sznur... Spuść się po nim z dachu na tamtą stronę domu... Tam ich nie ma... W podwórzu pełno!... - szeptał nad nim głos cichy i drżący.

Brzeski myślał, że mu się przywidziało, że to sen. Nic w ciemności nie widział, ale po chwili poznał głos Lień. Jednocześnie pęk sznurów upadł mu na piersi. Zerwał się, odział szybko nie zapalając ognia, schwycił rewolwer i dopadł okna. Na ciemnym podwórzu ruszały się ciemniejsze od nocy cienie i szemrały stłumione liczne głosy; w górze nad wszystkim wiatr łomotał czarnymi konarami drzew, a wyżej jeszcze gęsto połyskiwały gwiazdy na granatowym niebie.

Brzeski wydostał się za okno i prześlizgnął niepostrzeżenie na dach wzdłuż cudacznej rzeźby górnej galeryjki. Wewnątrz domu męskie głosy spierały się z Lień. Dziewczyna dowodziła coś krzykliwym głosem, widocznie, aby zagłuszyć stuk jego kroków. Młodzieniec przywiązał sznur do rozwartej paszczy smoka zdobiącej koniec rynny i ostrożnie jął się spuszczać na dół. Nie zdążył dotknąć ziemi, gdy przeraźliwy wielogłosy krzyk wściekłości wstrząsnął powietrzem. Brzeski drgnął i zawahał się.

Co to? Może męczą Lień albo jej matkę?... Czy nie lepiej wrócić z rewolwerem w ręku i rozpędzić tłuszczę niegodziwców!? Krzyk wszakże nie powtórzył się, lecz zamienił w głuchą zbiorową wrzawę, w której Brzeski z łatwością uchwycił oddzielne nawoływania:

- Uciekł!... Nie ma!... Prędzej!... Chwytaj!... Łapaj!... Uciekł!...

Młodzieniec skoczył jak jeleń w zarośla i stamtąd, biegnąc, obejrzał się na dom: okna pełne były światła, mnóstwo pochodni i latarni migotało na podwórzu oraz sunęło, rozpraszało się po ścieżkach parku.

Na szczęście Brzeski znał wybornie wszystkie drożyny i przejścia, każdy krzew, każde drzewo nie gorzej od swych prześladowców. Wyprzedził ich znacznie. Ale skoro wypadł na prowadzącą do miasta drogę, rychło zauważył na niej tu i owdzie podejrzane cienie. Aby więc uniknąć możliwej zasadzki i oszukać pościg, zawrócił w bok i pobiegł dookoła krawędzi klasztornego parku, a dalej - plantacjami herbaty. Niziuchne kuliste krzewy herbaciane, posadzone równymi długimi rzędami, nie ukryłyby go w dzień, w nocy atoli ciemna jego postać

nikła doszczętnie w ich czarnych smugach. Bystre oczy Chińczyków mogłyby go wszakże zauważyć gdziekolwiek w miejscach łysawych lub na wzgórkach na tle nieba. Dlatego Brzeski posuwał się naprzód bardzo ostrożnie, prawie na czworakach, i pilnie słuchał. W ciemnościach słuch o wiele ważniejszy jest niż wzrok, gdyż zawczasu ostrzega o niebezpieczeństwie po ruchach i mowie nieprzyjaciela. Od czasu do czasu Brzeski zatrzymywał się, tłumił oddech i wpatrywał się uważnie w mętne zarysy pogrążonej we śnie fabryki, a potem ku rzece, gdzie blado połyskiwała wstęga wody i obok wstęga równie bladej drogi. Teraz tylko zrozumiał, jak rozsądnie postąpił idąc dookoła. Na drodze poruszały się w wielu miejscach ciemne plamy, w których poznawał bez trudności z kształtów i hałasów kupki ludzi. Wszyscy ciągnęli ku fabryce.

„Trzeba się śpieszyć, rychło ją otoczą!...” pomyślał i pobiegł szybciej, zaniedbawszy ostrożności.

Nagle chybnął się w tył i zamarł na miejscu, ogarnięty przerażeniem: pod samym jego nosem wyrosły spod ziemi dwie czarne sylwetki chińskich robotników. Dostrzegli Brzeskiego i zdawali się równie wylękli i niepewni. Młodzieniec zrozumiał, że nie czas się chować, że zmykać nie podobna. Nie odpowiedział więc na świst nocnej przepiórki, jakim przywitała go ta straż, lecz śmiało podszedł do krajowców i powiedział zmienionym głosem po chińsku:

- Dowódca posyła mię, aby...

- Kto jesteś?... I dlaczego nie odpowiadasz na sygnały?!...

- Wybaczcie, bracia, zapomniałem w pośpiechu!... Dowódca każe wszystkich ściągać na krawędź klasztornego jaru... Przeklęty cudzoziemiec uciekł i schował się w ogrodzie... Musimy go znaleźć koniecznie, gdyż narobi hałasu... sprowadzi wojsko, białych... Gdzie są inni?...

- Są tutaj, na północy... Mówisz, że barbarzyńca uciekł... To było do przewidzenia!... Tacy czarownicy jak ci zamorscy diabli z łatwością zmieniają się to w psa, to w kota...

- Idźcie zaraz, ruszajcie!... Nie gadajcie... Śpieszę z rozkazami do tamtych!... - mruknął Brzeski i zniknął we wskazanym przez krajowców kierunku.

Skoro jednak cienie robotników roztopiły się w ciemnościach, młodzieniec zmienił natychmiast postawę, niby przygiął się znowu i chyłkiem co tchu popędził wprost do fabryki. Dopiero w pobliżu jej murów zatrzymał się, aby wytchnąć, rozejrzeć się i zebrać myśli. Wysoko wznosiła się w powietrzu ceglana ściana ogrodzenia - jednolita, gładka, bez drzwi i okien; ponad nią wypływały ciężkie, żelazem kryte dachy składów, kanciasty korpus główny z licznymi oknami i cienkie strzeliste kominy fabryczne, które niby obeliski przecinały czarnymi igłami bladawe nocne niebo. Wszystko spało spokojnie, głęboko - bez cienia dźwięku, bez iskry blasku - snem mocnym, porannym, nie przeczuwając, że dokoła zacieśnia się coraz groźniej pierścień ludzki, dyszący nienawiścią i zemstą, że setki rozgorzałych oczów śledzi drapieżnie i podejrzliwie z takim mozołem budowane mury ochronne.

Brzeski od razu spostrzegł, że fabryka oblężona już jest ze wszystkich stron. Ostrożnie, chroniąc się zręcznie za krzewami i we wgłębieniach gruntu, podpełznął do drogi i spojrzał na bramę wjazdową. Dostać się tam było niepodobieństwem, gdyż strzegł ich największy oddział robotników. W dodatku brama była zamknięta, dzwonek na stróża wydałby go niechybnie i przyśpieszył atak. Nieprzyjaciele alboby go niezwłocznie zabili, albo skorzystaliby z otwartej dlań furtki, aby wpaść niepostrzeżenie do wnętrza.

Brzeski rozmyślał, co począć. Należało się śpieszyć. Rozkaz napaści mógł przyjść lada chwila, lada chwila mógł wrócić nieobecny widocznie dowódca. Wrócił więc chyłkiem młodzieniec na tył fabryki, gdzie był przedtem i gdzie widział w ciemnościach łańcuch kupkami rozstawionej straży. Niepostrzeżenie przyłączył się do jednej z nich, rozmawiającej półgłosem.

- Jeżeli barbarzyńcy nie otworzą o świcie bramy, trudno będzie dostać się do fabryki. Mur wysoki, a oni celnie strzelają.

- W ciemnościach i kula niełatwo znajduje drogę!... Dlaczego trzymają nas tu bezczynnie?! Niedługo świt...

- Nie wiadomo. Słuchać należy. Widocznie dowódca znalazł dużo roboty w domku „Władcy Wrót Zachodnich”!...

- Ba!... Bawi się pewnie mękami mieszkającego tam barbarzyńcy.

- Szkoda go. Dobry był chłopak!... - szepnął ktoś z boku.

- Cóż robić!?... Takie jest prawo wojny!... Razem giną i dobrzy, i źli: dobrzy za to, że w porę nie wstrzymali złych, źli za to, że spełnili zło!

- Nie można szczędzić dobrych, gdyż źli zawsze by się za nich ukrywali... Zresztą nie mamy wyboru: wszystkich musimy wypędzić!... Wszystkich wygnać musi od nas przerażenie!... Nie pozbędziemy się ich inaczej!... Gdy zaczniemy przebierać, stracimy czas; w naszych sercach i naszych przedsięwzięciach uczyni się tysiące dziur, przez które źli zaleją nas i zamienią w swych niewolników...

- Nie chcemy ani złych, ani dobrych!...

- O tak! Precz! Niech odejdą sobie do swego zamorskiego kraju!... Dość mamy zdobywców: byli Mongołowie z Czingischanem [1] łupili nas i ciemiężyli; potem przyszli nowi rabusie, Mandżurowie, i też dręczyli nas i obdzierali, teraz pojawiają się biali!...

- Dlaczego nie dają jednak sygnału?...

- Ciekawa rzecz, jak dowódca roztworzy bramę...

- Mocna i żelazem okuta... Znam ją dobrze, ma z tyłu ciężkie, metalowe rygle...

- On już obmyślił, jak to zrobić!... - głucho powiedział Brzeski.

- Co mówisz?

- Kto jesteś i skąd?

- Jakżeś się tu znalazł?

- Przyszedłem razem z wami wypędzać cudzoziemców z ojczyzny... Jestem Feng, stróż klasztorny! - odpowiedział głośno Brzeski. — Znam tu każdą dziurę, gdyż dawno ich śledzę z rozkazu tajnego stowarzyszenia U-wej-kian [2] (Bezczynnych)... Może kto z was pokaże mi znak braterski?

Skupieni wkoło robotnicy odstąpili cokolwiek.

- Więc co? - spytał nareszcie cicho jeden z nich.

- Naczelnik polecił mi przedostać się za mur i otworzyć bramę...

- Silni są bracia U-wej-kian, ale nie polecisz przecież na skrzydłach?...

- Chodzi o to, żeby brama została otwartą przed przebudzeniem się białych diabłów, żeby nie lała się krew Czarnogłowych!...

- *Chao!* Dobrze mówi!... - szeptano.

- Czy macie drabinę?... — pytał ostrożnie Brzeski.

Nagle poczuł liczne palce, dotykające naraz jego odzienia, głowy, włosów, twarzy... Na szczęście wąsy wciąż golił, czesał włosy we warkocz po chińsku i nie zaniedbywał najmniejszego szczegółu swej toalety chińskiej...

- Co?... Czego chcecie?! - powtarzał niby oburzony w czasie rewizji, podczas gdy serce mu się tłukło w piersiach jak złapany ptak.

Dobra wymowa chińska i zimna krew pokonały wreszcie podejrzliwość napastników.

- O tak, Feng!... Dobrze by było dostać się do środka bez przelewu krwi, lecz nie mamy drabiny...

- Drabinę mają tamci pod bramą... Niech idzie kto po nią...

[1] Czingischan, właśc. Czyngis-chan (1155-1227) - władca imperium mongolskiego; w latach 1211 -1216 podbił tereny dzisiejszych Chin Północnych, rządzonych wówczas przez Dżurdżenów. Podboju Chin właściwych dokonali jego następcy w pół wieku później.

[2] U-wej-kian, właśc. Wu wej ciao; Wu wei jiao - sekta wywodząca swą nazwę z taoistowskiej zasady wuwej (niedziałanie), która zakłada postępowanie zgodnie z naturą i niedziałanie wbrew niej.

- O nie, nie!... Bez hałasu... Mam wyraźny rozkaz... - szepnął ostro Brzeski... - Wejdę po waszych barkach na szczyt ze sznurem... Stąd do mieszkań barbarzyńców i do budki stróża daleko - nie usłyszą!

- To prawda!... Zgoda!... - powtórzyli mu robotnicy zniżając jak on głosy.

Kilku najtęższych podeszło razem z Brzeskim do ściany. Ustawili się jeden na ramionach drugiego niby żywa drabina, a młodzieniec z pomocą pozostałych wdrapał się na nich...

- Oho, co to? Zamorskie masz buty!? - krzyknął ostatni z podsadzających go krajowców.

Brzeski nie odpowiedział. Już siedział na szczycie ściany jak na koniu i odsuwał się szybko od ludzi.

Następnie sznur zadzierzgnął mocno za krawędź dachówek... Chińczycy szemrali w dole:

- Dlaczego nie odpowiadasz?

- Gdzieżeś się podział?...

- Zniknął jak zły duch...

- Coś brzydko wygląda to wszystko...

- Leźcie, bracia, na mur...

- Trzymajcie go... Może przebrany...

- Nie pochwali nas naczelnik!... O-ha!

- Milczcie, głupcy!... Rozbudzicie barbarzyńców... Gdaczecie jak kury... A tymczasem pierwszą kulę dostanę ja... Dobrze wam za murem, możecie się nie bać... Dlatego gadacie wiele!... Wystraszony zając zobaczył, czego nie ma, a wyście radzi okazji, aby zmykać!... Wszędzie węszycie zdradę! Nie będzie miał z was pociechy Wielki Pan Białego Lotosu!... [1] - uspokajał ich Brzeski, zaciągając węzły sznura.

Już ślizgał się po sznurze na dół, a jeszcze szeptał zgorączkowanymi wargami: „Cicho! Cicho!...” Pobiegł przez znajome dziedzińce i rychło znalazł się przed ganeczkiem dyrektorskiego mieszkania. Nacisnął guzik elektrycznego dzwonka. Wewnątrz poruszono się niezwłocznie i w oknie błysnęło światło.

„Zginęliśmy!... Za późno!” pomyślał Brzeski, usłyszawszy szmer głosów, buchających z nagła na zewnątrz i jednocześnie ciężkie uderzenia w bramę. Z okna wyjrzał dyrektor.

- Co to?

- Fabryka otoczona!... Powstanie!...

- Ach, to pan?... Cóż to za powstanie? Gdzie?!

- Ależ tutaj... Proszę otworzyć natychmiast!... Opowiem wszystko...

W bramę tłuczono coraz silniej.

- Ach, oni istotnie dobijają się!... Boże, więc to tak!... Więc to do nas?... Co robić?!... Ludzie!... Mateuszu! Jasiu! Karolu!... U licha!... Gdzie jesteście?! Uderzyć we dzwon!... Armatę... celować armatą... Wszak mamy kartaczownicę! - krzyczał dyrektor rzucając się po pokoju.

I jako odpowiedź na potęgujący się gniewny ryk tłumu za bramą, odezwał się trwożnie dzwon pożarny fabryki.

Zapomniano wpuścić do domu Brzeskiego i on stał na schodkach ganeczka, zwrócony twarzą do bramy jęczącej pod ciosami szturmujących. Dostał się tam dopiero razem z innymi pracownikami fabryki. Zbudzeni nagle alarmem, drżący, wystraszeni i na wpół odziani zebrali się oni u wejścia do domu dyrektora, który był wybudowany wyłącznie z kamienia i żelaza, miał odpowiednie do obrony okna i urządzenia, i dokąd w razie zaburzeń mieli się chronić wszyscy, jak to było umówione zawczasu.

Dyrektor odzyskał nareszcie przytomność i zimną krew; zaczął wydawać odpowiednie i

[1] Biały Lotos (Paj lien ciao; Bai lian jiao) - sekta, która była jednym z czołowych w dawnych Chinach tajnym stowarzyszeniem religijno-mistycznym.

rozsądne rozkazy. Oblężeni natychmiast rozebrali schodki i galeryjkę przy wejściu, odsunęli je na środek podwórza, oblali naftą i podpalili. Następnie drzwi zewnętrzne zostały zamknięte i opuszczono na nie mocną żelazną żaluzję. Był to jedyny otwór, jaki prowadził do tego budynku, który wszystkie okna miał zakratowane i położone wysoko nad ziemią, a w pobliżu nie miał żadnych przybudówek, mogących ułatwić dostęp nieprzyjacielowi. Stał na domiar pośrodku podwórza wybrukowanego ciężkimi kamiennymi płytami.

Tymczasem wybijana brama drżała i huczała jak olbrzymi bęben. Widocznie walono w nią przyniesionymi z przystani balami. Stos zapalonej pośrodku podwórza galerii z wolna rozpalił się. Jednocześnie z dachu domu oblężeni rzucali smugi elektrycznego światła po kolei na rozmaite budowle i stropy muru, aby przekonać się, gdzie przedarł się nieprzyjaciel i skąd go czekać.

Wówczas dopiero przekonali się Europejczycy, jak poważne grozi im niebezpieczeństwo. Przed bramą zgromadził się wielotysięczny tłum. Piki, miecze, halabardy połyskiwały tam gęsto złym, zimnym blaskiem. Nad ławicą głów ludzkich powiewały wielkie czerwono-czarne chorągwie „bokserów” niby ruchliwe skrzydła olbrzymich nietoperzy. Oblężeni dostrzegli rozsiane w tłumie liczne czerwono-czarne mundury „bokserów”, czyli powstańców znaku „Wielkiej Pięści” - zaklętych wrogów europejskiego najazdu.

Chińczycy olśnieni blaskiem na znanych im reflektorów elektrycznych w pierwszej chwili ucichli. Ci, co siedzieli na ścianach, pochylili się, a nawet wielu ześlizgnęło się z powrotem na dół. Ale zamieszanie trwało niedługo. Rychło powstańcy dali salwę do elektrycznej latarni i ciosy w bramę posypały się ze zdwojoną siłą. Strzały nie zrobiły wielkiej szkody; kule odskakiwały od ciosowego obszycia budynku i nie trafiały ani w opancerzoną latarnię, ani w wąskie niby strzelnice okna. Europejczycy odpowiedzieli salwą również i w szeregach oblegających rozległy się krzyki gniewu i jęki boleści. Tłum chyżo pierzchnął z oświetlonych miejsc w ciemności i uciekał przed ścigającym ich snopem światła, za którym w ślad leciały kule coraz celniejszych strzałów.

Ale napad na bramę ukryty za murami ogrodzenia nie ustawał; zamki i wrzeciądze gięły się i pękały, zawiasy puszczały, ciężkie podwoje wypaczyły się poczwarnie - już nie mogły się długo opierać.

- Byle tylko do tego czasu rozgorzał na podwórcu stos!... - powtarzał niecierpliwie dyrektor. - Ach, byle rozgorzał, byle było widno!... Już poczęstujemy wtedy nicponiów zacnie!... Nie posmakują im nasze ołowianki... Znów dać im pigułkę!...

Rozległ się strzał i odpowiedział mu przeraźliwy, zamierający krzyk.

Ogniste oko latarni w dalszym ciągu szukało po ścianach i zakątkach fabryki nowych ofiar - zbyt śmiałych lub nieostrożnych. Wkrótce zginęli lub znikli pojedynczy wojownicy, a reszta schowała się przerażona. Jedynie tłum u bramy pracował dalej, bijąc taranami.

Stos na podwórzu rozgorzał - zalał czerwonym blaskiem opustoszałe wnętrze fabrycznego dziedzińca i krwawą łuną buchnął wysoko w powietrze ponad murami. Zrobiło się jasno jak we dnie; było wybornie widać, jak huczące i pojękujące od strasznych uderzeń wrota drgają, wyginają się, chylą... Ucichła wrzawa, umilkły krzyki, przekleństwa, pojedyncze głosy, wszystko skupiło się w łomocie ciosów, spadających na wybijane podwoje. Wreszcie upadły z trzaskiem i w ciemnej paszczy odźwierzy zamigotały figury „bokserów” [1].

- Pal! — syknęła komenda europejska.

Z okien budynku buchnęły sine błyskawice, zagrzmiała ogłuszająca salwa, tłum w bramie zakotłował się, cofnął, po czym znów napłynął i z groźnym, wściekłym rykiem wylał na dziedziniec niby krwawa, czarna rzeka.

Wtedy Europejczycy dali ognia po raz drugi i zaczęli jednocześnie strzelać z małej kartaczownicy, ustawionej w szczytowym oknie. Tłum napastników zawył, zajęczał, zwinął

[1] Bokserzy - zob. posłowie.

się jak raniony wąż, ale pchany z tyłu, nie przestał się posuwać. Białawy dym strzałów ukrył go na chwilę przed oczami obleganych. Słyszeli wszakże jego nieustający pomruk, podobny do sapania stada szturmujących tygrysów; słyszeli szczęk oręża o kamień, szmer i stuk posuwanych i przystawianych drabin, wściekłe uderzenia w żelazną zasłonę drzwi, w mury fundamentu...

Europejczycy strzelali w dół na oślep, rzucali małe ręczne granaty, aż spostrzegli tuż za kratami okien oko w oko ze sobą okropne, wykrzywione nienawiścią, dyszące zemstą twarze powstańców z wyszczerzonymi zębami i błyskającymi jak u wilków oczami... Wtedy broniąc się pełni zgrozy i zapamiętania zaczęli strzelać wprost w te ludzkie twarze, przykładając im nieledwie lufy do oczu i ust... Strzały padały nieustannie, zlewając się w jeden przeciągły, okropny trzask, kule gwizdały, ranni wrzeszczeli, wyli, przeklinali... Cicho padali zabici.

Chińczycy nie mogli wiele szkodzić Europejczykom; broń palną mieli złą, starą, strzelali jedynie z dołu i rozbijali więcej szyby w oknach, niż ranili ludzi. Ci zaś, co wdrapali się po drabinach na górę, daremnie silili się dosięgnąć oblężonych swymi pikami i mieczami; śmiałkowie, zanim ich tknęli, padali trafieni kulami i spychali stojących pod nimi na szczeblach towarzyszy.

Walka trwała nie więcej jak kwadrans, po czym Chińczycy cofnęli się bezładnie, unosząc zabitych i rannych. Czarni od dymu prochowego, odurzeni jego czadem, wychudli i postarzeli w ciągu tych krótkich chwil walki, jakby one trwały lata - Europejczycy upadali z wyczerpania na miejscu, gdzie kto stal: na podłogę, na krzesła i ławy. Bali się oddalić od okien, oczekując co chwila ponownego napadu.

- Wody!... Pić!... - wołali niektórzy ochryple.

Inni oglądali swe rany i obrażenia, z których broczyła się kroplami krew.

Napad jednakże nie powtórzył się. Oblężeni przyszli do siebie, naprędce posilili się chlebem z wodą, postawili straż i usnęli twardym snem krzepiącym.

Brzeski, któremu wypadł los pilnowania w pierwszej kolei, wyjrzał przez okno.

Różowy blask zorzy łagodnie rumienił błękitne niebo, białe, poobijane kulami i pociskami mury budowli fabrycznych, kałuże krwi na dziedzińcu, porozrzucane tu i ówdzie części odzieży chińskiej oraz oręża. Dym dopalającego się ogniska ćmił co chwila zmiennymi, przykrymi cieniami ten smutny obraz ruiny i zagłady. Przez wyłamaną bramę, której wierzeje zwieszały się jak zgruchotane skrzydła ptaka, widać było w głębi bladoróżową wstęgę rzeki. Cicho sunęły po niej dżonki w pogodną dal, zasnutą mgłą poranną...

XXVI

Cały dzień Chińczycy nie dawali znaku życia.

Dopiero przed wieczorem zjawił się parlamentarz wymachując zieloną gałęzią. Powiedział, że Fu Du-tun * miasta chciałby pomówić z zamorskimi ludźmi i pyta, czy zechcą mu udzielić chwilę uwagi. Rozumie się, że oblężeni przystali natychmiast; wkrótce więc wszedł na podwórze orszak dygnitarza i on sam ukazał się pod czerwonym parasolem z podwójną frędzlą.

- Dostojni goście i przyjaciele, znacie mię i pamiętacie, że zawsze czciłem was godnie i otaczałem opieką. Obecnie również przychodzę do was powodowany współczuciem. Nic nie mam osobiście przeciwko temu, aby cudzoziemcy mieszkali wśród nas, dzieci Środkowego Państwa, aby zbierali i dorabiali się bogactw naszą pracą. Ale lud nie chce tego. Lęka się, że zamorscy goście, wzrósłszy w liczbę, zechcą zostać gospodarzami kraju, wprowadzić swoje

[1] Fu Du-tun, właśc. fu tatung (chiń.) - naczelnik (przyp. aut.).

prawa i obyczaje, swój język i swoją wiarę przemocą, jak były już tego wielokrotnie w mojej ojczyźnie przykłady... On żąda, abyście odeszli zawczasu... Powstał i grozi śmiercią każdemu, kto go nie usłucha. Chce zgładzić zamorskich gości, aby przerazić innych... Nie mogę pozwolić na to, ponieważ długi czas mieszkaliście tutaj spokojnie pod moją opieką... Odpowiadam za wasze życie i całość... Lękam się, że nie są one obecnie dość zabezpieczone... w miejscu teraźniejszego waszego pobytu. Dlatego proponuję wam, abyście wyszli z waszego ukrycia i oddali się pod moją obronę... Otoczę was wierną i mężną strażą w dostatecznej ilości i doprowadzę do miejsc bezpiecznych lub wyślę na południe do portów, gdzie mieszkają wasi rodacy... To będzie najrozsądniej, gdyż tym sposobem przerwiemy niepotrzebny rozlew krwi i uratujemy życie szlachetnych ludzi zamorskich... - tłumaczył Brzeski mowę dygnitarza.

Propozycja była tak niespodziewaną i dziwną, że oblężeni poprosili o czas do namysłu i narady.

- Zgoda!... - odpowiedział chiński urzędnik. - Choć położenie rzeczy jest jasne, ale sprawa przedstawia się tak poważnie, że nie należy rozwiązywać jej okręciwszy palec około palca!...

- Cóż powiecie, panowie?! Zdaje się, że radzi dobrze!... - bąknął niepewnie dyrektor.

- Za nic!... Zasadzka! - krzyknął buchalter. - Trzymają się wszyscy razem, i motłoch, i mandaryni, sprzysięgli się na nas i zgładzą nas bez litości, gdy do rąk dostaną!...

- Cóż więc robić i co mu odpowiedzieć?...

- Myślę, że należałoby w każdym razie dobrze się zastanowić!... - zauważył starszy urzędnik z biura, który przemieszkał w Chinach z górą lat dwadzieścia. - Wydaje mi się, że należy przewlec pertraktacje... Każdy dzień zwłoki dla nas wygrana, gdyż wieści o zaburzeniach bez wątpienia dojdą niezadługo do kolonii naszych w miastach portowych i stamtąd przyślą nam pomoc... Niech więc Fu Du-tun, skoro jest takim naszym przyjacielem, da znać o wypadkach naszym rodakom, niech przywiezie list od naszego konsula, a poddamy mu się natychmiast... Lepiej jeszcze, jeżeli zażąda od siebie, aby wysiano nam na odsiecz żołnierzy europejskich i statek wojenny... Do tego czasu ma być zawieszenie broni... A my napadać nie będziemy, ani na nas nikomu napadać nie będzie wolno... Fu Du-tun zabierze i wyśle niezwłocznie nasze listy do konsulatu w Szan-chaju oraz dostarczy nam żywności.

Wszyscy przyznali, że warunki są obmyślone zręcznie, i zgodzili się na nie.

- Niemożliwe żądania!... - odpowiedział Chińczyk, gdy Brzeski powtórzył mu powyższą propozycję. — Cały kraj pełen uzbrojonych włóczęgów, lud wzburzony nie słucha już władzy... Gońcy z listami mogą zginąć, w każdym razie odpowiedź od konsula przyjdzie nierychło, a tymczasem was wymordują.

- Dobrze! Dziękujemy mu! Niech się o nas nie troszczy!... Jedzenia i prochu mamy dość... O żywność prosiliśmy, aby wypróbować jego przyjaźń!... A dla naszego bezpieczeństwa od nagłej napaści, niech otoczy fabrykę własnymi żołnierzami i nie dopuszcza czerni do bitwy.

- Jeżeli natychmiast nie poddacie się dobrowolnie, każę sprowadzić armaty i zburzę wasze podłe gniazdo!... Czy myślicie, że ujdzie wam bezkarnie śmierć tylu walecznych? Dziesiątki ludzi zamordowaliście dzisiaj! Wychodźcie natychmiast na łaskę i niełaskę naszą, rozkazuję wam!... - krzyczał urzędnik rozwścieczony odmową.

Tłum, przysłuchujący się u wrót, głucho zaryczał. Zdawało się, że grozi nieoczekiwany napad i Europejczycy wysunęli z okien lufy karabinów.

- Rude wściekłe psy i zbóje!... Po coście przyszli do naszego pięknego kraju uprawiać morderstwa!? Czyżeśmy wzywali was?!... Czyście nam potrzebni?... Nie chcemy waszych sztuk i waszej wiedzy... Wolimy wolność!... Zginiecie jak muchy! Zamorzymy was głodem, gdyż wszyscy razem niewarci jesteście życia jednego z braci naszych. Umiejętni zabójcy i rabusie!... Cała wasza nauka to mord i grabież innych! - wrzeszczeli i wygrażali im Chińczycy cofając się pośpiesznie.

Europejczycy czujnie strzegli swych pozycji. Warty regularnie zmieniano co kilka dni, a w nocy białe oko latarni snopem olśniewających promieni wciąż obszukiwało bramę, mury, podwórza i ciemne kąty. Węgli do elektrycznej maszyny mieli w piwnicach znaczny zapas, wodę doprowadzał z rzeki ukryty wodociąg. Chińczycy zachowywali się cicho i ostrożnie. Jedynie z pewnych drobnych szczegółów, z głów ludzkich pojawiających się niespodziewanie w miejscach nieodpowiednich, z nieuchwytnych sygnałów, ze świstów, tupotu nóg za ścianami, domyślali się oblężeni, że są osaczeni ze wszystkich stron i pilnie strzeżeni we dnie i w nocy, i że coś przeciw nim tam gdzieś się knuje... Od czasu do czasu obok wywalonej bramy przechodziły małe uzbrojone oddziały, a na dżonkach z biegiem rzeki płynęły zbrojne tłumy w powstańczych czerwono-czarnych mundurach.

Raz Brzeskiemu wydało się, że dostrzegł wśród „bokserów" swego byłego Siań-szena, zaginionego bez śladu „Władcę Wrót Zachodnich". Odgrywał on wśród nich rolę starszyzny, gdyż miał na piersiach wielki amulet, owinięty żółtą szmatą jedwabną, i od czasu do czasu przemawiał do nich z przejęciem i dzikimi gestami.

Po paru dniach Europejczycy przekonali się, iż Chińczycy szczędząc życia swych sprzysiężonych postanowili oblężonych zamorzyć głodem. W ten sposób powstała kwestia żywnościowa. Żywności mieli zaledwie na parę tygodni. Na wypadek zepsucia wodociągu zaczęli w podziemiu kopać studnię.

- Główna rzecz, aby wygrać na czasie!... Niepodobna, aby w Szan-chaju nie dowiedziano się nareszcie o naszych nieszczęściach!... - dowodził dyrektor.

- Ale jeżeli i tam już wybuchnęło powstanie i postąpiono z Europejczykami jak z nami? Przecież ocalił nas wypadek!... Naówczas wyzwolenie opóźni się... Nie na tygodnie liczyć musimy czas, lecz na miesiące... - zauważył posępnie buchalter.

- O tak!... Wtedy źle!... Nie starczy nam ani węgla, ani żywności... Gdy zgaśnie elektryczne oko, zdobędą nas w nocy podejściem...

- Opału mamy jeszcze dużo. Gorzej z żywnością...

- Należy zaraz zarządzić oszczędności, określić minimalne porcje i obliczyć je! Doprawdy, panowie, przy dobrych chęciach moglibyśmy nawet zmniejszyć ich liczbę... - począł zniżonym głosem dyrektor. - Mamy wśród siebie pięciu stróżów Chińczyków... Bez szkody dla nich moglibyśmy ich wydalić... niepostrzeżenie... Wyznaję, że nie mam do nich zaufania, a ustrzec się wroga wewnętrznego o wiele trudniej, panowie, niż zewnętrznego!... Pomyślcie o tym!

- Zamordują ich bez litości! - zauważył starszy urzędnik.

- Oni walczyli razem z nami! - dodał Brzeski.

- Cóż z tego, że walczyli? Bądź co bądź są Chińczykami i zupełnie naturalnie współczują i ciążą ku swoim. Źle będzie z nami, jeżeli się z nimi zwąchają... Wydadzą nas!

- Ależ wypędzić ich na pewną śmierć nie mamy prawa!...

- Dlaczegóż zaraz na śmierć!? Kruk krukowi oka nie wykole! Okoliczność, że wypędziliśmy ich, będzie świadczyła w oczach naszych wrogów na ich korzyść!...

- W każdym razie należy ich spytać, czy zgodzą się opuścić twierdzę! - nastawał Brzeski.

Stróże, krajowcy, jak gdyby domyślali się, że o nich mowa, zebrali się w jednym kącie i stamtąd wyczekująco i trwożnie spoglądali na swoich panów. Kiedy powiedziano im, o co chodzi, upadli na kolana i zaczęli błagać o litość.

- *Kan-ta-mi!* [1] Głowa... precz... ni-ma!... - powtarzali żałośnie w łamanym „gołębim" narzeczu.

Zostawiono ich w domu, gdyż głosy współczucia, litości i sprawiedliwości przeważyły wśród oblężonych na razie. Ale kiedy w parę dni potem jednego z nieszczęśliwych schwytano

[1] Kan-ta-mi, właśc. kantrami - obcięcie głowy; zniekształcone określenie w dialekcie północnochińskim, używane przez Rosjan w Chinach.

na rozmowie za pomocą tajemnych sygnałów z chowającym się za ścianą powstańcem, znowu była podniesiona kwestia wydalenia z maleńkiej twierdzy krajowców i tym razem przemógł strach o własne życie. Jedynie Brzeski sprzeciwiał się do końca.

- Pan wkrótce strzelać do nich nie zechce! - gniewnie wyrzucał mu dyrektor.

- Bardzo być może! - odpowiedział młodzieniec. — Doprawdy nieraz już przychodziło mi do głowy, jakim prawem poważamy się zabijać ich za to jedynie, że oni nie chcą nas puszczać do własnego kraju?! Przecież oni mogą robić u siebie, co im się podoba!...

- Ba! Cóż z tego, że mają prawo: mają prawo, a my mamy siłę...

- Nie bardzo!... Zresztą w takim razie i oni mają prawo... nas wymordować! - odgryzł się Brzeski.

- Trzeba śledzić za chłopakiem, żeby czasem nie spłatał nam jakiego figla!... Schińszczył się zupełnie! - szepnął dyrektor na stronie do buchaltera.

Ten kiwnął znacząco głową.

- O, krótka z nim sprawa!... Byle co, a kula w łeb!... Czasy rzeczywiście... wojenne!

- Hm!... Po co zaraz tak ostro!? Siostrzeniec właściciela i jedyny spośród nas dobry znawca języka chińskiego... Może się nam bardzo przydać... Ale oczów zeń nie spuszczać!... - potwierdził dyrektor.

I istotnie nie spuszczano zeń oczów, śledzono ostrożnie i podejrzliwie.

Brzeski tymczasem wciąż przemyśliwał, jakby uratować jednych od śmierci, drugich od zbrodni, jak przerwać lub udaremnić okropną nadchodzącą walkę.

Stróżów-krajowców wyrzucono.

Kiedy na kolanach ci podpełzli ku wrotom, powstańcy porwali ich natychmiast i powlekli do swego obozu.

Nazajutrz stracono ich w bramie w oczach Europejczyków.

- Tak postąpimy z każdym zdrajcą ojczyzny!... - krzyczeli w uniesieniu krwawo-czarni „bokserzy”. - Z wami uczynimy to samo!... Poczekajcie, rude psy!...

Europejczycy stracili zimną krew i zaczęli strzelać; odpowiedziano im również kulami. W rezultacie do ściętych, okrwawionych kadłubów przybyło kilka jeszcze trupów.

Oblężeni sposępnieli i upadli na duchu. Dnie mijały w ckliwym i napiętym oczekiwaniu. Brzeski wciąż rozmyślał o swoim... Wspominał również matkę, Lień, Siań-szena, straconych za pierwsze rozruchy robotników, młodego Szuń-Tzi, Serge'a, który nie wiadomo za co zginął w kwiecie wieku, myślał o całej tej dziwnej i krwawej girlandzie wypadków, wreszcie rozmyślał o swoich marzeniach, o tym, jak pogodzić cały świat... Zapewne i reszta oblężonych myślała i wspominała podobne rzeczy, lecz przede wszystkim przemyśliwali wszyscy usilnie o sposobach ratunku.

- Gdyby jakkolwiek... dać znać do Szan-chaju!... Gdyby pan, panie Brzeski, odważył się na przykład... wyjść... jakkolwiek... niepostrzeżenie... - bąkał dyrektor. - Jedyna to dla nas nadzieja!... Pan umie tak dobrze po chińsku... Zna ich obyczaje, ruchy...

Brzeski nic nie odpowiedział.

Ogarnęła go nagła trwoga, nieprzezwyciężona odraza. Przecież Chińczycy złapawszy jeńca nie zabiją go od razu, lecz męczą długo, boleśnie... skórę nieraz zdzierają pasami!... Przecież dyrektor wie o tym, a jednak żąda odeń takiego poświęcenia!... Chińczycy schwytawszy go na pewno zechcą pomścić na nim śmierć tylu zabitych towarzyszy!... Jak będzie bronił się przed oskarżeniami? Co im odpowie? „Po coście przyszli tu do nas? myśmy nie wzywali was!” - przypomniał sobie wykrzyki powstańców. Czy w razie ujęcia będzie miał prawo zabijać ich nawet w swojej obronie? Przecież sam postawił się w obecnym fałszywym położeniu?!

Całą noc rozmyślał Brzeski nad tymi pytaniami i gorące pragnienie znalezienia bezkrwawego ratunku dręczyło go jak zmora. Nad ranem wezwano go z kolei do kopania studni... Dłubiąc w ziemi przy świetle latarni, przypomniał sobie opowiadanie matki o ucieczce

więźniów w 63 roku podziemnym przejściem, wykopanym przez nich pod murami i ogrodzeniem więzienia. Jeżeli uczynić to mogli pozbawieni wszystkiego więźniowie, rzecz prosta, że o wiele łatwiej mogą wykonać oni; posiadają potrzebne narzędzia: łopaty, kilofy, świdry ziemne, taczki... Na domiar mają zupełną wolność ruchu - nikt ich nie strzeże wewnątrz, nie przeszkadza jak w więzieniu dozorcy!

Zacząć należy tunel w piwnicy narożnej i wyprowadzić daleko poza mur zewnętrzny aż na plantacje herbaty, gdzie łatwo ukryć się po wyjściu. Stamtąd prześlizgnąć się nad rzekę, zabrać łódź i puścić się z biegiem wody... Skoro znajdą się w łodzi, połowa trudności zostanie usunięta...

- A czy nie lepiej po prostu dziś jeszcze zrobić zbrojną wycieczkę, napaść znienacka na nieprzyjaciela, zawładnąć łodziami i uciekać pod osłoną strzałów?... - radził starszy urzędnik biurowy, z którym Brzeski podzielił się nazajutrz swym pomysłem.

- O nie!... Plan Brzeskiego lepiej mi się podoba! - podtrzymał młodzieńca niezbyt odważny dyrektor.

Innym również bardziej trafił do przekonania rozsądny, spokojny i bezpieczny plan Brzeskiego.

- Owszem. Niech i tak będzie! W każdym razie należy spróbować... Nie będzie choć tak nudno i głupio jak teraz! - zgodził się wreszcie i starszy urzędnik. - Myślę jednak, że się nie powiedzie... Bruk ciężki, ściana również - zapadnie się wasz tunel!

- Będziemy go podpierali drewnianymi stemplami jak w sztolniach kopalni! Będziemy ostrożni!... po co ma się zawalić?! - odpowiedział Brzeski.

Oblężonych było dziesięciu. Postanowili nie tracić czasu, kopać dzień i noc bez przerwy, i podzielili się na kilka zmian. Aby nie zdradzić się przed Chińczykami, ziemię wynosili i wysypywali do jednego z pokoi, w którym wyrwali podłogę na podpory do tunelu. W tym celu powyrywali niedługo wszystkie deski w całym domu, gdzie się tylko dało, i lękali się, że jeszcze im nie starczy. Żałowali teraz bardzo, że spalili drewniany ganeczek, lecz nie wiadomo, czy udałoby się im go zabrać? Czy Chińczycy nie wdarliby się po nim do ich fortecy?...

- Nie warto żałować, czego naprawić nie można!... Róbmy, co postanowione, a dalej... zobaczymy! pomyślimy!... - pouczał innych buchalter.

Bardzo się teraz krzątał i udawał, że to on pierwszy wpadł na pomysł tunelu, lecz mimo to przewodnictwo całej roboty oddano jednogłośnie Brzeskiemu i wszyscy słuchali go teraz bez szemrania i oporu.

Z początku szło przebijanie tunelu dość pomyślnie. Zbity grunt gliniasty dawał się łatwo wybijać. Pomimo to pracownicy bardzo się męczyli i szybko wyczerpywali. Korytarzyk musiał być mały, niski i ciasny dla braku drzewa na podpory, a głównie dla zaoszczędzenia czasu i pracy. Konieczny był pośpiech, gdyż Chińczycy istotnie, zdawało się, zamierzyli sprowadzić armaty, równali i poprawiali gorączkowo drogę, sypali wały, reduty na pobliskiej górze, panującej nad fabryką i całą doliną.

Trzeba było w tunelu pracować na klęczkach, a często nawet leżąco. Zepsute przez oddychanie, nie odświeżane wentylacją, zastałe powietrze wywoływało u kopaczy ciągłe zawroty głowy. Niekiedy z braku tlenu gasła świeczka. Wtedy kopacz szybko pociągał za sznur przywiązany do pasa, którego wolny koniec służył do wyciągania koszyków z ziemią. Czuwający na zewnątrz towarzysz dobywał go naówczas pośpiesznie, nieraz na wpół omdlałego. Musieli przekopać około piętnastu sążni. Każdy pracownik pod koniec swej zmiany miał wrażenie, że nigdy nie uda im się własnymi słabymi siłami dokonać tego ciężkiego zadania. Korytarz tymczasem wydłużał się stale. Trafiali też na nieprzewidziane wprost trudności. Raz zagrodził im drogę wielki głaz, który musieli ominąć; drugi raz wyskoczyła podpora i ogromna bryła ziemi zawaliła pracownika. Wydobyto go stamtąd bez przytomności.

Kopano w głębokich ciemnościach słabo rozwidnionych bladym płomieniem świecy. Dokoła wisiały czarne, niemiłosierne, twarde wiszary, czyhające na najmniejszą nieostro-

żność, aby połknąć śmiałków. Kierunek wskazywała im igła kompasu, a strzegł ich od zbytecznego zagłębienia się w ziemię lub wykopania na powierzchnię poziomnik wodny, mała rureczka pełna wody z kulką powietrza pośrodku. To oraz cykający miarowo zegarek byli jedynymi towarzyszami samotników, kopiących kolejno jak krety wyjście na wolność.

Nareszcie kopacze obliczyli, że są blisko muru okalającego fabrykę. W parę godzin potem trafili na dolny brzeg jego fundamentu, przebili go jak bramę i poprowadzili swój podziemny korytarzyk pod polem. Wobec tego musieli zachowywać szczególne ostrożności, unikać hałasu i umacniać starannie strop, aby warty chińskie przechodzące nad ich głowami nie zapadły się czasem pod ziemię. Częstokroć słyszeli głosy i kroki Chińczyków tak blisko, że zamierali bez ruchu z przerażenia. Przypuszczali, że wykryto ich, że lada chwila oblegający zaczną wykopywać ich jak lisy z jamy... Choć więc dyrektor żądał, aby tunel wydłużyć ile się da w pole, oblężeni, znękani ciągłymi wzruszeniami i pracą nad siły, postanowili nie zwlekać ucieczki. Obfitość korzeni, które również bardzo utrudniały robotę, umocniła ich w przekonaniu, że już dosięgli krzewów herbacianych.

- Lecz jeżeli mylicie się?!... Jeżeli otwór przebijecie na otwartym miejscu albo - gorzej - pod placówką „bokserów”?! Co wtedy? - pytał dyrektor.

- Wtedy... zginiemy! - cicho odpowiedział Brzeski.

- Nie chcę ginąć! I dlatego żądam, aby tunel dalej kopano!...

Znów jednak przegłosowano dyrektora. Umierał ze strachu, ale musiał ustąpić. Tym bardziej że zewnętrzne przyczyny natury wojennej przemawiały bardzo przekonywająco za zdaniem większości. Na reducie zabłysło podłużne cielsko miedzianej armaty, a wieczorem zagrzmiał pierwszy wystrzał próbny. Pocisk przeleciał nad domem i zatopił płynącą na rzece dżonkę. Zmieszało to Chińczyków i odłożyli bombardowanie do dnia następnego.

Wydarzyła się noc bardzo odpowiednia dla ucieczki - ciemna, chmurna noc jesienna. Oblężeni, przebrani za Chińczyków, uzbrojeni w rewolwery, z małymi workami z żywnością na plecach - zgromadzili się w głębokiej ciszy i wielkim wzburzeniu w piwnicy u wejścia do tunelu, w którego drugim końcu Brzeski przebijał właśnie wyjście. Nareszcie umówiony znak sznurem i przypływ zimnego, świeżego powietrza oznajmił im, że przejście otwarte. Ostrożnie po dwóch popełzli korytarzykiem na klęczkach. Nie potrzebowali światła, gdyż każdy z nich znał na pamięć najmniejsze zakręty i najdrobniejsze nierówności tylekroć odwiedzanego przejścia.

U wyjścia czekał na nich Brzeski i wskazywał dalszą drogę. Na szczęście z tej strony Chińczycy zaniedbali postawić straże, co znacznie ułatwiło wyjście. Sądząc z linii ognisk, warty były stąd uprowadzone pewnie przez ostrożność od strzałów armatnich i wyciągnięte z obu stron długimi równoległymi liniami od reduty do rzeki. Zbiegowie musieli przedrzeć się przez nie, lecz nie potrzebowali czynić tego zaraz, co wprawiło ich w doskonały humor. Z radością uwolnionych więźniów rozglądali się po roztaczającym się dokoła przestworzu pól.

- Śpieszcie się!... Ostrożnie!... chyłkiem!... naprzód!... - powtarzał Brzeski.

Znów popełzli na czworakach wśród niskich krzewów. W obozie Chińczyków na stoku góry żołnierze śpiewali pieśni i brzdąkali na trzechstrunnej gitarze krajowej; u ogni, ku którym zbliżali się zbiegowie, wartownicy spali spokojnie lub łatali podartą odzież.

Nastała chwila stanowcza; zbiegowie dosięgli strażniczej linii i kryjąc się w cieniu krzewów przed bladą łuną stosów przekradali się przez łańcuch pikiet. Ogniska płonęły dość słabo i były rozrzucone daleko, mimo to jeden z szyldwachów widocznie coś usłyszał, gdyż zerwał się na nogi i spojrzał uważnie w ciemności... Dziki krzyk, od którego Europejczycy drgnęli, przeciął powietrze i powtarzany poleciał od ognia do ognia wzdłuż całej linii.

- Ani kroku!... Przytulić się do ziemi!... - syknął Brzeski na kilku zbiegów, którzy w popłochu chcieli się zerwać i biec.

Wkrótce rozległy się kroki patrolu, idącego drożyną wzdłuż łańcucha pikiet. Lecz zbiegowie już byli poza łańcuchem i nieruchome ich cienie zlały się zupełnie z cieniami krzewów.

Stłumili oddech i przyszykowali rewolwery do strzałów na wszelki wypadek. Patrol przeszedł tak blisko, iż przy słabym blasku dalekich ogni zauważyli najmniejszy szczegół jego uzbrojenia: powstańcy mieli broń europejską - karabiny i ładownice, na głowach czarne turbany, a na piersiach krótkich kaftanów ciemnych - wyszytego smoka, jak armia rządowa.

Gdy trwoga ucichła, zbiegowie popełzli dalej, a wydostawszy się ze smugi światła powstali i chyłkiem szybko pobiegli za Brzeskim w kierunku ogrodów klasztornych, dalej od zdradzieckiej drogi, rzeki i miasta.

Kiedy następnie już w pobliżu jaru, gdzie niegdyś mieszkał Brzeski, spuścili się ku rzece, aby poszukać łodzi, przekonali się ku swej rozpaczy, że nie ma na brzegu najmniejszego nawet stateczka.

- Przebiegłe lisy!... Zapewne kazali zniszczyć albo uprowadzić wszystkie łodzie, żeby nam ostatecznie odciąć ucieczkę... - zauważył ochrypłym od wzruszenia głosem dyrektor.

- Co robić?

- Nie ma wyboru. Do miasta przecie wrócić nie możemy... Idźmy do klasztoru!

- Tak!... tam być może znajdziemy cokolwiek... lub pomogą panu, panie Brzeski... znajomi pana!... - bąknął buchalter, lecz umilkł nagle, spotkawszy się ze spojrzeniem młodzieńca. Przypomniał sobie, ile to razy zupełnie niesłusznie wymyślał i obgadywał głośno rodzinę Siań-szena, byle tylko dokuczyć Brzeskiemu.

Zbiegowie wrócili więc znowu na pola herbaciane i pod ochroną plantacyjnych zarośli, krążąc z daleka, dostali się do klasztornych ogrodów.

Wszystko tam spało w głębokiej ciemności i ciszy. Nawet wietrzyk powiewający nad polami nie przenikał w gęstwiny i czułe dzwoneczki szklane zwieszały się nieme z gałązek. W grubym mroku gajów i krzewów, wśród potężnych i rozłożystych drzew zbiegowie poczuli się raźniej i posuwali chyżo ścieżkami, prowadzeni przez Brzeskiego. Ten w jarze kazał im się schować w gęstwinę, umówił się z nimi co do sygnałów, czasu oraz innych nieprzewidzianych wypadków i ruszył z bijącym sercem ku byłemu swemu domowi. Wstrzymali go.

- A co... jeżeli pan... tam znajdzie... „bokserów”? Przecież stary przyłączył się do nich?! - spytał ze współczuciem starszy urzędnik biura.

- Cóż robić?...Nie ma innego wyjścia!...Również jeżeli ona odmówi pomocy, zginęliśmy...

- A czy one nie wydadzą nas! Czy nie zawołają żołnierzy?! - wypytywał dyrektor.

- Pan zapomina, że dziewczyna ta już raz uratowała nas... - posępnie odparł Brzeski.

- Zapewne. Ale wtedy myśmy jeszcze nie zabili tylu jej rodaków!

- Niech pan poradzi coś lepszego!

- Pójdźmy lepiej w górę rzeki, aż znajdziemy gdziekolwiek łódź!...

- Możemy zajść bardzo daleko, a mimo to nic nie znaleźć... Nikt z nas nie zna dobrze brzegów i wiosek okolicznych. Znalazłszy wreszcie łódź, będziemy musieli wracać i we dnie przepłynąć mimo miasta... Wszak droga nasza na południe, z prądem... O tym zaś, żeby się schować do następnej nocy w miejscowości tak zaludnionej jak tutejsza, trudno marzyć... W dodatku rano odkryją zapewne oblegający naszą nieobecność w fabryce...

- Racja. Idźcie, śpieszcie się, Brzeski!... Ale... jeżeli nie wrócicie, co mamy czynić?!

- Wtedy szukajcie lodzi, jak mówiliście przed chwilą, i przeprawiajcie się co rychlej na drugą stronę... Tam może znajdziecie jaki park lub las, gdzie we dnie można będzie się schować, gdyż z tej strony... nie wiem o innych prócz tego, ot, klasztornego...

- A więc niech pan już... idzie... i wraca co prędzej!

Brzeski śmiało wszedł w znaną mu aleję, przebył mostek, przeskoczył mur umajony pianą bluszczową i głęboko wzruszony znalazł się na maluchnym podwórku z wazami kwiatów po rogach... Ile godzin spędził tutaj ongi na przyjacielskiej gawędzie z rodziną wspaniałego „Władcy Wrót Zachodnich”!... Jak zmieniło się wszystko od tego czasu?! Już nie wyjdzie nikt na jego spotkanie z wesołym żartem i życzliwym uśmiechem na ustach... A

niech tam!... Niech się stanie, co ma się stać! Ale jak przedostać się do wnętrza domu?... Byle się nie pomylić i trafić, gdzie należy! Może dom został wynajęty przez innych lokatorów albo zakwaterowali się w nim żołnierze?!... Może Lień jest z matką przy ojcu w obozie „bokserów”?!...

Brzeski wyjął z kieszeni maluchną elektryczną latarkę, rzucającą za pociśnięciem guziczka błękitnawe światło i gasnącą według woli w mgnieniu oka. Zręcznie przedostał się przy jej pomocy na werandę, zdjął obuwie, otworzył ledwie domknięte drzwi i wszedł do środka. Rozkład domu znał wybornie. Prześlizgnął się cichutko w głąb i znalazł się niezadługo w pokoju kobiecym. Nacisnął guziczek latarki, aby odszukać, gdzie śpi Lień. Stara Chań-Wań poruszyła się niespokojnie na swym posłaniu, gdyż światło padło właśnie jej prosto w twarz. Na szczęście wypaliła przed snem porządną porcję opium, którego nie żałowała sobie z radosnej okazji powrotu męża. Za to Lień przebudziła się natychmiast i usiadła zdziwiona blaskiem tajemniczego światełka.

Światełko natychmiast zgasło.

- Kto tu?!... - spytała lękliwie.

- To ja, Lień... twój przyjaciel... nieszczęśliwy!...

- Jak to?... Więc już umarłeś i przyszedłeś pożegnać się ze mną? O święci mężowie Nieba i Ziemi!... Ostatecznie opuszczasz zroszoną łzami Ziemię Środkową?!... Umarłeś? Zabili cię! - bezdźwięcznie szeptała dziewczyna drżąc jak w febrze.

- Nie, nie umarłem!... Żyję... Uratowałem się, ale zginę, jeżeli nie pomożesz mi, jeżeli nie wskażesz mi, jak znaleźć łódź, którą mogli... byśmy... uciec... mógłbym... uciec... - poprawił się.

Dziewczyna szybko zarzuciła na siebie ubranie. Brzeski słyszał w ciemnościach, jak szeleściła jej odzież jedwabna, a jednocześnie jak szczękały jej drobne zęby.

- Łodzi?! Łodzi nie ma! Wszystkie większe statki kazał dowódca wojsk zniszczyć albo przeprawić na tamten brzeg rzeki... Musicie dostać się tam... Mnisi ukryli dla swych potrzeb maleńkie czółenko, ale w nim z trudnością pomieści się zaledwie troje!... Pokażę go wam!... Uciekaj, drogi przyjacielu!... Nie wiesz, jaką straszną gotują wam śmierć!... O tak, nieszczęśnicy! Zabiliście dużo moich rodaków, ale mimo to nie mogę... nienawidzieć ciebie, I!... Co pocznę? Byłeś zawsze dobry i wyrozumiały dla mnie... ratowałeś nas nawet wtedy, gdy inni... Uciekaj, uciekaj, cudzoziemcze!... Czas uchodzi, noc mija, a gdy poznają was... Uciekaj i... w kraju własnym, w kraju szczęśliwym... wspomnij czasem biedną, Czarnogłową Lień!... Lecz nie wracaj, już nigdy nie wracaj!... Ludzie stworzeni, aby mieszkać w swojej ojczyźnie... Cierpimy od cudzoziemców, gdy są źli, i podwójnie cierpimy, gdy są dobrzy... Przecież ty nie mógłbyś stać się Chińczykiem!? Po co więc przyszedłeś tutaj?! Czy ojczyzna przebaczy mi kiedy moją zdradę?... Przecie wyście mordercy Chińczyków!... Jednak nie mogę, nie mogę wyobrazić sobie... że ty rychło możesz umrzeć... gdy odmówię ci pomocy... że z twej rozdartej piersi wyjmą twoje dobre serce!...

Dziewczyna schwyciła drżącą ręką Brzeskiego i szepcząc jeszcze niezrozumiałe wyrazy, cała wstrząsana trwogą i wzruszeniem, powiodła go przez podwórko do parku, do tego jego końca, który przylegał do rzeki. Tam wskazała mu schowane w krzewach bambusowych czółenko.

Kiedy Brzeski świśnięciem wezwał towarzyszy, Chinka na króciuchną chwilkę objęła go i przycisnęła się doń lękliwie:

- Pamiętaj: na tamtej stronie są łodzie, dużo łodzi!... Trzymajcie się tamtego brzegu!... Tam spokojnie, tam nie spodziewają się was... Uciekajcie, uciekaj, szlachetny cudzoziemcze... uciekaj chyżo i wspominaj... czasem biedną Lień, która nie zapomni ciebie... nigdy ... - powtarzała, trzęsąc się wciąż i kołysząc cała niby trawka w podmuchach wichru.

Głęboko wzburzony Brzeski nachylił się i pocałował kilkakroć serdecznie jej usta wilgotne, zimne z boleści, jej mokre od łez policzki. Cicho szeptał jej pocieszenia...

- Dziękuję, dziękuję!... Będę kochał twój lud i wspominał...

Towarzysze jego gotowali się tymczasem do przeprawy, podzieliwszy się na trzy oddziały.

Na przeciwnym brzegu znaleźli z łatwością wielką łódź i kiedy z ostatnim oddziałem przypłynął Brzeski, ostrożnie popłynęli z prądem.

Cichutko, nie postrzeżeni przez nikogo, prześlizgnęli się koło fabryki, wciąż obleganej po dawnemu, obok miasta, mętnie rysującego się w dniejącym zmroku, obok szeregu śpiących na kotwicach wielkich dżonek.

Różowy świt zastał ich daleko wśród wodnego zwierciadła błękitnej, szeroko rozlanej rzeki. Radość świeciła im z oczu, byli pełni otuchy i nadziei. Jedynie Brzeski wyglądał smutnie i był małomówny. Nie mógł pozbyć się i zapomnieć obrazu miłej, dobrej dziewczyny... Jej drżący, wzruszony głos brzmiał mu wciąż w uszach:

„Ludzie stworzeni, aby mieszkać w ojczyźnie... Po coś przyszedł? Wszak nie możesz zostać Chińczykiem!”

Nawet gdy po całodziennej żegludze spotkali łódź wojenną, wysłaną na ich ratunek, i gdy już bezpieczni, pewni życia, przenieśli się na jej pokład, Brzeski nie był w stanie pokonać bolesnego żalu i trwogi, uczucia jakiejś winy i wstydu...

Smutny powrócił do ojczyzny i smutnym już pozostał na zawsze: „Uchodź, cudzoziemcze! Cierpimy przez was, gdy jesteście źli, i cierpimy podwójnie, gdy jesteście dobrzy... Każdy naród ma swą dolę i swój kraj! Pozwólcie każdemu żyć, cieszyć się i zarządzać po swojemu!...” - szeptał mu nieraz w noce bezsenne drżący głos dziewczęcia.

Lecz samej Lień nigdy już nie zobaczył i nawet nie dowiedział się nigdy, co się z nią stało...

OD REDAKCJI

Wprawdzie *Zamorskiego diabła* czytamy dzisiaj jako książkę podróżniczo-przygodową warto jednak zwrócić baczniejszą uwagę na tło historyczne rozgrywających się w niej wydarzeń. Chiny bowiem, z jakimi się zetknął bohater powieści Sieroszewskiego, przeżywają okres wielkich i dramatycznych przemian. Zatamują się ostatecznie rządy mandżurskiej dynastii Cing, panującej od połowy siedemnastego stulecia; coraz brutalniejsza staje się ekspansja kolonialnych mocarstw europejskich, USA i Japonii ekspansja polityczna, militarna, a przede wszystkim gospodarcza; po licznych porażkach Chin w wojnach opiumowych (1840- 1860) i wojnie francusko-chińskiej (1884) dwór cesarski musi w końcu ustąpić przed siłą i godzi się na otwarcie kraju dla obcych mocarstw. „Otwarcie" to polega między innymi na tym, że obywatele państw obcych uzyskują w Chinach prawo eksterytorialności, daleko idące ulgi w sferze gospodarczej, możliwość bezkarnej penetracji obszaru cesarstwa. Symbolem obcego panoszenia się w Chinach staje się osławiona dzielnica poselska w Pekinie, na terenie której każda misja dyplomatyczna rozporządzała własnym kontyngentem wojska. W tak zwanych miastach otwartych odpowiednikami tych obcych ciał na ziemi chińskiej są dzielnice (koncesje, settlementy) wyjęte spod miejscowej jurysdykcji i rządzące się prawami poszczególnych państw kolonialnych.

Przekształceniu Chin w drugiej połowie XIX wieku w państwo półfeudalne i półkolonialne sprzyjała polityka dworu cesarskiego, ustępującego wobec kolonialnych grabieżców i dławiącego jedno po drugim powstania ludowe, które wybuchały pod hasłami równości społecznej i wyzwolenia narodowego spod panowania dynastii mandżurskiej oraz zrzucenia jarzma zależności gospodarczej od cudzoziemców. „Jan-guj-tzy" - jang kuejcy, czyli „zamorski diabeł", nie tylko w przenośni, ale i w rzeczywistości stał się synonimem zła. Zła, które rujnowało milionowe masy chłopskie i drobnych posiadaczy ziemskich; zła, które bezlitośnie wysysało resztki sił głodującej ludności w fabrykach; zła, które powodowało, że wielu Chińczyków (jak Wań Siń-li) przejmowało z pobudek materialnych obce obyczaje, sprzeczne z nakazami przodków, i wysługiwało się „zamorskim kudłaczom" i „długonosym barbarzyńcom", wyzyskując współrodaków.

Zamorskie zło, które za pomocą brytyjskich i francuskich armat wyważyło bramy do Chin, miało jeszcze jedno oblicze. Oprócz wymuszenia na rządzie chińskim wielu ustępstw politycznych i gospodarczych, mocarstwa kolonialne narzuciły mu układy zezwalające na zakładanie w Chinach kościołów chrześcijańskich oraz prowadzenie działalności duszpasterskiej i misyjnej wśród poddanych cesarza. Głosząc słowa braterstwa i miłości bliźniego, duchowni katoliccy, a później również protestanccy, nie tylko wspierali kolonialną politykę obcych mocarstw, ale i sami nie pozostawali w tyle za kupcami i przedsiębiorcami europejskimi i amerykańskimi, spekulując zbożem i ziemią, zakładając warsztaty i fabryczki, ciągnąc krociowe zyski z bezwzględnej eksploatacji mas chińskich.

Szczególnie odrażające dla przeciętnego Chińczyka, którego wielowiekowa cywilizacja przyzwyczaiła do tego, że rozmaite wierzenia i prądy religijne współżyją ze sobą w swoistej symbiozie, że wspólne wartości kulturowe znaczą więcej niż różnice wyznaniowe, było tępienie przez cudzoziemskich misjonarzy wierzeń chińskich: buddyzmu, taoizmu, kultu przodków, wiary w bóstwa lokalne. W pamięci narodu żywe wciąż były wydarzenia z czasów potężnego antymandżurskiego powstania tajpingów (1850-1864), którzy do swojego programu włączyli między innymi chrześcijańskie idee miłości bliźniego i sprawiedliwości społecznej. Powstanie zostało krwawo stłumione przez wojska cesarskie, wspierane przez oddziały europejskich i amerykańskich najemników, dokonujących masowych rzezi powstańców i spokojnej ludności z błogosławieństwem katolickich księży i protestanckich pastorów. Ruch tajpingów dał impuls licznym wystąpieniom narodowości niechińskich przeciw mandżurskiemu uciskowi. Do największych należały powstania Ujgurów, Huej (Dunganów) i innych narodowości wyznających islam, które zamieszkiwały północno-zachodnie tereny państwa. Odgłosy tych wydarzeń spotykamy w powieści, aczkolwiek o powstaniu tajpingów Sieroszewski nie wspomina w ogóle.

Ekspansji politycznej i ekonomicznej mocarstw kolonialnych w Chinach towarzyszyło uprzemysłowienie kraju - powstawały budowane przez zagraniczne firmy fabryki włókiennicze, kopalnie, zakłady przetwórcze, linie kolejowe, telegraficzne. Zderzenie tradycyjnych struktur gospodarczych z kapitalistycznym sposobem wyzysku powodowało reakcje w sferze społeczno-psychologicznej ludno-

ści chińskiej. Nierzadkie były wystąpienia przeciwko budowie zakładów przemysłowych, linii kolejowych czy telegraficznych, które przebiegając przez rozsiane szeroko po Chinach groby przodków naruszały w odczuciu Chińczyków równowagę czynnika ziemskiego i niebiańskiego i ściągały nieszczęścia na okolicę. Tak więc nie tyle kominy przetwórni herbaty, zatrudniającej Jasia Brzeskiego, co raczej miejsce jej usytuowania mogło się stać „ideową" przyczyną buntu chińskich robotników z przetwórni herbaty w In-kou.

Za wieloma tego rodzaju wystąpieniami ludności stały liczne w Chinach, wywodzące się ze średniowiecza, a nieraz i starożytności, tak zwane tajne stowarzyszenia - sekty religijno-mistyczne o zasięgu nawet ogólnokrajowym. Ideologię tych stowarzyszeń stanowiła mieszanina magiczno-mistycznych wierzeń ludowych, wsparta elementami bądź to taoizmu religijnego, bądź którejś ze szkół buddyjskich (np. wymienione w powieści sekta „niedziałania", sekta Biały Lotos). Członkowie wielu, jeśli nie wszystkich tajnych stowarzyszeń praktykowali rozmaite odmiany *wuszu* (kunsztu wojowania): walki wręcz z użyciem broni białej czy *kung-fu* wymagającej od adepta wysokiej sprawności nie tylko fizycznej, ale i duchowej. W nazwach poszczególnych odmian kunsztu wojowania najczęściej figurowało słowo *cüan* - pięść, np. Pięść Szaolińska, czyli metody walki wypracowane w buddyjskim klasztorze Szaolin (Shao-lin); Pięść Wewnętrzna - wywodząca rodowód z taoistowskiego klasztoru na górze Wutang (Wudang); Pięść Południowa - odmiany *wuszu* rozpowszechnione na południu kraju itp.

I He Cüan - Pięść Sprawiedliwości i Pokoju - tajne stowarzyszenie działające we wschodniochińskiej prowincji Szantung (Shandong), którego adepci uprawiali jedną z północnych odmian *wuszu*, stało się głównym organizatorem antymisjonarskich i antycudzoziemskich wystąpień w latach 1898-1899. W roku 1900 kierowane przez stowarzyszenie Oddziały Sprawiedliwości i Pokoju - I He Tuan - podjęły w Chinach Północnych działania bojowe wymierzone nie tylko przeciw cudzoziemcom, ale i dworowi cesarskiemu. Powstanie ihetuanów, które objęło również niektóre inne tereny kraju, zostało krwawo stłumione w roku 1901; z „bokserami", jak nazywano powstańców w Europie, rozprawiły się bezlitośnie wojska interwencyjne ośmiu mocarstw kolonialnych.

W tych właśnie przełomowych dla Chin czasach sytuuje Sieroszewski bohatera swej powieści - jednego z tysięcy Polaków, których losy w drugiej połowie XIX wieku przecięły się z losami narodu chińskiego. Byli wśród nich uprzedni zesłańcy, którzy za udział w powstaniu styczniowym i późniejszej działalności niepodległościowej znaleźli się na Syberii; inżynierowie, technicy i wykwalifikowani robotnicy, których Rosja carska wykorzystała jako forpocztę swej polityki kolonialnej na Dalekim Wschodzie; wreszcie różnego pokroju poszukiwacze łatwego życia. Ludzie, których łudzono szansą podniesienia statusu społecznego i majątkowego na nowych rubieżach Rosji w ramach realizacji „misji cywilizacyjnej białego człowieka". Tylko nieliczni spośród nich autentycznie zainteresowali się chińską kulturą czy stosunkami społecznymi w Państwie Środka.

Jaś Brzeski - jakim kreśli go Sieroszewski - jest postacią nietypową: jak mało który Europejczyk, mieszkający wówczas w Chinach, stara się poznać obyczaje, pojąć motywy działania i zrozumieć ludzi, wśród których żyje. Właściwa ocena świata, jaki go otacza, i rozgrywających się w nim wydarzeń przerasta jednak jego możliwości, ponieważ wartości wpajane mu od dzieciństwa okazują się nieprzydatne w zetknięciu z tym odmiennym kulturowo światem. I dlatego mimo szlachetnych pobudek ponosi porażkę, pozostając do końca intruzem - wyłącznie jednym z „zamorskich diabłów".

Będąc wiemy przyjętej konwencji, pisarz nie zaprzątał uwagi czytelnika tłem historyczno-politycznym ówczesnych Chin, nie zawsze troszczył się o ścisłość, gdy chodziło o nazwy, realia geograficzne czy choćby daty. Nigdzie na przykład nie wymienia lat, w jakich rozgrywa się akcja. Jedynie pośrednio można wywnioskować, że do Pekinu Jaś Brzeski dociera po roku 1881, a przed 1885 (między zawarciem traktatu petersburskiego a śmiercią Cuo Cungtanga), zakończenie natomiast przenosi czytelnika od razu w rok 1900, kiedy antycudzoziemskie wystąpienia ludności chińskiej nabrały zasięgu krajowego. Nie oznacza to oczywiście, że bohater spędził w Chinach kilkanaście lat - przeczy temu sama treść książki, a jedynie, że pisarz odstąpił od wierności chronologicznej.

W powieści pojawiają się nie istniejące faktycznie miejscowości: Chu-czen, In-kou, Wan-wań. W pierwszym przypadku, przy opisie Chu-czenu, pisarz posłużył się przypuszczalnie relacją rosyjskiej podróżniczki Aleksandry Potaniny o chińskim mieście pogranicznym Ta-czeng. W drugim miał niewątpliwie na myśli Hankou (obecnie część trójmiasta Wuhan). Miasto było wielkim ośrodkiem handlu herbatą, stąd transportowano ją rzekami, później jakami do Tybetu oraz Wielkim Kanałem, a potem na grzbietach wielbłądów przez Czangciakou, Urgę, Kiachtę do Rosji Środkowej; wożono ją także starodawnym „szlakiem jedwabiu" przez Lanczou do rosyjskiego Turkiestanu.

Nieprzypadkowo jednym z wątków swej opowieści uczynił autor „sprawy herbaciane". W latach osiemdziesiątych XIX wieku - od czasu jak Anglicy z powodzeniem opanowali uprawę herbaty w Indiach - Rosja stała się głównym odbiorcą herbaty chińskiej, a wpływy z jej sprzedaży sięgały połowy wpływów z chińskiego eksportu do Rosji. W tym samym czasie zaczęły w Chinach powstawać pierwsze rosyjskie przetwórnie herbaty, między innymi w Hankou. Co prawda herbata z tych okolic nie zaliczała się do. najlepszych, jednak sprzyjający klimat zapewniał dobre zbiory, a położenie miasta ułatwiało dostawę surowca z okolicznych regionów rzeką Jangcy.

Przetwórnia, do której trafił Jaś Brzeski, produkowała kilka rodzajów herbaty. Zielone sypkie otrzymywano poddając świeżo zerwane listki jedynie krótkotrwałemu więdnięciu i suszeniu; czarne sypkie, cieszące się największym powodzeniem w Rosji (i w Europie), uzyskiwano po fermentacji i podprażaniu zielonych listków; prasowane (zielone i czarne), które formowano w cegiełki czy tafelki z wysuszonych „odpadów" z produkcji obu odmian sypkich, spożywane były w Tybecie, Mongolii i Azji Środkowej nie w postaci naparu, lecz wywaru, stanowiącego podstawę swoistych „zup", z dodatkiem mleka, masła, tłuszczów zwierzęcych, soli, mąki, kaszy, itp., zależnie od lokalnych zwyczajów kulinarnych.

Powieść *Zamorski diabeł* należy do nurtu przygodowego twórczości autora *12 lat w kraju Jakutów*. Powstała przed wyprawą Sieroszewskiego do Chin, w oparciu o materiały Aleksandry Potaniny. Pierwsze polskie wydanie książkowe ukazuje się w roku 1903 w tomie *Powieści chińskie*. W roku 1909 Sieroszewski wydaje nową wersję powieści, rozszerza tło psychologiczno-obyczajowe oraz opatruje ją nowym zakończeniem. Ta właśnie wersja staje się podstawą późniejszego wydania *Zamorskiego diabła*, przeznaczonego dla młodzieży (1935).

Podstawę niniejszej edycji stanowi tekst drugiej wersji powieści (z roku 1909), wydanej przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik" (1955). W tekście dokonano niezbędnych poprawek w zakresie interpunkcji i ortografii oraz opatrzono go objaśnieniami rzeczowymi i transkrypcyjnymi, wprowadzając stosowaną dziś ogólnie tzw. uproszczoną transkrypcję polską wyrazów chińskich; w odniesieniu do postaci historycznych i nazw geograficznych podano również zapis w chińskim alfabecie fonetycznym *pinyin*.

SPIS TREŚCI